

SWEN HASSEL

Batalion marszowy

- To była hiszpańska wojna domowa - powiedział Barcelona Blum, spluwając swobodnie przez otwarty luk rosyjskiego czołgu, którym podróżowaliśmy. - Zaczęłem walczyć dla jednych, a skończyłem walcząc dla drugich. Najpierw byłem „miliciano” w Servicios Especiales. Potem schwyтали mnie nacjonałiści i gdy przekonałem ich, że byłem tylko niewinnym Niemcem, który został siłą wcielony do służby przez Generała Miaja, wepchnęli mnie do drugiego batalionu, trzeciej kompanii i zmusili, bym teraz walczył dla nich. Choć proszę was, jeśli o mnie chodzi, to nie było między nimi żadnej różnicy... W Especiales zgarnialiśmy wszystkich podejrzanych o bycie faszystą albo sabotażystą i zabieraliśmy ich do Calle del Ave Maria w Madrycie. Ustawialiśmy ich zwykle pod ścianą rzeźni, w której piasek był tak suchy, że krew wsiąkała weń w kilka sekund. Nie trzeba było nic sprzątać... Zazwyczaj woleliśmy do nich strzelać jak stali, ale niektóre skurczybyki tak się kulily, że za cholere nie można było ich ruszyć. W ostatnim momencie zawsze krzyczeli, „Niech żyje Hiszpania!”... Rzecz jasna, jak wpadłem w łapska Nacjonalistów, to było tak samo, tyle że odwrotnie. Jedyna różnica była taka, że kazali nam ich rozstrzeliwać siedzących i odwróconych plecami. Ale w końcu i tak wszystko się sprowadzało do tego samego. Ci też krzyczeli „Niech żyje Hiszpania!” zanim umierali. Najśmieszniejsze jest to, że wszyscy uważali się za patriotów. Ale jak już przyszło co do czego, to był tylko jeden sposób, by pokazać, że jesteś po właściwej stronie. Musiałeś kogoś zadenuncjować. Nie miało najmniejszego znaczenia, kto to był, grunt żeby kogoś sypanąć. I tak nie mieli żadnej szansy na obronę. Zawsze kazano im się zamknąć, zanim jeszcze otworzyli usta...

Jak przyszedł koniec wojny, to zaczęliśmy mieć poważne problemy. Praktycznie zrobiła się pięcioletnia lista oczekujących na rozwalkę. Musieliśmy przejść do walki z bykami. Wpędzaliśmy ich na arenę i kosiliśmy seriami z cekaemów. Mieliśmy cztery szwadrony Maurów do pomocy. To byli dopiero morderczy skurwysyni... Po jakimś czasie nawet policja się dołączyła. Każdy chciał postrzelać... A na końcu i tak wszyscy zdychali tak samo. Nie było tam różnicy, po której stronie byłeś.

Zapadła chwila ciszy na refleksje. Potem odezwał się Mały, w typowy dla siebie, bezpośredni sposób.

- Już mnie wkurwia ta pieprzona Wojna Domowa. Nie mieli tam żadnych pańienek w tej Hiszpanii czy jak?

Barcelona wzruszył tylko ramionami i przetarł oczy wewnętrzną stroną dłoni, jakby próbował w ten sposób powstrzymać wspomnienia rzezi. Zaczął mówić o innych rzeczach. O pomarańczowych gajach i winnicach i ludziach tańczących na ulicach. Wkrótce zapomnieli piekące zimno i lodowate śniegi Rosji i choć na chwilę, czuli tylko słońce i piasek odległej

Hiszpanii z opowieści Barcelony...

Rozdział 1

Po ogromnych, otwartych przestrzeniach stepów wiał wieczny wiatr, wzbijając śnieg w kłębowiska białych wirów. Czołgi rozciągnęły się w długiej linii, jeden za drugim. Były teraz nieruchome, a ich załogi kulili się po zawietrznej stronie pojazdów, próbując choćby trochę się zasłonić.

Mały leżał pod naszym Panzer 4. Porta przyszykował sobie gniazdko pomiędzy śladami gąsienic i siedział teraz jak śnieżna sowa, z szyją głęboko wciśniętą w ramiona. Między jego nogami, fioletowy i szczękający zębami, przykucnął Legionista. Na razie nasze pośpieszne natarcie się zatrzymało. Nikt z nas nie wiedział, dlaczego i szczerze powiedziawszy, to niewiele nas to obchodziło. Wojna wciąż była wojną, nieważne czy kolumna posuwała się naprzód, czy stała. Nie warto się przejmować. Julius Heide, który wykopał sobie dziurę w śniegu, zasugerował grę w oczko, ale mieliśmy zbyt zmarznięte dłonie, by utrzymać w nich karty. Legionista miał poważnie odmrożone palce i uszy, a lecznicza maść, którą stosowaliśmy, zdawała się tylko pogarszać odmrożenia. Porta już pierwszego dnia wyrzucił swój przydział narzekając, że maść śmierdzi kocim gównem.

Po jakimś czasie pojawił się Stary, walcząc z wiatrem, by do nas dotrzeć. Wszyscy spojrzeliśmy na niego wyczekująco, wiedząc, że przychodzi wprost od dowódcy.

- No i? - Spytał Porta.

Stary nie odpowiedział od razu. Rzucił swój karabin na ziemię i ostrożnie usiadł obok na śniegu. Następnym krokiem było rytualne zapalenie fajki, sławnej starej fajki z przykrywką na cybuchu, którą Stary zrobił sam. Legionista podał mu swoją zapalniczkę. Była to najlepsza zapalniczka na całym świecie, która znana była z tego, że jeszcze nigdy się nie zepsuła. Ona także była domowej roboty, wykonana ze starego ołowianego pudełka, żyletki, kilku kawałków szmaty i kamyczka do zapalniczki.

- No i? - Nalegał Porta niecierpliwiąc się. - Co powiedział?

Leżący pod czołgiem Mały zaczął się uderzać po udach, by pobudzić przepływ krwi.

- Jezu, to jest zabójcze! - Pomasaował delikatnie zgrubiałą skórę na policzkach. - Czy ktoś tu nie mówił, że wiosna jest tuż za rogiem?

- Jeszcze jak, cholerne święta są za trzy tygodnie! - Odpowiedział ponuro Porta.

- I mogę ci tu i teraz oświadczyć, że jedyny prezent, jaki dostaniesz, to będzie kulka w łeb od Iwana. Zmartwiałyymi palcami Stary wyjął z kieszeni kurtki mapę i ostrożnie zaczął ją rozprostowywać na śniegu.

Macie. Tam właśnie ruszamy. Pokazał na punkt zaznaczony na mapie. Mały wyczołgał się ze swojego legowiska, by też spojrzeć.

- Kotylnikowo - powiedział Stary, stukając palcem w mapę - Trzydzieści kilometrów za linią frontu. Z Kotylnikowa ruszamy w kierunku jakiegoś miejsca zwanego Obilnoje, aby przyjrzeć się ruskim żołnierzom. Zobaczymy, co robią i ilu ich to robi... Innymi słowy, ruszamy na rekonesans. No i gdyby tak przypadkiem się okazało, że jesteśmy odcięci bez możliwości powrotu - Stary uśmiechnął się miło - mamy rozkaz, by próbować nawiązać kontakt z Czwartą Armią Rumuńską, która jak się sądzi powinna być gdzieś na południowy-zachód od Wołgi... No, przynajmniej teraz. Bóg jeden wie, gdzie Rumuni będą, jak zechcemy do nich dołączyć. Pewnie zmasani z powierzchni ziemi. Chwila ciszy. Głośne pierdnięcie Porty mniej lub bardziej wyraziło poglądy całej grupy.

- Kto ma nietoperza zamiast mózgu, ty czy dowódca? Iwany nie są ślepe, wiesz? Zauważą czołgi z paru kilometrów. Stary ponownie uśmiechnął się z sympatią.

- Ale jest jeszcze coś. Poczekajcie aż usłyszycie wszystko. Wyjął fajkę z ust i zaczął się gruntownie drapać w ucho ustnikiem. Pomysł polega na tym, żeby się przebrać w rosyjskie mundury i poruszać się za ich liniami w dwóch zdobycznych T34.

Legionista usiadł gwałtownie.

- To prawie tożsame z samobójstwem. - Miał oskarżający ton głosu - Nie mają prawa tego zrobić. Jeśli Iwan nas dorwie przebranych w jego ciuchy, to już po nas.

- To może być szybsza śmierć niż powolne zamarzanie na Kołymie - mruknął Stary. Z dwojga złego to chyba taką preferuję.

Nie dając nam szansy na dalsze komentarze, postawił nas na nogi i powlekliśmy się w nieładzie w kierunku pojazdu dowódcy. Kapitan Lander nie był zbyt długo z batalionem. Pochodził z Lesvig i wiadomo było, że jest fanatycznym hitlerowcem. Podejrzane plotki mówiące o znęcaniu się kapitana nad dziećmi dotarły do zawsze otwartych żołnierskich uszu na froncie. Porta, jak zwykle, był jedynym, który dokopał się prawdy poprzez swojego przyjaciela Federsa. Wyłoniła się opowieść o lodowatych kąpielach w pewnej „placówce korekcyjnej”, z którą, jak na to wyglądało, Kapitan Lander był związany. Nie byliśmy tym wszystkim specjalnie zdziwieni. Wielu, którzy wstąpili do batalionu, miało przeszłe życia, o których woleli nie wspominać. Ludzie, którzy klepali cię po ramieniu i nazywali przyjacielem, którzy z ochotą rozdawali swoje papierosy, którzy dostawali paczki szynki i bekonu z Danii i którzy przechwalali się swoim podejściem do ludności na okupowanych terytoriach - wszystkich ich prędzej czy później dościgała ich przeszłość i wtedy Porta lub Legionista decydowali o ich przyszłości. Niektórzy dostawali cios nożem w plecy podczas

szturmu; niektórzy pozostawiani byli mrozowi; jeszcze inni byli przekazywani Iwanowi. Co Rosjanie z nimi robili, nigdy się nie dowiedzieliśmy. Chyba to nawet lepiej.

Kapitan Lander czekał na nas, stojąc z szeroko rozstawionymi nogami, opierając na biodrach dłonie osłonięte rękawicami. Był niewysokim, grubawym człowiekiem około pięćdziesiątki, byłym właścicielem małych delikatesów. Uwielbiał cytować biblię i wygłaszać uwznioślone przemowy. Kiedykolwiek stawiał kogoś przed sądem polowym, mówił: „To dotyka mnie jeszcze bardziej niż ciebie, ale taka właśnie jest wola Boga. Jego drogi są nieprzeniknione, gdy sprowadza zbłąkaną owieczkę z powrotem na ścieżkę prawości”.

Kapitan Lander dużo się modlił. Między posiłki zawsze wplatał długą modlitwę. Przed podpisaniem rozkazów egzekucji rosyjskich cywili (uznanych wyłącznie przez niego za partyzantów) niezmiennie przywoływał Ducha Świętego. Widok zniekształconych i pełnych kul ciał wywoływał jedynie komentarz, że ci, którzy walczą mieczem, od miecza powinni zginąć. W dniu, w którym osobiście zabił młodą dziewczynę, wyrzekł takie oto perły mądrości: „W królestwie Pana znajdziesz lepszy świat niż tu”. Poglądził ją delikatnie po włosach i musiał strzelić dwukrotnie, zanim udało mu się wreszcie wysłać ją do wyżej wymienionego królestwa. W zasadzie wyglądało na to, że w jego głowie panował zamęt i nie potrafił już odróżnić Boga od Adolfa Hitlera. Kapitan zachowywał zdroworozsądkowy dystans od pola walki. Jego żelazny krzyż był zwyczajnie rezultatem kolosalnej biurokratycznej faux-pas. Kiedy w pułku zapragnęli się dowiedzieć, jakie to akty heroizmu stały za przyznaniem odznaczeniem, podpułkownik Hinka otrzymał rozkazy bezpośrednio z samej góry na Bendlerstrasse, by natychmiast przerwać dochodzenie. Stary złożył swój raport i kapitan Lander zwrócił ku nam swe grobowe oblicze.

- Wojna - wytłumaczył z powagą - domaga się ofiar. Taka jest wola Boga. Jeśli wojna nie zabija, to nie jest to wojna. Misja, na którą was wysyłam, bez wątpienia skończy się dla większości z was śmiercią. Ale będzie to śmierć żołnierska. Honorowa śmierć.

- No to, kurwa, hurra - mruknął Mały głośno.

Kapitan zamilkł na moment. Spojrzał na Małego w sposób, który wyrażał jego dezaprobatę, ale nie pokazywał nawet cienia gniewu. Pamiętał doskonale szkołę oficerską w Dreźnie i wpojona zasadę: „oficer nigdy nie traci twarzy”. Jako kadet Lander wypełnił dwadzieścia sześć zeszytów do ćwiczeń notatkami z obserwacji na temat zachowań oficerów w każdej możliwej sytuacji, włącznie z sekcją poświęconą w całości „jak zachować się podczas jazdy na rowerze”. Teraz więc zadowolił się spojrzeniem z góry w kierunku Małego i kontynuował swoją homilię.

- Śmierć może być piękna - powiedział nam. Podniósł głos i krzyknął do spadających

płatków śniegu - Może nawet być słodka! Tak, może nawet być słodka... Jest świętym obowiązkiem każdego niemieckiego żołnierza, by walczyć za ojczyznę. By oddać swe życie, gdy zostanie wezwany. Czego więcej może chcieć żołnierz niż polec śmiercią bohatera?

- Mógłbym ci powiedzieć, gdybyś na serio chciał się dowiedzieć - To znowu Mały.

Było jasne, że kapitan był zdenerwowany. Usta mu drżały, a twarz już sina od zimna przeszła teraz gwałtownie od purpury do szkarłatu, by wreszcie zupełnie zblednąć.

- Byłbym zadowolony Kapralu, gdyby zechciał pan zachować milczenie do momentu, w którym się do pana nie zwrócę.

- Tak jest! - Powiedział Mały szybko. - Zachować milczenie - mruknął, jakby chcąc zakodować te słowa w swojej pamięci. - Zachować milczenie do momentu, w którym pan Kapitan zechce się do mnie odezwać.

Porta parsknęła, a Legionista wykrzywił swą twarz w przerażającym uśmiechu. Steiner splunął soczyscie na pobliskiego trupa w połowie zaszypanego przez śnieg. Kapitan Lander przygryzał teraz dolną wargę. Swoją prawą ręką szukając uspokajającego dotyku pasa z bronią, wodząc palcem po rękojeści swojego Waltera.

- Misja, która została wam powierzona, jest niezwyklej wagi i możecie być szczęśliwi i dumni, że to właśnie wy zostaliście wybrani. Jest bez wątpienia wolą Boga, że wyruszyście na tyły rosyjskich linii.

- Boga? - Głos Małego wyrażał zarazem żal i zdziwienie - Ja myślałem, że to raczej wola naszych generałów?

W jednej chwili dwadzieścia sześć zeszytów z notatkami na temat zachowań się oficerów znalazło się w koszu. Lander stanął przed Małym trzęsąc się. Jego głowa znajdowała się na poziomie klatki piersiowej Małego. Kiedy się odezwał, fontanna śliny wybuchnęła z jego ust.

- Niesubordynowany opoju! Dostaniesz trzy dni ciężkich robót! Bezczelność wobec oficerów nie będzie tolerowana w niemieckiej armii! Jeszcze jedno słowo i zastrzelę cię na miejscu! Powtórz, co powiedziałem.

Mały obdarzył nas udręczonym spojrzeniem.

- Jakże bym mógł? - Zapytał potulnie. - Jedno słowo i pan mnie zastrzeli.

Przez moment takie właśnie rozwiązanie wydawało się najbardziej prawdopodobne. Dłoń Landera zawisła nad rewolwerem. Mijały sekundy.

- Na kolana! Mały cofnął się o krok i pochylił głowę, by lepiej przyjrzeć się kapitanowi.

- Kto, ja? - Zapytał.

Kapitan wykrzyczał rozkaz po raz drugi, falsetem.

- Na kolana!

Mały posłusznie zwałił się w śnieg, jak upadający z wysoka worek ziemniaków. Lander wciągnął głośno oddech, splunął pogardliwie i odwrócił się do wszystkich plecami.

- Ten człowiek jest hańbą dla naszego regimentu. Powinien zostać postawiony przed sądem polowym.

Mały zamruczał coś do siebie w śniegu, ale Lander albo tego nie usłyszał, albo postanowił go ignorować. Dając sobie spokój ze swoimi zwyczajowymi biblijnymi wtřętami, przekazał nam szczeg3ły chwalebnej misji, którą mieliśmy wykonać dla ojczyzny. Kr3tko mówiąc, mieliśmy się przebrać w rosyjskie mundury i wyruszyć w dwóch zdobytych T34 za linię wroga. Było to jawne pogwałcenie konwencji genewskiej, ale kapitan Lander machnął ręką i na nas i na konwencję. Było jasne, że jeśli chodzi o niego, to on już uznał nas za „zaginionych, prawdopodobnie martwych”.

Pierwszym problemem, na jaki się natknęliśmy, było znalezienie wystarczająco dużego munduru, by wpełchnąć weń słoniowate cielsko Małego. On sam stwierdził, że nie tyle chodzi tu o łamanie konwencji genewskiej, co podstawowych praw człowieka każąc mu wcisnąć się w taki mundur. Jeszcze na kilka minut przed odjazdem walczyliśmy, by naciągnąć na Małego parę rosyjskich spodni ewidentnie zaprojektowanych dla kogoś o skromniejszych proporcjach. Nie było słyhać żadnych fanfar, gdy nasza sekcja opuszczała resztę pułku. Nasze czołgi ruszyły po stepie i wkr3tce znikły za zasłoną śniegu.

- Więcej ich już nie zobaczymy - takie były pewnie myśli tych, którzy obserwowali nasz odjazd.

Stękając czołg wciągnął się w górę po stromiźnie. Błękitne płomienie buchnęły z rury wydechowej, dźwięk z silnika odbił się echem w górskiej dolinie. Adiutant Blum, Barcelona-Blum, który marzył o hiszpańskim słońcu i gajach pomarańczy, otworzył jeden z bocznych luków i wyjrzał na zewnątrz.

- Noc i g3ry - stwierdził ze wstrętem - Nic tylko cholerne, wielkie, zaśnieżone g3ry.

- I Ruski - dodał Stary bez emocji - Mogę się założyć o twoje słodkie życie, że te wzg3rza aż się od nich roją.

- Sądzisz, że już jesteśmy za ich linią?

- Od kilku godzin.

Stary miał czoło mocno przyciśnięte do gumowej osłony okienka w wieżyczce. Od jakiegoś czasu usiłował coś dojrzeć, ale śnieg był zbyt gęsty i widoczność spadła do zera.

- Wznoszę tylko modły, byśmy się nie wpakowali centralnie na pole minowe -

wyszeptał.

Mały mruknął gniewnie pod nosem i nasunął głębiej na czoło swój szary kapelusz. Melonik Małego był dumą i ozdobą batalionu, choć byli i tacy, którzy twierdzili, że jest przyczyną niejednego ataku apopleksji u niektórych oficerów, ale Mały nie godził się z nim rozstawać nawet na minutę.

- Słuchaj - odwrócił się z nadzieją do Legionisty. - Jaka jest szansa, że mógłbym się dostać do tego ogrodu Allacha, o którym gadasz tak często?

- Niezbyt duża - odpowiedział Legionista. - Choć jeśli mógłbyś przestać grzeszyć i gdybyś zaczął się modlić, to nie wątpię, że Allah znalazłby dla ciebie miejsce.

Porta parsknął wulgarnie.

- Allah nie chciałby takiej szumowiny, żeby mu pobrudziła ogród!

- Oprócz tego sędzę - dodał Heide z powagą - że jeśli wpuściłby Małego, to pomyślcie tylko, jakie śmieci by się tam dostały zaraz za nim. Zanim byś się zorientował, gdzie jesteś, to już by nie był ogród, tylko jedno wielkie wysypisko.

- Lepiej się zamknij - ostrzegł go Legionista, który był bardzo wrażliwy na punkcie religii. - Allah wie, co ma robić, bez pomocy typów w twoim rodzaju.

Stłumiony krzyk Starego sprowadził nas wszystkich na ziemię. Znowu byliśmy żołnierzami, zawodowymi zabójcami. Wpadliśmy na tyły pułku rosyjskiej piechoty i Porta nacisnął hamulec zaledwie kilka sekund przed kolizją. Rosjanie krzyczeli i machali do nas, ale warkot silników skutecznie tłumił ich głosy i wkrótce ponownie zniknęli nam z oczu w oślepiającym śniegu. Z ulgą zauważyliśmy pojawienie się drugiego czołgu, wielkiego ciemnego cienia w białym świetle. Nasze pojawienie się nie wywołało alarmu wśród Rosjan. Najwyraźniej T34, którym jechaliśmy, przystrojony w czerwone sowieckie gwiazdy robił pozytywne wrażenie. Stary powiedział przez radio:

- Dystans między pojazdami.

Drugi czołg zwolnił, cień rozplątał się i byliśmy świadomi jego obecności jedynie poprzez zgrzyt łańcuchów dochodzący przez radio.

- Tu Dora, tu Dora - powtarzał Stary. - Kierunek 216, prędkość 30. Bez odbioru.

Dźwięki drugiego czołgu nagle zamilkły i ponownie zapanowała cisza.

- Boże, jak cholernie zimno - powiedziałem. Jakby kogoś to obchodziło.

- Wsiądź i biegnij za nami krzycząc „Heil Hitler” - zasugerował Porta. - Szybko się rozgrzejesz, jeśli Ruscy są wciąż w pobliżu.

- Wszystko fajnie... Tylko wcale mnie nie bawi zabawa z nimi w ciuciubabkę. Jeśli choć w części pomyślą, że nie jesteśmy tym, za kogo się podajemy...

- To będzie po nas - stwierdził Stary krótko. - I kto ich będzie winił? Łamiemy wszystkie zasady gry.

- To po co to robimy? - Spytał się Mały.

- Bo to są cholerne rozkazy! - Warknął Heide. - A rozkaz to rozkaz, powinieneś już tyle wiedzieć.

Pędziliśmy dalej przez noc, kłócąc się i godząc na przemian. Byliśmy właśnie w trakcie jednej z naszych gorących wymian zdań, gdy Stary wydał z siebie zduszony krzyk przerażenia. W jednej chwili wszyscy zamilkli.

- Co się stało?

- Przygotować się do starcia.

Nikt się nie odezwał. Legionista podniósł broń, ja po omacku sięgnąłem po granat, Barcelona nie odrywał wzroku od szczeliny obserwacyjnej. Nagle usłyszeliśmy, jak ktoś krzyczy po rosyjsku, a Stary odpowiada w swoim bałtyckim dialekcie. Drugi T34, który był tuż za nami, spostrzegł nas zbyt późno, by zahamować i uderzył w nasz tył. Rosyjski głos przeklął kolorowo z całą niezwykłą gamą wulgaryzmów dostępnych w tym języku. Właściciel głosu wskoczył na nasz pojazd i wrzasnął rozkaz.

- Jedźcie za tamtą kolumną czołgów w prawo!

To był oficer, noszący granatową czapkę z amarantowym otokiem NKWD. Jego widok wystarczył, by porazić nas paraliżującym strachem. Mały otworzył usta, by krzyknąć, ale, na szczęście, nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Jako jedyny spośród nas, Stary nie stracił głowy.

- Skąd jesteś? Z Pribałtyki? - Rozkazująco spytał Rosjanin.

- Da.

- Od razu wiedziałem po tym paskudnym dialekcie, w którym mówisz, Spróbuj się nauczyć porządnego rosyjskiego, jak już wygramy wojnę... A teraz ruszaj tym pieprzonym czołgiem.

- Dawaj, dawaj, wy leniwe dranie! - Krzyknął Stary w naszą stronę dodając obowiązkową wiązaną przekleństw.

Potulnie zajęliśmy nasze miejsce na końcu długiej kolumny czołgów. Żandarmi i enkawudziści byli dosłownie wszędzie, krzycząc, tupiąc, gestykulując, próbując utrzymać jakiś ład, a kreując jedynie chaos.

- Skąd się do cholery wzięliście? - Zapytał oficer, oferując Staremu machorkę.

Stary wymamrotał coś niezrozumiale o specjalnej misji, ale oficer nie wyglądał na zainteresowanego. Jego uwaga została odwrócona przez nagły zator, w którym utknęła cała

kolumna. Usłyszeliśmy, jak Rosjanin klóci się z którymś z żandarmów domagając się, by uutorowano drogę dla naszych dwóch czołgów - wyglądało na to, że on sam śpieszył się gdzieś i po kilku głośnych zdaniach, w których nad wyraz często dało się słyszeć słowo Syberia, żandarm się wycofał pokazując, że możemy przejeżdżać.

- Gazu! - Warknął oficer.

Porta z radością spełnił jego życzenie, umiejętność kierowania ciężkim czołgiem przez Portę została nagrodzona zazdrosną pochwałą i sugestią, by Stary porozmawiał z dowódcą w sprawie zaangażowania Porty jako osobistego kierowcy Rosjanina. Stary obiecał z powagą, że weźmie tę sugestię pod pilną rozwagę.

Po jakichś piętnastu minutach oficer opuścił swoje eksponowane miejsce na zewnątrz i zdecydował się dołączyć do motłochu w środku. Stary ostrzegł nas bezgłośnie, jak tylko we władze pokazała się para butów. Sekundę później mogliśmy już oglądać oficera w całości. Zatupał głośno w metalową podłogę czołgu próbując pobudzić krążenie.

- Śmierdzi u was jak w burdelu - powiedział i rozejrzał się dookoła przyglądając się nam po kolei, zatrzymując swój wzrok nieco dłużej na Małym i jego szarym meloniku. - Gdzie jest wódka? - Spytał w końcu.

Stary podał mu flaszkę i w ciszy przyglądaliśmy się w milczeniu, jak jej zawartość zniknęła w gardle Rosjanina. Po pewnym czasie dotarliśmy do punktu kontrolnego, gdzie sierżant NKWD zażądał podania hasła.

- Papłyli tumany nad rieką - odpowiedział nasz oficer.

- Czy te czołgi należą do sześćdziesiątego siódmego? - Zapytał sierżant.

- Niet. Wykonują specjalną misję. Sierżant kazał nam zaczekać, aż skonsultuje się z przełożonymi.

- Niech to piekło pochłonie! - Rosjanin wy dobył się z czołgu i zeskoczył na ziemię. - Nie mogę tu czekać cały dzień. Czas jest cenny, a ja się śpieszę.

Mamrocząc i przeklinając pod nosem, poszedł za sierżantem. Patrzyliśmy, jak podchodzą do majora, który siedział na składanym stołku pod drzewem, otoczony przez rój enkawudzistów. Widzieliśmy, jak nasz oficer macha jakimiś papierami, jak major je przegląda i wreszcie jak spogląda na nasz czołg i wybucha śmiechem, a następnie wskazuje na pojazd w pobliżu. Nasz oficer także spojrział i również się roześmiał. Było jasne, że otrzymał propozycję bardziej wygodnego środka transportu niż T34. Po jakimś czasie podszedł do nas sierżant i wręczył nam kilka kartek.

- Macie. Nowe hasło. Możecie zapomnieć to stare.

- Jak to? - Zapytał Stary udając obojętność.

- Podobno jakaś grupka Szkopów urządziła sobie na naszych tyłach wycieczkę w paru zdobycznych czołgach, ale szybko ich dorwiemy. Przewrotny zawsze ubezpieczony, więc zmieniliśmy na wszelki wypadek wszystkie hasła... Macie jakąś wódkę? Stary podał mu osobisty przydział Małego i jeszcze raz jak zahipnotyzowani patrzyliśmy, jak płyn błyskawicznie znika w gardle spragnionego Rosjanina. Butelka została wyrzucona na śnieg, a sierżant głośno pierdnął i beknął równocześnie.

- No, teraz lepiej... Dobra. Nowe hasło. Lepiej dobrze, je zapamiętajcie. Zostało specjalnie dobrane, by żaden zagubiony szkop nie mógł go wymówić, nawet jeśli by wiedział, co oznacza - nie, że wy będziecie w lepszej sytuacji z waszym beznadziejnym bałtyckim akcentem, ale co zrobić, przecież nie nauczę was porządnie mówić po rosyjsku w pięć minut... Próbujcie wbić sobie to do waszych tępych łbów „Razcwietali jabłoni i gruszi”. Panimajecie? Odpowiadacie „Szaumjana ulica”. A jak ktokolwiek powie coś inaczej, to najpierw strzelajcie, a potem pytajcie. Szaumjana ulica. Adres siedziby NKWD w Tomsku, gdyby się okazało, że jesteście większymi osłami niż sądzę. A więc - wspiął się na czołg i nachylił do Starego. - To jest wasza nowa marszruta. Jedźcie drogą do Sadowoje, ale nie wjeżdżajcie do miasta, jest już przepelnione 14. dywizją. Jedźcie na południe do Krasnoje. Dostaniecie tam nowe hasło. Panimajesz, grażdanin?

- Da - potwierdził Stary.

- Mołodiec.

Sierżant podniósł rękę w pożegnalnym geście i zeskoczył z czołgu. Mogliśmy znowu jechać w swoją stronę, z tym że teraz mieliśmy jeszcze błogosławieństwo Rosjan!

Przez parę godzin jechaliśmy na wschód omijając szerokim łukiem wszystkie wioski po drodze. Kilkakrotnie mijaliśmy grupy rosyjskich żołnierzy, ale tylko raz zażądano od nas podania hasła. Późnym wieczorem dotarliśmy do gór i zatrzymaliśmy się na postój w lesie, gdzie czołgi były dobrze ukryte przed czyimś wścibskim wzrokiem.

Stary skontaktował się z dowództwem, by dostać nowe wskazówki i natychmiast przyszedł rozkaz: ruszać w kierunku Tuapse. Znowu ruszyliśmy, teraz na południowy-zachód i przez wiele kilometrów jechaliśmy w relatywnym milczeniu, które w końcu zostało przerwane apokaliptycznym oświadczeniem Porty:

- Już niedługo skończy się nam paliwo.

Nikt z nas nie zareagował i tylko Mały chciał wiedzieć, jak mamy zamiar kontynuować naszą podróż bez paliwa i ostrzegł świat, tak na wszelki wypadek, że z jego odciskami i hemoroidami nie ma sensu oczekiwać, że będzie maszerował przez pół Rosji. Nikt nie skusił się, by odpowiedzieć.

Im dalej jechaliśmy, tym więcej zbierało się nad nami czarnych chmur, a po obu stronach góry stawały się coraz wyższe. Krajobraz stawał się coraz bardziej dziki i ponury. Z każdym przejechanym kilometrem czuliśmy zwiększającą się do nas niechęć tego miejsca. Droga, którą podążaliśmy, była zaznaczona na mapie jako szeroka i prosta, tymczasem z każdą chwilą stawała się węższa i bardziej stroma. Ciężkie czołgi ślizgały się jak po szklanej powierzchni i tylko wielki kunszt kierowców sprawiał, że wciąż były pod kontrolą. Panel obserwacyjny był jedną wielką bryłą lodu, stając się kompletnie bezużytecznym. Musieliśmy otworzyć boczne panele, a rezultat był taki, że wiatr przywiał do środka zimne tumany śniegu.

Nagle nasz siostrzany czołg, prowadzony przez Steinera, wpadł w poślizg na płacie lodu i obrócił się w półkoło, a my musieliśmy stanąć, by udzielić mu pomocy.

Przerwaliśmy dwie stalowe liny próbując wciągnąć czołg na drogę we właściwym kierunku. Liny po prostu pękały jakby były z bawełny. Spróbowaliśmy z ciężkim łańcuchem holowniczym. To go w końcu poruszyło, ale i tym razem wpadł w poślizg na tym samym kawale lodu, tyle że teraz tył został na drodze, przód zaś niebezpiecznie zawisł nad przepaścią. Ogólna konsternacja. W tym momencie Porta wcisnął gwałtownie pedał gazu, lina napięła się utrzymując ciężar i czołg zaczął powoli wracać na drogę. W chwili gdy zaczynaliśmy już swobodniej oddychać, lina holownicza rozstała się nagle z czołgiem, który z głośnym hukiem potoczył się w otchłań zabierając ze sobą małego Müllera. Bóg jeden wie, jak to się stało. Przez kilka chwil staliśmy milczący i zszokowani i jak zwykle to Stary był pierwszym, który się otrząsnął.

- Ile mamy jeszcze paliwa? Porta zastanowił się przez chwilę.

- Akurat wystarczy, żeby wyczyścić Małemu spodnie.

- A to w porządku - skomentował Heide wesoło. - To powinno nam wystarczyć na podróż na Syberię i z powrotem. Stary odwrócił się do niego gwałtownie.

- Czy możesz się zamknąć? To nie jest śmieszne. Chcę wiedzieć dokładnie, jak daleko możemy jeszcze przejechać.

- Biorąc pod uwagę wskaźnik poziomu paliwa, to nigdzie - przyznał Porta.

- Dobra. W takim razie wyślemy nasz czołg w ślad za tamtym. Weźmiemy broń i amunicję i wszystko, co się może przydać, tylko pamiętajcie, że karabiny maszynowe są dla nas teraz cenniejsze niż wódka. Do niemieckich linii jest jakieś 600 kilometrów.

- Nic mnie tak nie cieszy, jak spacer w plenerze - uśmiechnął się do nas Porta.

- A co z moimi odciskami? - Zasyczał Mały.

- Mam w dupie twoje odciski! - Warknął Stary, rozdrażniony. - Jeśli nie chcesz iść, to

możesz tu zostać i zgnieć.

Heide wzruszył ramionami.

- Jeśli chodzi o tych innych sukinsynów, to spisali nas na straty, zanim jeszcze wyruszyliśmy.

Rozładowaliśmy czołg, Porta zostawił włączony silnik, skierował go w kierunku krańca drogi i wyskoczył. Przyglądaliśmy się z pewną dozą satysfakcji, jak ta wielka i ciężka szara masa znika w otchłani.

- No to tyle - stwierdził Steiner, zarzucając sobie na ramię jeden z cekaemów. - No już, bando pieprzonych bohaterów... Ruszać się!

- Cały ten śnieg nie przypomina mi zbytnio domowej atmosfery - zaproponował Mały. To w ogóle nie przypomina mi Reeperbahn... Numer 26.

- A tamto miejsce, czym się różni?

Oczy Małego spowiła mgła, a na jego twarzy pojawił się wyraz głupkowatego rozmarzenia.

- To był burdel - odparł błogo.

Maszerowaliśmy przez całą noc i poranek, nie zatrzymując się nigdzie aż do późnego popołudnia. Mały rozdał wszystkim machorkę taką jak przydziałowe dostają czerwonoarmiści i usiedliśmy w śniegu paląc, łączywie wciągając dym do płuc i wzdychając z zadowolenia. Nasze burczące brzuchy i obolałe stopy, nasze zmarznięte ręce i beznadziejna sytuacja zostały zapomniane w chwilowej radości z butelki wódki i paczki papierosów.

Szóstego dnia zeszliliśmy z gór i znowu znaleźliśmy się na pustej przestrzeni. Stary, Steiner, i Barcelona parli dalej naprzód, tymczasem Porta, Mały, Legionista, Profesor i ja schowaliśmy się na moment za grupą wystających głazów i skrupulatnie podzieliliśmy między siebie ostatnie kawałki chleba. Potężne zmęczenie, które odczuwaliśmy, uspiło naszą czujność, dlatego kiedy rozległ się donośny okrzyk „Stoj, kto?”. Nie wierzyliśmy własnym uszom, a parę sekund później także oczom, gdy dostrzegliśmy sunący ku nam psi zaprzęg. Pojawił się znikąd, chwilę wcześniej skryty za wybrzuszeniem terenu i zanim zdążyliśmy zebrać myśli, już tu był.

Sanie zahamowały raptownie tuż przed Starym i dwoma innymi. Załogę zaprzęgu stanowiło dwóch niskich i krępych żołnierzy z amarantowymi otokami NKWD. Obaj mieli na nogach narty i obaj nosili broń. W chwili gdy sanie się zatrzymały, jeden z żołnierzy podszedł do Starego wyciągając władczo dłoń w jego stronę, podczas gdy drugi zajął pozycję osłaniającą. Było oczywiste dla każdego z nas, teraz przyczajonych za głazami i obserwujących ukradkiem każdy ich ruch, że zażądali okazania dokumentów. Rozkazujący

gest był nadzwyczaj czytelny w swoim przekazie, nawet na zawianych śniegiem pustkach Kaukazu. Wyglądało na to, że niewiele mamy rady zrobić. Nasi towarzysze stali pomiędzy nami a dwoma Rosjanami, bezpośrednio na linii ognia. Było niemożliwe strzelić i nie trafić w naszych. Legionista, zahartowany przez długie lata walki w górach i pustyniach Afryki, był jedynym spośród nas, który mógłby sobie poradzić w takiej sytuacji. Powoli wynurzył się z ukrycia i centymetr za centymetrem, mozolnie zaczął się czołgać po śniegu. Na szczęście Stary i inni stali w zbitej gromadzie, śnieg doskonale zagłuszał dźwięki i Legionista zdołał się doczołgać do grupy, zanim ktokolwiek się zorientował. W ostatnim momencie podniósł się i jak mściwy duch otworzył ogień, nie dając Rosjanom żadnej szansy na obronę. Jeden z nich odwrócił się i zaczął uciekać, ale nóż Małego utkwiał mu w plecach, zanim odbiegł nawet parę metrów.

Na odgłos strzałów psi zaprzęg poderwał się do ucieczki. Na szczęście Stary zagroził im drogę i chwycił za obrozę głównego psa. Pies zawarczał ostrzegawczo próbując wbić swe kły w najbliższą porcję ludzkiego ciała, ale Stary zacisnął pewną rękę na jego paszczy i powiedział coś uspokajającego.

Ułożone wysoko na saniach leżały dodatkowe narty i zapasy jedzenia oraz broni, nie wspominając o dwóch baniakach pełnych wódki. W ciągu pięciu minut to my byliśmy jej pełni, a Rosjanie leżeli rozebrani nawet ze znaczków identyfikacyjnych. Zostawiliśmy ich na śniegu i ponownie rozpoczęliśmy naszą przerwana podróż używając nart oraz sań. Zanim jeszcze opuściliśmy to miejsce, dwa gołe trupy zamarzły na kamień.

Nazywaliśmy go „profesorem”. Był Norwegiem, a gdy wybuchła wojna jeszcze studiował. Wstąpił do SS na ochotnika. Nikt nie mógł go rozgryźć. Porta twierdził, że jest zdrajcą i że go powieszą w Gudbrandsdal, jeśli kiedykolwiek wróci do Norwegii. Stary próbował go bronić mówiąc, że przecież nie wiadomo, dlaczego zdecydował się wstąpić, ale Porta utrzymywał, że jeśli nawet nie jest zdrajcą, to na pewno jest idiotą, a to też zasługuje na karę. Z pewnością był naiwny. Najpierw popełnił błąd przyłączając się do hitlerowców, by krótko potem, zdumiony i rozgoryczony, stwierdzić, że nie podobają mu się niektóre metody stosowane przez SS. Był na tyle głupi, by wyobrazić sobie, że będzie mógł wygłaszać swoje krytyczne opinie i że ujdzie mu to na sucho. Oczywiście przenieśli go od razu do Obozu KZ, a stamtąd do pułku karnego. Naszego pułku.

Rozdział 2

Od czasu do czasu, Mały potykał się o swoje narty i jak długi padał w śnieg. Za każdym razem, gdy upadł, po stepie rozlegały się jego kolorowe przekleństwa. Profesor zostawał nieco w tyle, nie przewyższając Małego umiejętnościami narciarskimi i radząc sobie jeszcze gorzej. Jego okulary były całkowicie oszronione, a on sam płakał głośno, najprawdopodobniej nie zdając sobie z tego sprawy.

- Cholerny Esesman - złościł się Porta. - Ma za swoje, pieprzony ochotnik!

Profesor najechał nartą na nartę i runął do przodu. Jego okulary znalazły się w śniegu. Julius Heide biegł obok zaprzęgu zachęcając psy potokiem wyzwisk.

- Biegnijcie sukinsyny! Ruszać się psie macie!

Przywódca stada biegł równo z nim, odsłaniając kły i od czasu do czasu, gdy człowiek i pies zbliżali się do siebie, usiłował złapać Heidego zębami. Heide krzyczał wtedy i wygrażał psu pięścią.

- Przeklęty śmierdzący psie! Czorny! Spróbuj mnie jeszcze raz ugryźć, to tak ci przyłożę, że popamiętasz, ty cholerny kaukaski kundlu! Jeżeli jest coś, czego nie cierpię bardziej niż Żydów, to właśnie psów... I jeśli jest coś, czego nie cierpię bardziej niż psów, to właśnie śniegu...

Heide podjął wysiłek i na moment wysforował się przed zaprzęg. Po chwili jednak prześcignął go lider stada, kolejne psy podążyły jego śladem i gdy sanie go wymijały, Heide potknął się i upadł.

- Ho-ha! Ho-ha! - Krzyczał Stary strzelając z bata nad głowami psów. Sanie sunęły dalej, szybkie i ciche. Heide podniósł się, pogroził zaprzęgowi pięścią i szybkimi, długimi krokami ponownie ruszył jego śladem.

- Mam już serdecznie dość i dłużej tego nie zniosę zwierzyłem się Porcie.

- Więc odpadnij i zdechnij - odpowiedział bez współczucia.

Zacząłem liczyć każdy swój krok. Jeden krok to około jednego metra. Mniej więcej. Może trochę więcej... Nie. Jeden krok to metr. Czyli tysiąc kroków to kilometr. Robiliśmy jeden kilometr w trzy minuty. Przez dwanaście godzin, dwadzieścia cztery, czterdzieści osiem godzin, liczyłem swoje kroki. Upadłem, podniosłem się, zamknąłem oczy, moje nogi poruszały się automatycznie, straciłem rozeznanie, brnąłem zatopiony w myślach. Ale obliczyłem, że powinniśmy dotrzeć do niemieckich linii w czternaście dni. Zakładając, że były jeszcze jakieś nasze linie.

Stary często sprawdzał kierunek kompasem. Daleko, daleko stąd, hen na północnym zachodzie był Bałtyk, a na jego krańcu Szwecja i Dania. Właśnie marzyłem o Szwecji i Danii, gdy Profesor, jasne, że to musiał być on, krzyknął żałośnie, że złamał jedną z nart. Ta wiadomość zmusiła nas do postoju. Stary krzyknął na psy i wolno zszedł z sań wyciągając swoją fajkę. Mały zsunął się na śnieg i leżał tam z szeroko rozłożonymi nogami. W ciągu sekund padający śnieg całkowicie go przykrył. Wyglądał prześmiesznie. Porta siedział oparty o sanie, Heide wyłożył się na brzuchu. Reszta z nas rozłożyła się dokoła w różnych pozycjach. Wszyscy byliśmy zbyt zmęczeni, by rozmawiać czy nawet myśleć. Psy także się uspokoiły. Zbiły się w gromadę, nosy w ogonach, potężne puszyste śnieżne kule. Patrzyliśmy się na nie niewidzącym wzrokiem, aż wreszcie Stary wyjął fajkę z ust i wyrwał nas z letargu.

- Nie możemy tak tu zostać w bezruchu. Lepiej już się okopać i rozłożyć obozem na dziś.

Mechanicznie, zaczęliśmy zbierać śnieg rękami, chodząc na czworakach jak dzieci, formując twarde bloki na nasze nocne igloo. Mały pracował z taką pasją, że reszta się wstydziła, tworząc cztery śnieżne cegły w czasie, gdy każdy z nas robił jedną. W swoim pośpiechu i entuzjazmie czasem upuszczał któryś ze świeżo zrobionych bloków. Wtedy dawał popis jeszcze większej energii, udeptując go pod stopami, wtórując sobie wiązką przekleństw, skierowanych częściowo do pogody, a częściowo do „tych przeklętych Rosjan”.

- Murarz stawia domy, piekarz piecze chleb - podśpiewywał sobie Porta z uczuciem, ugniatając świeży śnieg we właściwy kształt. - Czy zdaliście sobie sprawę z tego, że mnóstwo bardziej zamożnych ludzi wydaje fortunę na sporty zimowe każdego sezonu? A my, proszę was, wszystko mamy za darmo.

- Zamknij twarz! - Warknął Heide.

- Twój problem polega na tym, że nie wiesz, jak bardzo na tym korzystasz.

- Cisza! - Legionista usiadł nagle prosto przechylając głowę w jedną stronę. - Coś słyszę. Wszyscy nadstawiliśmy uszy.

- A gówno tam! - Podsumował Porta. - A więc jak już mówiłem...

- One też to usłyszały. - Legionista wskazał głową na psy. Ich uszy były postawione, sierść najeżona. Ponownie zamieniliśmy się w słuch, ale step pozostawał cichy.

- Przyśniło ci się - skomentował Barcelona.

- Tak? A co z psami?

- Załapały to od ciebie. Ty myślisz, że coś tam jest, więc one sądzą, że coś tam jest. Śnieżne szaleństwo, jak woda na pustyni.

Legionista ściągnął tylko usta, podniósł broń i trzymał ją w gotowości, jakby

spodziewał się, że ktoś lub coś nagle wyskoczy z otaczającej nas bieli. I wtedy nasze psy zaczęły piszczeć z niepokojem. Usiadły sztywno i prosto, ich łby zwrócone na zachód. Wszyscy spojrzeliśmy w tym samym kierunku. Profesor w pośpiechu przecierał oszronione okulary i wyęczał swój wzrok krótkowidza.

- Nic nie widzę - poskarżył się.

Nagle Stary wskazał przed siebie.

- Psy! Wszyscy padnij... Profesor, zostań z psami i niech ci Bóg pomoże, jeśli któryś zacznie szczekać. Porta i Heide, idźcie tam z cekaemami. Sven, ty i Barcelona na lewo z miotaczami. Reszta zając pozycje pomiędzy. Odstęp pięćdziesiąt metrów jeden od drugiego.

Wypełniliśmy rozkazy niemalże zanim skończył je wydawać, wkopując się i przygotowując broń. Śnieg przykrył nas bardzo szybko. Wszyscy słyszeliśmy już zbliżające się psy, choć jeszcze nie było nic widać. Nagle je zobaczyliśmy: dwie pary długich sań z trzema enkawudzistami na każdym. Przejżdżali około czterdzieści metrów od nas, sunąc na południe z imponującą prędkością, ciągnięci przez sześć psów. Słyszeliśmy strzelający w powietrzu bat i zachęcające okrzyki woźnicy leżąc i modląc się, by nasze psy nie odpowiedziały na komendy tamtych. Cud: nic się nie stało. Wstrzymywaliśmy oddech nie wierząc własnemu szczęściu. Sanie minęły nas i wkrótce znikły, a my wciąż pozostaliśmy na naszych miejscach.

- Jezu! - Odetchnął wreszcie Heide. - To było blisko.

- Dalibyśmy im radę - stwierdził Mały na luzie. - Co to jest sześciu Rosjan mniej lub więcej?

- Powinniśmy ich zastrzelić - stwierdził krótko Barcelona. Zwrócił się do Starego.

- Powinniśmy ich załatwić. Jeden trup z NKWD jest warty sześciu innych.

Stary wzruszył ramionami i spojrział w niebo. Choć wydawało się to niemożliwe, pogoda się pogarszała. Niebo było całkowicie zasłonięte przez śnieg, a rosyjski wiatr wyl jakby z sympatii do swoich sześciu rodaków, którzy byli tak blisko wroga, a jednak nic nie zauważyli. Cały kraj zdawał się być przeciw nam, wykrzykując swą nienawiść dla wszystkich najeźdźców. Jakby na dowód, wiatr jeszcze się wzmógł. Nasz ekwipunek rozsypał się we wszystkich kierunkach, rzucony gniewnie przez nagły poryw, a my wśród okrzyków gniewu i desperacji rzuciliśmy się w pogoń za przedmiotami, zmagając się z wichurą.

- Co za kurewski kraj! - Krzyczał Heide.

Profesor potykał się mając pełne ręce ekwipunku. Łzy spływały mu po policzkach.

- Jestem taki zmęczony. Jestem taki zmęczony. Jestem taki...

- Zamknij ryj! - Krzyknął Porta. - Jakbyś miał choć trochę rozumu, to byś siedział dziś

w domu miło i bezpiecznie w swojej Norwegii. Sam się w to wpakowałeś, no nie? Chciałeś być bohaterem, co? Dzielny mały Norweg walczący w słusznej sprawie przeciwko wrednym, złym bolszewikom? Boże, stary Quisling musiał być z ciebie dumny! - Odwrócił się i splunął pod wiatr. - Czekać aż wrócisz do domu, mówię ci.

Profesor wytarł nos w rękaw.

- Nigdy już nie wrócę do domu.

- Nie? - Zdziwił się Porta. - W takim razie to Ruski cię dostaną. Słuchałeś ostatnio Radio Moskwa?

- Oczywiście, że nie. Słuchanie zagranicznych stacji jest zakazane.

Mały uderzył się pięścią w czoło.

- O kurde, tylko go posłuchajcie! Wciąż sądzisz, że wielka Niemiecka Armia wygra tę wojnę?

Norweg potrząsnął głową z powątpiewaniem.

- Myślisz że przegramy? - Zapytał.

- Coś ci powiem. - Mały chwycił Profesora za ramię, odwrócił go i wskazał na bliżej nieokreśloną północ. - Tam mają wystarczająco dużo dział, żeby rozwalić całą Szóstą Armię w drobny mak. I całą resztę też, co do ostatniego żołnierza. - Mały zawiesił na moment głos. - Wiesz, kogo mam na myśli? - Zapytał retorycznie.

Profesor zamrugał w typowy dla krótkowidza sposób.

- Nikogo innego jak mnie, we własnej osobie! - Zadeklarował Mały wypinając klatkę piersiową. - A kiedy już Kancelaria Rzeszy będzie tylko kupą gruzu, to właśnie ja będę stał pośród ruin i pluł na to wszystko. Także na kości naszych wspaniałych i martwych bohaterów.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło - mruknął Stary.

Mały kopnął gniewnie w niewielką zaspę, po czym krzyknął zdziwiony, klękając i zaczynając rozkopywać rękoma śnieg. Nagle ukazała się ręka, jak roślina wyrastająca z ziemi. Chwilę potem Mały odsłonił twarz, odrażającą, niebieską, skurczoną, usta odsłaniające zęby, oczodoły głęboko zapadnięte. Po chwili szoku wszyscy rzucili się na śnieg, rozgarniając go jak stado terierów. W płytkim grobie leżały dwa ciała. Dwóch niemieckich piechurów. Ramię jednego było wciąż uniesione, zakrzywiony palec zamrożony w pozycji, która zdawała się nas zapraszać. Mały dotknął go stopą i odwrócił się z niesmakiem.

- Nigdy nie akceptuję zaproszeń od nieznajomych mężczyzn - powiedział.

- Zajrzyj do jego kieszeni - zachęcał Barcelona.

- Sam sobie zajrzyj - odparował Mały. - Nie interesują mnie trupy.

Barcelona się zawahał.

- No już, jeśli jesteś taki ciekawski!

To Legionista wystąpił naprzód. Szybkim ruchem wyciągnął swój nóż, pochylił się nad jednym z ciał i odciął manierkę przytroczoną do pasa munduru. Rzucił ją Heinemu, który złapał ją niezgrabnie i przez moment stał przyglądając się jej z szeroko otwartymi ustami. W końcu odkręcił korek i powąchał zawartość. Jego nozdrza poruszały się nieznacznie.

- Pachnie jak wódka.

Wyciągnął rękę z manierką w kierunku Barcelony, ale ten potrząsnął głową. Także Mały odrzucił propozycję. Wyglądało na to, że nagle cała grupa stała się kompletnymi abstynentami.

- Cholerni idioci.

Legionista podszedł i pochwycił manierkę.

Patrzyliśmy oniemiała, jak podnosi ją do ust. Patrzyliśmy, jak unosi się i opada jego jabłko Adama. Chwilę czekaliśmy, w sumie nie wiedzieć na co. Legionista wytarł usta tyłem dłoni.

- Niezłe - oznajmił. - To nie wódka, ale z pewnością alkohol.

Po tym oświadczeniu wszyscy zachowywali się już w typowy dla siebie sposób. Porta i Mały szybko wyzwolili drugą manierkę i wszyscy opróżniliśmy obydwie w kilka sekund. Steiner troskliwie schował dokumenty oraz nieśmiertelniki dwóch żołnierzy i wycofaliśmy się do naszego niezdarnego igloo, zbijając się w ścisłe koło. Ignorując protesty Starego, wszyscy się położyli gotowi zasnąć na miejscu. Nikomu nie chciało się stanąć na warcie. Jak ujął to Mały, na krótko zanim zasnąłem, mieliśmy dwanaście zdrowych psów, które mogły stróżować za nas.

Legionista wyśmiewał się ze wszystkiego, nie miał litości dla nikogo. Były tylko dwie rzeczy, co do których miał głębokie uczucia. Jedno to jego religia (był fanatycznym muzułmaninem), a drugie to Francja. On sam był oczywiście Niemcem, ale wiele lat spędzonych w Legii Cudzoziemskiej uczyniło z niego Francuza. Pod czarnym mundurem czolgisty nosił „Tricolor”, owinięty wokół ciała jak szal. W kieszonce na piersi, razem z dokumentami nosił małą poźółkłą fotografię mężczyzny, którego z uporem nazywał „Mon General”. Porucznik Ohlsen powiedział nam któregoś dnia, że była to fotografia Francuza, Charlesa de Gaulle'a, który walczył na czele Wolnych Francuzów w Afryce. Heide zakodował sobie tę informację i wykorzystał ją dużo później podczas gwałtownej sprzeczki z Legionistą, kiedy niezbyt rozsądnie określił „Mon General” mianem „gówna pustyni”. Zanim ktokolwiek z nas się ruszył, Legionista błyskawicznie wyciągnął nóż i wyrył krzyż na policzku Heidego. Rana wymagała wielu szwów i nawet teraz, kiedykolwiek Heide się denerwował, na jego twarzy pojawiał się kształt siniego krzyża. Reszta z nas potraktowała całą sprawę na luzie, jednak Heidemu i Legioniście zapadła głęboko w pamięć.

- Mów, co chcesz, o kimkolwiek - powiedział Legionista - ale jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo przeciw „Mon General”, to ktoś zarobi nóż między zębami. Daję słowo.

Zapamiętaliśmy jego ostrzeżenie, choć wtedy z niego żartowaliśmy. Nigdy już nikt nie obraził „Mon General”, przynajmniej nigdy w obecności Legionisty.

Rozdział 3

- Dobra, można trochę odpuścić. Za pół godziny przerwa.

Stary zatrzymał psy. Wszyscy z wdzięcznością zaczęliśmy odpinać narty i siadać na śniegu. Psy leżały ciężko dysząc, ich oddechy tworzyły kłęby pary w mroźnym powietrzu. Stary zapalił fajkę. Barcelona gryzł zmarznięty kawałek chleba. Panowała cisza, względny spokój. I nagle w tej ciszy Heide zaczął wylewać z siebie historię swego życia. Słowa płynęły z niego, choć na początku nikt z nas nie zwracał na to uwagi. To wcale nie było takie niezwykle, by któryś z nas zaczął mówić, bez celu i o niczym, nie oczekując czy chcąc, by ktoś usłyszał nasze słowa. Była to konsekwencja naszego trybu życia, śniegu, zimna, ciągłego strachu i bliskości śmierci. Spaliśmy i jedliśmy razem, właściwie zawsze byliśmy razem, a jednak każdy miał poczucie izolacji, zdesperowanej samotności, która od czasu do czasu zmuszała nas do prowadzenia długich rozmów z samym sobą, tak jakby nikogo wokół nie było. W ten właśnie sposób Heide rozpoczął swój monolog. Nie mówił do nas, lecz do stepów, psów, śniegu i wiatru. My byliśmy jedynie niemymi świadkami.

- Mój stary był pijakiem - powiedział spluwając z pogardą pod wiatr, który zaraz opluł go z powrotem. - Pił jak ryba, wiecie? Pił jak przeklęta ryba... I, Boże Wszechmogący, przez co ten facet potrafił przejść! Nie żartuję, sześć butelek to jak nic dla mojego starego. Nic a nic. Myślicie, że wy potraficie pić? - Roześmiał się pogardliwie do słuchających go psów. - Za cholerę nie dalibyście mu rady... Nie żeby on zawsze był trzeźwy, tego nie powiedziałem. Jak się nad tym zastanowię, to chyba nigdy nie widziałem go trzeźwym - Heide zmarszczył brwi. - Prawda jest taka, że zawsze był zalany i nigdy trzeźwy... Jak już się zalał, to zawsze nas, dzieciaki, prał swoim wielkim skórzanym pasem, który nosił, aż byliśmy sini. Prawie każdego dnia nas lał. My to po prostu akceptowaliśmy, ale moja stara się dużo modliła. Nigdy nie wiedziałem, o co się tak modliła, bo tylko do siebie coś tam w kącie mruzczała. Dobry Boże, zrób to, dobry Boże, zrób tamto...

Heide spojrzał na zachód ponad naszymi głowami, jego oczy były bardzo wyraźne i niebieskie i pewnie nie widziały wszechobecnego dywanu ze śniegu i wysokich świerków, tylko miasteczko w Westfalii i ruderę, w której przyszedł na świat.

- Wiecie, co mój stary zwykł mówić, jak nas bił? „Nie robię tego, bo jestem pijany, nigdy tak nie myślcie. Robię to dla Niemiec. To wszystko dla Niemiec. To grzeszne ciało musi być oczyszczone...". On też czyścił swoje grzeszne ciało, jasne. W łóżku ze starą... Czasem leżeliśmy słuchając, jak to robią, a czasem wysyłali nas do parku, na pół godziny.

Siedzieliśmy tam i gapiliśmy się na pomnik cesarza na koniu. Zwyczajnie siedzieliśmy i gapiliśmy się, aż stwierdzaliśmy, że już można wracać. Musiałem nawet zabierać ze sobą swoją młodszą siostrę, którą wszędzie nosiłem, bo nie nauczyła się jeszcze chodzić... Miałem kiedyś jeszcze jedną siostrę, Bertę. Była najstarsza, ale umarła... Dali mi po niej szal. Pamiętam, że poszedłem do kościoła, żeby podziękować za ten szal, bo to była ciężka zima, a ja nie miałem żadnej kurtki... Nigdy nie miałem kurtki. Choć raz prawie jednej nie zwinąłem, tylko mnie nakryli, zanim miałem szansę się w nią ubrać. Musiałem iść do księdza i powiedzieć mu o tym. Uderzył mnie tak mocno, że przewróciłem się na jego szafkę z porcelaną. Potem znowu mnie walnął, jeszcze silniej, prawie tak mocno, jak bił nas mój stary. Był bardziej wkurwiony swoją zbitą porcelaną niż moją kradzieżą kurtki... Jeden z moich braci się wydostał z tego bagna i wstąpił do wojska. Napisał do nas list z fotografią pokazując nam, jak wygląda w mundurze, ale potem już nic nie napisał. Nazywał siebie komunistą. Pewnie skończył w obozie koncentracyjnym. On zawsze szukał dziury w całym. Nigdy nie wiedział, kiedy trzeba trzymać język w gębie. Zawsze wrzeszczał o zwycięstwie proletariatu. Heide roześmiał się cynicznie z naiwności brata.

- No i był jeszcze Wilhelm. To kolejny z moich braci. Nauczył mnie wskakiwać do tramwaju, kiedy kanar nie patrzył, a kiedy już podchodził i żądał biletu, zeskakiwaliśmy wykrzykując wszystkie przekleństwa, jakie wtedy znaliśmy. A trochę ich znaliśmy, mówię wam... Myśleliśmy, że to taka zabawa, wykrzykując różne słowa i uciekając, a on musiał tam stać i gówno mógł zrobić. Tyle że jednego dnia coś zrobił i Wilhelm wpadł pod tramwaj i został zmiażdżony... Heide potrząsnął głową.

- Obwiniali mnie o to. Powiedzieli, że to ja go wprowadziłem na złą drogę, ale to nieprawda. Byłem młodszy od niego. To nie była moja wina, że zginął... Chciałem mieć po nim buty, tylko na mnie nie pasowały. Byłem większy od Wilhelma. Młodszy, ale większy, rozumiecie? Wilhelm był zawsze chudym kurdupem. Więc dali jego buty Ruth, ale to była czysta strata. Nie potrzebowała ich zbyt długo, bo kupiła ją jakieś bogate małżeństwo z Linzu. No, ONI nazywali to adopcją, tyle że mój stary dostał za to kasę, więc ja mówię, że to sprzedaż. Ryczała, jak już wiedziała, że czas na nią. Stary sprzął ją na kwaśne jabłko, aż przestała... Za Ruth dostał pięćdziesiąt marek. Może wam się wydaje, że to nie dużo, ale dla nas to był majątek, mówię wam. W każdym razie przez kilka dni stary miał co pić... Gdyby tylko znalazł kupca, to by nas wszystkich sprzedał, tylko kto by chciał parę zasmarkanych bachorów. Tak właśnie powiedział. Tej nocy wyszedł i zalał się w sztok, a my schowaliśmy się na poddaszu i nie wyszliśmy, aż odpadł, ale i tak sprzął nas nazajutrz... Niedługo później wróciłem ze szkoły i zobaczyłem, jak moja stara siedzi na łóżku i płacze. Pamiętam ten dzień.

Zawsze będę pamiętał ten dzień.

Heide spojrzął na padający śnieg, po czym wyciągnął rękę do swego znenawidzonego wroga, przywódcy psów w zaprzęgu, parszywego żółtego kundla, którego zawsze straszył uderzeniem w gardło. Ku naszemu zdumieniu pies przyczołgał się do Heidego i zaczął z pasją oblizywać jego twarz, a Heide odwzajemniał się drapiąc psa za uchem. W tym czasie wszyscy słuchaliśmy już jego historii.

Nie miałem pojęcia, dlaczego płacze, ale usiadłem na łóżku obok niej i także zacząłem płakać i tak płakaliśmy razem, aż usnąłem. Innych dzieciaków nie było, nie mam pojęcia, gdzie się podziały. Pewnie bawiły się na ulicy. Tak czy inaczej, gdy się obudziłem, było już ciemno. Czulem, że coś jest nie tak, znacie to uczucie? Wciąż czulem, że moja stara leży obok, tylko to było tak, jakbym był sam. Nie słyszałem oddechu ani nic. Tak się bałem, że nie mogłem się poruszyć... Po jakimś czasie zapaliłem świece, a ona tam po prostu leżała z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w sufit. Wiedziałem od razu, że nie żyje. Miałem zaledwie dziesięć lat, dziewięć i pół, ale nawet w tym wieku możesz rozpoznać śmierć. Nagle Heide spojrzął prosto na nas, a jego twarde niebieskie oczy były pełne łez.

- Moja matka - powiedział z przejęciem - była dobrą kobietą. Pochodziła z dobrej rodziny. Szanowanej i ciężko pracującej. Nigdy na nas nie krzyczała, nie biła. I możecie w to wierzyć lub nie, ale daję wam słowo, że moja matka ani razu w swoim życiu się nie upiła.

Stary próbował ją raz upić. On i jeden z naszych sąsiadów. Próbowali wlać jej alkohol siłą do gardła. Ale ona się nie dała. Wiecie, co zrobiła? Chwyliła butelkę i rozbiła ją staremu na głowie. A jak się wściekł, to zwyczajnie chwyciła nóż kuchenny i wpakowała mu go w udo. - Heide roześmiał się do własnych wspomnień. - To go powstrzymało, mówię wam! Musieli mu założyć parę szwów na nodze. Jasne, że ją potem sprął. To było wiadome. Ale już nie mógł jej zmusić do robienia czegoś, czego nie chciała...

- Co się stało tym razem, o którym opowiadałeś? - Zapytał Mały, nagle przerywając monolog Heidego. - Kiedy się obudziłeś i ją znalazłeś?

Heide podrapał się po swej odmrożonej twarzy, oderwał kawałek strupa i podał psu. Pies powąchał to podejrzliwie i zjadł. Heide zmarszczył brwi.

- Stary wrócił. Zalany w trupa, jak zwykle i jak zwykle szukający zwady. Przyprowadził ze sobą jednego ze swych koleżków. Gość nazywał się Schmidt. Prawdziwy łaps - Heide jeszcze mocniej zmarszczył brwi. Jego oczy znowu były suche, wzrok zimny i klarowny, jego usta zmieniły się w wąską kreskę wyrażającą zaciętość, znaliśmy ten wygląd ust, ściśnięte jakby ssał cytrynę.

- Kiedyś dorwę tego skurwysyna Schmidta - powiedział.

- Czemu? - Podchwycił z miejsca zainteresowany Mały. - Co ci zrobił?

- Jest głównem - powiedział Heide, tak jakby to wszystko wyjaśniało. - Pracował kiedyś z moim starym w kopalni, a jak go wywalili, załapał się jako pielęgniarz w miejscowym szpitalu dla czubków. Pielęgniarz! Wszyscy opowiadali, jak bił pacjentów na prawo i lewo. Teraz dopiero musi mieć frajdę. Zarządza krematorium, a wierzcie mi, że jest cholernie dużo trupów do spalenia. Załatwiają ich tam jak muchy. To niby tajemnica państwowa, ale każdy o tym wie.

- Czemu? - Ponownie odezwał się Mały. - Czemu to ma być tajemnica, jeśli czubki umierają, kiedy nie jest tajemnicą, gdy umierasz ty, czy ja?

- To co innego - zirytował się Heide. - W wariatkowie dają im zastrzyki i nazywają to eutanazją.

- Po co?

- Skąd, do cholery, ja mam wiedzieć, po co? Pewnie dlatego, że nie są nikomu do niczego potrzebni. To robią lekarze, wszystko jest legalne, tyle że tajne.

Na chwilę zapadła cisza. Zastanawialiśmy się nad kwestią usuwania wariatów tylko dlatego, że byli bezużyteczni. Widziało się gdzieś w tym logikę, ale też nikt nie czuł się z tym do końca dobrze.

- A co z tym Schmidtem? - Zapytał Porta. - Ten kumpel twojego starego. Nie powiedziałaś nam, co on niby zrobił.

- Żadne niby - poprawił Heide. - Co zrobił i co powiedział... Kiedy weszli obaj, drąc się i klnąc na cały głos na starą, żeby wstała i przygotowała im żarcie, powiedziałem im, że ona nie żyje, ale mi nie uwierzyli. Schmidt tylko się roześmiał i powiedział, że ona tylko udaje. Powiedział, że stare wariatki u czubków też robiły takie numery. On wiedział, co trzeba robić w takich wypadkach. Powiedział: „Czemu nie spróbujemy wbić w nią trochę życia? To na pewno więdźmie pomoże i może wreszcie się nami zajmie...”. Dokładnie tak powiedział, słowo w słowo. Heide spojrzał na nas.

- Obiecałem sobie, że któregoś dnia go dorwę.

- Jak? - Zapytał Legionista praktycznie.

Wszyscy się nagle ożywili i podjęli dyskusję na temat, w jaki sposób najlepiej załatwić kogoś takiego jak Schmidt. Heide przysłuchiwał się temu, ale nie wtrącał.

- Dostanę go - oznajmił. - Dostanę, już wy się o to nie martwcie.

Uśmiechnął się w typowy dla siebie diaboliczny sposób.

- Stłukli ją praktycznie na miazgę, zanim sami stwierdzili, że nie żyje. Później złamali mi rękę, skopali i wyszli znowu pić. Poszedłem po policję. Powiedziałem, że nic nie

pamiętam i zamknęli ich oskarżając o morderstwo. Przesiedzieli w pierdlu sześć tygodni, zanim zacząłem mówić. Kiedy wyszli, stary był tak wściekły, że o mało mnie nie zabił... Jak wyszedłem ze szpitala, to po prostu spakowałem swoje rzeczy i zostawiłem wszystko za sobą. Od tego czasu już tak jest.

Znowu zapadła cisza. Wielu z nas, w kompanii karnej, miało różne trudne historie do opowiedzenia, ale sądzę, że opowieść Heidego była jedną z najbardziej dołujących. Tego faceta nie dało się lubić, ale przynajmniej teraz można go było zrozumieć. Jeśli w naszych sercach byłoby jakiegokolwiek miejsce na sentymenty, to kto wie, może nawet byśmy mu współczuli.

- Ten Schmidt - powiedział Porta w końcu. - Trochę późno się za to chcesz zabrać, co? Byłeś wtedy dzieckiem i...

- Siedemnaście lat temu - powiedział Heide Odepchnął od siebie psa i wstał. - Nie martw się, nie zapomniałem. Wiem, gdzie skurwysyn jest i któregoś pięknego dnia go odwiedzę.

Wierzyliśmy mu. Była to jedna z rzeczy, tak jak Legionista i jego „Mon General”, z których się nie żartowało. Większość z nas miało swój słaby punkt, jakąś obsesję, która była bliska naszemu sercu i z której nauczyliśmy się nie żartować.

- Mówię wam - powtórzył Heide - skurwysyn dostanie, co mu się należy.

- Jasne! - Powiedział Porta, klepiąc go po ramieniu. - Dostaniesz go, na sto procent, nie martw się.

Turcja! Nie mogliśmy uwierzyć w nasze szczęście, kiedy się okazało, że jesteśmy w pobliżu granicy. Wydawało się to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Minęły zaledwie sekundy od momentu, kiedy się o tym dowiedzieliśmy i już jak zwykle puściliśmy wodze fantazji, marząc o szalonych seksualnych przygodach. Marzyliśmy o burdelach i haremach, tańcach brzucha i egzotycznych pięknościach. Blisko granicy! Tak blisko, a jednak tak bardzo daleko... Zbyt piękne, by było prawdziwe. Było zbyt piękne. Nasze fantazje szybko się rozwiały. Nie było żadnego sposobu na przekroczenie granicy... Opuściliśmy wioskę tak, jak do niej wkroczyliśmy, Stary powozik zaprzęgiem, wszyscy inni na nartach, Heide przeklinał parszywego, żółtego kundla. Jediną różnicą było to, że teraz mieliśmy ze sobą jeńca, który miał nam towarzyszyć w naszej wędrówce.

Rozdział 4

Psy były wycieńczone. Wyciągnęły się na śniegu, ciężko dysząc z wywalonymi na wierzch językami. Było jasne dla każdego, że byliśmy niedoświadczoną ekipą, jeśli chodzi o prowadzenie psiego zaprzęgu. Nawet Stary, doświadczony wyga, nie był żadnym ekspertem. W cywilu był młynarzem, zapewne wspaniałym. Żołnierzem został z konieczności. Pierwszorzędnym żołnierzem. Kochał bycie cywilem i nie znosił wojska. Jeśli chodzi o psy, to zrobił, co mógł i z pewnością kierował nimi lepiej niż ktokolwiek z nas, ale fakt pozostawał - psy były wycieńczone. My sami byliśmy w niewiele lepszym stanie. Otaczał nas wrogi kraj. Czuliśmy tę wrogość w każdym podmuchu wiatru. Czuliśmy ją każdej minuty, każdego dnia i czuliśmy, że powoli nas niszczy. Kłóciliśmy się i dogryzaliśmy sobie bezustannie, wszyscy w podłych nastrojach i na granicy cierpliwości. Tego właśnie poranka przez ponad dwadzieścia minut Mały i Heide walczyli ze sobą na pięści w złowrogim milczeniu. Z nosa Heidego została zrobiona krwawa papka. Stary przerwał w końcu walkę grożąc swoim rewolwerem. Nie było oczywiście mowy, żeby go użył i obaj walczący o tym wiedzieli, ale w głosie Starego było więcej autorytetu niż w całym pułku rozkrzyczanych starszych sierżantów. Walka została przerwana, ale niechęć i obelgi jeszcze trochę trwały. Straszili się nawzajem śmiercią i wyglądało na to, że wierzą w to, co mówią.

Jeden z psów mocno utykał i chodzenie sprawiało mu widoczny ból. Zdecydowaliśmy, że lepiej skończyć z jego cierpieniem i Mały zgodził się to zrobić. Podciął psu gardło, od ucha do ucha, uśmiechając się przy tym jak wariat. Gdy zaprotestowaliśmy, zaczął na nas wrzeszczeć.

- Czemu mam się nie cieszyć? Nie zabijałem psa tylko Juliusa Heidego i jego idiotyczne uprzedzenia!

Znowu ruszyliśmy z zaprzęgiem. Nagle i zupełnie bez powodu Stary zatrzymał zaprzęg na szczycie niewielkiego stoku. Podbiegliśmy do niego i zamarliśmy ze zdumienia.

- Allah! - Powiedział Legionista z namaszczaniem. - Wygląda jak morze.

- To niemożliwe.

- To co to jest w takim razie?

Sprawdziliśmy mapę, sprawdziliśmy kompas i kiedy spojrzeliśmy ponownie, morze wciąż tam było, w całej swojej tajemniczej niemożliwości. Stary potrząsnął głową. Nie pomylił się co do trasy, morze było setki kilometrów stąd. A raczej powinno być.

- Dziwne - powiedział Porta. - Przysięgłbym, że jest zaledwie jakieś trzydzieści

metrów od nas.

- Bo jest.

- To co to, u diabła, jest?

- Jezioro?

- Które jezioro? - Spytał Legionista.

Ponownie spojrzeliśmy na mapę. Żadnego jeziora tam nie było.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał się Stary. Staliśmy obok siebie, wpatrzeni w milczeniu w zamrażającą przestrzeń wody przed nami.

- Bagno? - Zasugerował Profesor, mrużąc oko przez jedyne pozostałe szkło w okularach, drugie się zbiło podczas jednego z jego częstych upadków. - To oczywiste, że to nie jest morze. Morza nie zamrażają.

- Nie, to nie bagno. Nigdy nie widziałem żadnych moczarów, które tak wyglądają.

- W takim razie, co to jest?

Wstawał księżyc i w jego świetle zdawało się nam, że możemy dostrzec drugi brzeg oddalony o jakieś dwa, trzy kilometry.

- To rozstrzyga sprawę - stwierdził Steine: - To rzeka.

Ponownie pochyliliśmy się nad mapą. Legionista z uwagą przyglądał się nocnemu niebu, mierzył kąty kompasami, znowu spojrzął na niebo, wzruszył ramionami i poddał się. Żadnego) morza, jeziora czy rzeki nie można było znaleźć.

- To nie jest wina kompasu. Musimy wciąż iść na zachód. Nic na to nie poradzimy, musimy przejść po lodzie na drugą stronę.

- Chyba tak. - Stary oparł się o sanie, wyglądając na zmartwionego. - Mam tylko nadzieję, że to właściwy kierunek. Kończy się nam żywność, więc nie stać nas na pomyłki.

Porta był pierwszym, który wszedł na lód. Pełził na brzuchu, a my wszyscy za nim, pełni niepokoju. Ta potężna płachta lodu zamieniła nas w kupę trzęsących się tchórzy. Bóg jeden wiedział, jak głęboka jest lodowata woda pod nami, ale kąpiel w takiej temperaturze to byłaby pewna śmierć. Legionista, który był najbardziej z nas praktyczny, próbował przebić się nożem przez górną warstwę. Wreszcie mu się to udało i stwierdził z satysfakcją, że lód był wystarczająco gruby, by nas utrzymać. To odkrycie sprawiło, że cieszyliśmy się jak dzieci. Mały i Porta skakali w ekstazie, ślizgali się i upadali wznosząc okrzyki radości.

- Nigdy nie przestajecie mnie zadziwiać - stwierdził Stary. - Czy może jakimś cudem zapomnieliście, że jesteśmy jakieś 1000 kilometrów za rosyjskimi liniami?

- Rosjanie mogą się wypchać! - Krzyknął Mały radośnie wirując na lodzie.

Głośny i złowieszczy trzask sprawił, że wszyscy zamarliśmy, spoglądając wokół

oczami pełnymi przerażenia.

- Chodźmy - powiedział Stary gniewnie.

Jeszcze raz ruszyliśmy po lodzie, teraz z szacunkiem, sunąc powolutku, próbując stać się tak lekkimi, jak to tylko możliwe. Każdy trzask, każdy odgłos zamrożonej białej masy sprawiał, że my także wydawaliśmy z siebie jęki i westchnienia. Każda minuta przynosiła dawkę świeżego strachu i dotarcie na drugi brzeg zabrało nam wiele godzin. Po wyjściu znaleźliśmy się wśród brzoź i nasze napięcie znikło tak gwałtownie, jak się pojawiło. Musieliśmy teraz wyciąć tyle gałęzi, by rozpaść ogień i zabraliśmy się za to z entuzjazmem.

- To szaleństwo - powiedział Stary, gdy płomień zaczęły igrać z mroźnym powietrzem., Muszę tracić rozum. Taki płomień widać na 2 kilometry.

- I co z tego? - Mały przekornie rzucił kolejne polano do ognia. - Jeśli jakiś Rusek odważy się tu pokazać swoją gębę, to dostanie od razu w łeb i pójdzie do gara, kto wie? Nawet zawszawiony Rusek może być smaczny, jak zdychasz z głodu. A co z kotami, z baraków Dibuwilki? Miły tłusty Rusek byłby smaczniejszy od parszywego kota.

- Więc teraz jesteśmy kanibalami? - Zadrwił Heide. - Tego mogłem się po tobie spodziewać Wszystkiego można się po tobie spodziewać.

Mały nachylił się lekko.

- Powiem ci, co zrobię, Julius: specjalnie dla ciebie zostawię zad, choć jest to najlepszy kawałek.

- Zgaście ten ogień! - Nie wytrzymał Stary.

Staraliśmy się jak mogliśmy, używając garści śniegu, ale w jakiś dziwny sposób to raczej podsycalo płomień. Kiedy zasypialiśmy, ognisko wciąż się tliło.

Obudził nas przesywający okrzyk. Zerwaliśmy się momentalnie, chwytając pośpiesznie broń, wyteżając wzrok, by dojrzeć coś w ciemnościach. Po chwili usłyszeliśmy go ponownie. Długi, płaczący i mrozący krew w żyłach krzyk.

- Boże najświętszy, co to jest? - Spytał Barcelona.

Ogień prawie wygasł. Parę gałęzi jeszcze się tliło, ale nie dawały dobrego światła.

Kiedy nasze oczy przyzwyczaiły się wreszcie do panujących ciemności, ujrzeliśmy czającego się wśród drzew olbrzymiego potwora. Porta krzyknął z przerażenia i schował się za Małego. Profesor osunął się na ziemię z jękiem. Kolejny wyjący krzyk rozdarł noc na pół. I wtedy Legionista zaczął się śmiać. Był to śmiech czystej radości. Osobiście pomyślałem, że właśnie postradał zmysły.

- Na Allacha! - Opanował się wreszcie i zwrócił do nas, trzęsących się jak osika. - To wielbłąd, wy idioci! Dziki wielbłąd. Jego kumple też są pewnie gdzieś w pobliżu.

Ostrożnie, wciąż sądząc, że zwariował, przesunąłem się do przodu z bronią gotową do strzału. I oto był, tuż przed nami. Już teraz bez wątpienia, lekceważąco przed nami stał wielbłąd. Gdy tak staliśmy przyglądając mu się, dołączyły do niego kolejne dwa i stały tak, garb w garb w lodowatym wietrze, oglądając nas z wyrazem nieprzychylności na pyskach.

- Mój Boże! - Wykrzyknął Steiner, robiąc kilka odważnych kroków naprzód. - Tu są setki tych bydlaków.

- Stado cholernych wielbłądów - wymamrotał Porta.

- Dromaderów - poprawił go Heide w typowy dla siebie wszystkowiedzący sposób. - Mają dwa garby.

- Tak właśnie mają wielbłądy - stwierdził krótko Porta.

- Dromadery.

- Wielbłądy.

- Mówię ci, że dromadery.

- Zamknij się już do cholery! - Nie wytrzymał Porta. - Kogo to obchodzi, co to jest? Ja chcę tylko wiedzieć, czy na tym można jeździć?

- Oczywiście - powiedział Legionista, z nonszalancją głaszcząc pysk stojącego obok stworzenia. - Nigdy nie jeździliście na wielbłądach w zoo?

- Dromaderach - wysapał Heide.

- Wielbłądach - powtórzył Legionista. - Znane są dwa rodzaje: jedno- i dwugarbne.

- Które żyją w Afryce - dodał Mały autorytatywnie. - Rozejrzyjcie się panowie, to tam zamarnięte to rzecz jasna Morze Śródziemne! Legionista pokręcił tylko głową.

- Nie ma tak dobrze! Wielbłądy występują także w innych miejscach oprócz Afryki. Nawet w Chinach. To musi być jeden z rejonów Kaukazu, gdzie się rozmnażają. Rosjanie mają całe dywizje na wielbłądach - przerwał nagle, gdy naszym oczom ukazał się nowy i alarmujący widok. Trzech mężczyzn ubranych w dziwny zbiór szmacianych kaftanów i skór wyszło zza drzew i zmierzało w naszym kierunku. Zatrzymali się i uśmiechnęli, po czym wskazali na zachód i zaczęli mówić w języku, który zdawał się nie mieć wiele wspólnego z rosyjskim. Heide sięgnął automatycznie po swój pistolet, ale Legionista mu go wyrwał.

- Nie bądź pieprzonym idiotą! Pewnie są przyjacielscy. Może będą w stanie nam pomóc. Stary odwrócił się do najstarszego z mężczyzn.

- Niemiec? - Zapytał. Odpowiedź była kompletnie niezrozumiała.

Stary wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- *Nie rozumaju.*

- *Germanicy?*

Zawahaliśmy się zdając sobie ze zgrozą sprawę z tego, że rozpoznali, kim jesteśmy. Czy myśleli o tym, by nas wydać Rosjanom? Jeśliby nas złapano w takim przebraniu, to było pewne, że zostaniemy rozstrzelani. Obcy roześmiali się zgodnie. Wyglądali na dość miłych, choć ewidentnie Mały, który był dwa razy wyższy od nich, ze swoją zmasakrowaną twarzą i złamanym nosem napawał ich strachem. Zaoferowali nam trochę chleba i koziego mleka, a my w zamian daliśmy im paczkę machorki. Wciąż śmieli się radośnie i w końcu my też bez żadnego powodu ulegliśmy ich nastrojowi. Po chwili ich przywódca dyskretnie spytał nas na migi, czy nie mamy wódki i Stary podał mu swoją własną flaszkę. Zawartość znikła ze zwyczajową szybkością i mężczyźni, najwyraźniej nabierając do nas zaufania, odciągnęli Starego na bok i zaczęli energicznie gestykulować, mówiąc przy tym szybko w swoim dialekcie. Rysowali coś niewyraźnie na śniegu cały czas wskazując na zachód. Stary przyglądał się temu niewiele rozumiejąc. Nagle jeden z nich zaczął biegać w kółko krzycząc „bum, bum!”, wreszcie upadł w śnieg, jakby został trafiony. Stary patrzył na ten pokaz przez chwilę i pokiwał z wdzięcznością głową. Trzej mężczyźni znowu się roześmiali. Wyglądało na to, że mają wysoko rozwinięte poczucie humoru, choć na zawsze pozostało dla mnie tajemnicą, co ich tak wiecznie bawiło.

Dwa dni później weszliśmy do wioski w ich towarzystwie. Nikt z nas nie był z tego zbyt zadowolony. Wioska oznaczała ludzi, a gdzie byli ludzie, tam, wiedzieliśmy z doświadczenia, było także NKWD. Nasi trzej towarzysze jakby zgadywali, o czym myślimy, ale to tylko rozbudzało jeszcze bardziej ich wesołość.

- *Niet politruków!* - Krzyknął jeden z nich wesoło.

Nasze przybycie do wioski nie spotkało się z żywszym zainteresowaniem wśród mieszkańców. Fiodor, przywódca pasterzy wielbłądów, wskazał na linię domów i dał znak, by Stary udał się za nim. Jednak Stary, całkiem zrozumiale, zawahał się.

- *Niet politruków!* - Upierał się Fiodor śmiejąc się radośnie.

Legionista poprawił broń na ramieniu i zaoferował, że pójdzie ze Starym.

- Dobra. - Stary odwrócił się do nas. - Jeśli nie wrócimy za pół godziny, lepiej nas zaczniście szukać.

Nie musieliśmy długo czekać. Zajęliśmy szalás, który najwyraźniej uchodził tu za bar i zanim zaczęliśmy się martwić, Stary i Legionista wrócili, pchając przed sobą młodego, może osiemnastoletniego chłopca, w mundurze niemieckiego artylerzysty.

- Zobaczcie, kogo dał nam Fiodor!

Patrzyliśmy zaskoczeni.

- Był tutaj trzy miesiące. Rosjanie postawili go przed plutonem egzekucyjnym.

Lokalni ukrywali go przez cały czas w wiosce. Chłopiec spoglądał na nas olbrzymimi, przerażonymi oczami jakby sądząc, że my też będziemy chcieli go rozstrzelać. Z pewnością nie mógł uwierzyć, że jesteśmy, mimo naszych mundurów, jego krajanami.

- Paul Thomas - powiedział nagle. - Artylerzysta, 209. pułk artylerii.

Stary podniósł butelkę i podał mu.

- Napij się. Jesteś wśród przyjaciół.

- Nie mogę pić.

- Nie możesz pić? - Porta pochylił się ku niemu z zainteresowaniem. - Czemu nie?

- Źle się potem czuję.

Chłopiec odwrócił głowę i zobaczyliśmy wyraźną czerwoną bliznę, idącą od czubka głowy do karku.

- Wcale mnie to nie dziwi - mruknął Barcelona. Rana była wciąż świeża i zaropiała. - Ja się źle czuję tylko na to patrząc. Co się stało?

- Zaskoczyli nas pewnego wieczora. Całą sekcję. Większość z nas po raz pierwszy widziała akcję. - Wzruszył ramionami, jakby to było wszystko, co miał siłę nam powiedzieć.

Fiodor, który stał ze zrozumieniem z boku grupy, wyciągnął do niego kubek mleka. Chłopak porwał go i wypił łączywie. Uśmiechnął się do Fiodora.

- *Spasiba towariszcz* - powiedział z przejęciem.

Fiodor poklepał go po policzku, mrużąc coś we własnym języku.

- Więc co się stało? - Powtórzył Porta po chwili.

Chłopiec oblizwał swoje wargi nerwowo.

- No... Tauber, on był sierżantem i dowodził nami, chciał, żebyśmy się poddali. Niektórzy z nas chcieli walczyć dalej. Tauber powiedział, że to samobójstwo. Było ich sto razy więcej od nas. Tauber powiedział, że jeżeli się poddamy, to potraktują nas jak jeńców wojennych. Niektórzy chłopcy mówili, że słyszeli, jak Rosjanie traktują swoich jeńców i że gdybyśmy się tylko utrzymali jeszcze przez pół godziny, to kto wie, co się stanie. Tak czy inaczej Rosjanie krzyczeli, żebyśmy się poddali. Obiecywali, że będą nas dobrze traktować. Wtedy Tauber powiedział, że nie chce jeszcze umierać i że on jest sierżantem, a my tylko szeregowcami i musimy robić to, co nam każe. Więc się poddaliśmy - zakończył chłopiec po prostu.

Patrzyliśmy na niego z nieukrywanym zdumieniem.

- Gdzie była reszta pułku? - Zapytał w końcu Barcelona.

- Już się wycofali. My zostaliśmy, żeby zabezpieczyć tyły.

- I co się stało, jak już daliście sobie spokój?

Na początku nie było źle. Dali nam sznapsy i jakieś ich fajki i nawet jeden z oficerów zamienił bochenek chleba na żelazny krzyż Taubera. Potem zaczęli nas przesłuchiwać, tak jak my przesłuchujemy naszych jeńców. Spyтали nas, czy byliśmy członkami Hitler Jugend, tak jak my zawsze pytamy, czy są komsomolcami.

- Oczywiście wyparliście się?

- Tak, ale odkryli, że kłamiemy. Jeden idiota nosił ze sobą dokumenty, które mówiły, że kłamiemy, więc zaczęli na nas wrzeszczeć i naprawdę się zdenerwowali. Oskarżyli nas o torturowanie ludzi. Bóg wie co jeszcze... Zabrali nas do jakiejś wioski o nazwie Daskiowe. Coś w tym rodzaju. Nie wiem nawet, gdzie to było. Nie bili nas ani nic. Po prostu zabrali nam wszystko - zegarki, pierścionki, pieniądze, wszystko.

Chłopak zawahał się, spoglądając z trwogą dookoła, tak jakbyśmy mieli być do niego wrogo nastawieni.

- Mów dalej - powiedział Stary delikatnie. - Co się stało potem?

- No co, zastrzelili nas, nie? Jednego po drugim. Musieliśmy stanąć w kolejce i iść do przodu po kolei. Ja byłem ostatni. Powiedzieli, że dlatego, że jestem najmłodszy i mam prawo żyć trochę dłużej. Kiedy przyszła moja kolej, wyciągnęli mnie do przodu i kazali uklęknąć, a gość, który strzelał powiedział, że przekrzywiam głowę, więc ją wyprostował. Czulem lufę jego broni na szyi. Była bardzo zimna... I wtedy był ten huk i czulem, jakby mi głowę rozwaliło na pół - spojrzał na nas i uśmiechnął się z nadzieją do Starego. - Nie pamiętam nic więcej do momentu, kiedy się obudziłem i zobaczyłem, że Rosjanie już poszli i tylko ja zostałem żywy. Inni leżeli na ziemi w pobliżu. Tauber i Willi i pozostali. Martwi. Ja też chciałem być martwy - powiedział nam z przejęciem. - Tak bardzo się bałem leżąc tam sam.

- Co zrobiłeś?

Wydostałem się tak szybko, jak tylko mogłem! Nie mogłem stać, bo było mi słabo. Czołgałem się, ale i to ledwo, bo byłem taki słaby. I wtedy znalazł mnie Fiodor, tyle że myślę, że nie wiedział na początku, kim jestem. Byłem cały we krwi i chyba nie wyglądałem jak człowiek. Przyniósł mnie tutaj i tak zostałem.

- A co z twoją głową? - Spytał Porta. - Coś na to poradzili?

- Przysłali mi swojego lekarza. Myślę, że to był lekarz. Nie wiem. Przywiązał mnie do stołu i grzebał mi w głowie nożyczkami, aż znalazł kulę.

- Nożyczkami? - Profesor był przerażony.

- Masz na myśli szczypce?

- Nie, nożyczki. Normalne nożyczki do cięcia.

- A znieczulenie?

- Nie. - Chłopak potrząsnął głową, jakby przepaszając za prymitywną chirurgię lekarza. Nie sądzę, że mają tutaj takie rzeczy. Zresztą odpadłem na długo, zanim skończył.

Daliśmy mu chwilę wypełnionej szacunkiem ciszy, którą po chwili przerwał Heide.

- Co to za zwariowany język, którym tutaj mówią?

- Turecki - powiedział Paul. - Wiele się już nauczyłem.

- Turecki? - Wszyscy spojrzeliśmy na niego ze zdumieniem. - To gdzie teraz jesteśmy?

- Niedaleko tureckiej granicy.

- Coś podobnego - stwierdził Mały ze zdumieniem. - Ale się, kurde, przesuwamy! Raz jesteśmy na Kaukazie, za chwilę stajemy nad brzegiem Morza Śródziemnego, potem trafiamy na stada dzikich wielbłądów w Chinach, a teraz jesteśmy tylko rzut kamieniem od Turcji! - Odwrócił się z przejściem do chłopca. - Powiedz mi synku, o której odchodzi następny pociąg? Kiedy już zostawię to wszystko z tyłu, to stary wujek Adolf może się pocałować w dupę i tyle mnie to będzie obchodziło!

- Stąd nie ma żadnych pociągów - powiedział Paul z powagą. - Jesteśmy w głębokiej dupie. Stąd nie można się wydostać.

Jego słowa w żaden sposób nie wpłynęły na nasz wesoły nastrój. W myślach, choć jeszcze nie w ciele, byliśmy już bezpieczni w Turcji. Porta z miejsca oddał się swoim ulubionym marzeniom: burdel deluxe i szalona orgia seksualnych perwersji. Rozwinął ten temat w tak barwny sposób, że jego nastrój udzielił się nam wszystkim. Barcelona narysował mapę na zakurzonej podłodze, by pokazać Małemu, gdzie leży Turcja w stosunku do naszego prawdopodobnego położenia, a Mały w swoim entuzjazmie, by natychmiast wyruszyć, skakał po całej mapie z powrotem ją wymazując. Legionista przypomniał sobie, że ma przyjaciela w Ankarze i wszyscy zastanawialiśmy się nad jak najlepszym sposobem przekroczenia granicy.

- Dokładnie jak daleko stąd jest granica? - Zapytał Stary.

- Około pięćdziesięciu kilometrów - powiedział Paul. - Ale pomiędzy jest pas ziemi niczyjej, która jest mocno zaminowana i na której roi się od NKWD. Nikt jeszcze się nie przedostał i przeżył, żeby o tym opowiedzieć. Tak przynajmniej powiedział mi Fiodor.

Nikt go nie słuchał. Fakt, że znajdowaliśmy się tak blisko neutralnego kraju, czasowo pozbawił rozsądku nawet najbardziej racjonalnych z nas.

Dopiero po paru dniach dotarła do nas niepodważalna prawda, którą usiłował nam przekazać Paul: przekroczenie rosyjskiej granicy z Turcją było po prostu niemożliwe.

Na szczęście, gdy byliśmy maksymalnie przygnębieni tym faktem, Mały znalazł ukryty magazyn alkoholu. Kilka skrzyń, każda opatrzona czerwoną gwiazdą Armii Czerwonej. To, że była to własność wroga, tylko zwiększyło nasze pragnienie. Piliśmy długo

i głośno i mieszkańcy po kolei zaczęli wypelzać ze swoich ruder i szałasów i przyłączać się do zabawy. Ktoś znalazł stare organy i wkrótce tańczyliśmy ekstatycznie na zaśnieżonych ulicach. Po krótkim czasie nie było w okolicy mężczyzny, kobiety, a najprawdopodobniej i dziecka, które byłoby trzeźwe. Cała wioska się bawiła. Mimo tego, gdy Stary podniósł ostrzegawczo rękę, wszyscy natychmiast umilkli, instynktownie niespokojni i czujni. Z końca ulicy dobiegł głos śpiewającego mężczyzny. Dźwięk przybliżał się, aż naszym oczom ukazał się przybysz. To był obcy, a nie jeden z mieszkańców wsi. Na ramieniu miał zawieszony karabin maszynowy, a piosenka, którą śpiewał głębokim, basem była smutna i poważna. Staliśmy jak zaczarowani, gdy się do nas zbliżał. Zatrzymał się kilka metrów od tłumu. Jego wzrok omiótł wszystkich zebranych i spoczął na jednej z flaszek z alkoholem. Podniósł ją, powąchał podejrzliwie, wreszcie uśmiechnął się z zadowoleniem, przechylił do tyłu głowę i napił się. Beknął, splunął i znowu się napił.

- *Towariszcz* - powiedział do Porty, który akurat stał najbliżej - jesteś pijaną świnią. Salutuję ci.

Po tych słowach wyrzucił pustą butelkę Przez ramię, zdjął swoją futrzaną czapę i podrzucił ją wysoko w górę z ochryplym okrzykiem. Wtedy pierwszy raz zobaczyliśmy oznaki NKWD. Można było niemal wyczuć, jak wszystkie serca w tłumie zamarły na ułamek sekundy. Nagle, ku zdumieniu wszystkich, mężczyzna rzucił swoją broń w kupę śniegu, złożył ręce na piersi, usiadł w kucki i zaczął tańczyć, wyrzucając nogi w różne strony i w podnieceniu uderzając obcasem o obcas.

Błyskawicznie w dłoni Małego pojawił się rewolwer. Wycelował i - zaniósł się histerycznym śmiechem. Jego palec niechcący zacisnął się na spuście i kule zaczęły świstać w powietrzu. Ci, którzy byli w zasięgu strzału, padli na twarz, ale Rosjanin kontynuował swój szaleńczy występ. Szczęśliwie dla nas wyglądało na to, że wypił już swoje na długo, zanim dotarł do wioski. Mały przestał się śmiać. Przeładował broń i zaczął strzelać w ziemię po obu stronach Rosjanina. Ten w końcu przestał tańczyć. Chwycił w dłoń kolejną butelkę i roześmiał się Małemu w twarz.

- Myślisz, że jesteś sprytny? Na mnie to nie robi wrażenia! Trzymaj, napij się.

Gdy Mały był w ten sposób zajęty, będąc dziedzicznie niezdolnym do odmówienia propozycji napicia się, Rosjanin podniósł swój karabin i posłał serię prosto pod nogi Małego. Mały wrzasnął i odskoczył do tyłu.

- W co ty się, kurwa, bawisz? Wiesz, kim ja jestem? Germański żołnierz, to ja! *Tankist!* Bum bum! I mam w dupie twojego Stalina czy jakiegoś innego cholernego Ruska!

- I teraz wiesz - podszedł do niego Porta i chwycił mocno za kłapy płaszcza - możesz

już wiedzieć wszystko... Ty Ruski, my Germańce, my wrogowie... Kapujesz? Ja kapral, podstawa Niemieckiej Armii. On - machnął ręką w kierunku Legionisty - on nie ruski, on nie germański. On francuski.

Rosjanin uśmiechał się przyjacielsko do Porty, skinął głową Legioniście, pogroził pięścią Małemu. Ewidentnie nie do końca dotarły do niego słowa Porty.

- Słuchaj - Porta był prawie załamany. Wyciągnął swój nóż i przyłożył mężczyźnie do gardła. - Ostrzegam cię Rusku, ten nóż jest ostry. Jakies problemy i po tobie bratku.

W tym momencie, w pijackim zwidzie, na scenę wkroczył Heide. Przybiegł z drugiej strony ulicy, przepychając się przez tłum z granatem w każdej dłoni. Widziałem, jak Stary próbuje mu zagrozić drogę, ale Heide po prostu go ominął i biegł dalej. I teraz Rosjanin nie był już pijanym i wesołym żołnierzem, ale członkiem jednej z najbardziej nienawidzonych służb policyjnych na świecie. Wyprostował się, oczy zwężone i podniósł karabin. Kule rozpryskały śnieg po obu stronach Heinego, który zignorował to ostrzeżenie. Teraz sytuacja w żadnym stopniu nie była już zabawna i stała się śmiertelnie poważna. Rosjanin wycelował w Heidego. Stary uniósł swój pistolet i także wycelował. W rosyjskiego żołnierza, który zobaczył to kątem oka. Zawahał się przez sekundę i podczas niej Heide potknął się, uderzając mocno głową w klatkę Piersiową Rosjanina. Granaty potoczyły się w śnieg i zostały uratowane przez Profesora. Karabin maszynowy został poderwany w górę i Legionista błyskawicznie wykorzystał to, by go wyrwać. W tym czasie Heide i Rosjanin zamienili się w wirującą masę rąk i nóg, a Stary opuścił broń potrząsając głową. Nadludzkim wysiłkiem Rosjanin oswobodził się z oszalałego uścisku Heidego. Cofnął się o krok, stękając, pogroził nam wszystkim pięścią i poinformował nas głośnym i aroganckim tonem, że on, Piotr Janów, osobiście dopilnuje, żeby Heide otrzymał najwyższą karę za to, że odważył się podnieść palec na oficera NKWD. On, Piotr Janów, nie przepuszcza takich zniewag. W odpowiedzi Heide dostał ataku śmiechu i oznajmił Rosjaninowi, że on, Julius Heide, ma zamiar poderżnąć mu gardło. Tłum zamarł w bezruchu. Rosjanin w rozdrażnieniu znowu zażądał dokumentów.

- Stul pysk! - Wrzasnął Heide. - Te bzdury możesz zachować dla jeńców. Na nas nie robi to wrażenia. Armia Niemiecka nie słucha byle dupka!

Powoli Rosjanin zaczął się nam bacznie przyglądać, zwracając uwagę na nasze mundury. Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie dało się wyczuć niemal błaganie.

- Niet Ruski? - Wyszeptał.

Stary podszedł o krok bliżej, rewolwer w gotowości. Tłum ścisnął się dookoła nas, zachęcony nagle widokiem nienawidzonego wroga, upokorzonego i nieporadnego. Jakaś kobieta roześmiała się złośliwie. Mały podniósł jedną z flaszek i dał Rosjaninowi.

- Wypij toast - rozkazał. - Za nas i na pohybel naszym wrogom! Niech się Ruski pogubią! Heil Hitler! - Janów wypił.

Wyglądało na to, że jest tak zszokowany, że nie wie, co się z nim dzieje. Mogliśmy sobie wyobrazić, jak się musiał czuć. Obecność niemieckich żołnierzy tak daleko na tyłach rosyjskich linii, a oprócz tego ubranych w mundury rosyjskich czołgistów, wszystko to sprawiało wrażenie nocnego koszmaru. Jednak to była rzeczywistość i przed nim stało kilku pewnych siebie i butnych Niemców. W danym momencie nie czuliśmy specjalnej animozji do tego człowieka. Gdzieś we wsi znaleziono i upieczono świniaka i do wzięcia udziału w naszej uczcie zwycięstwa zaprosiliśmy teraz naszego oswojonego Rosjanina. Zaprotestował niemrawo, że świnia jest własnością sowiecką, a my nie mamy prawa jej jeść, ale sądzę, że nawet on zdał sobie sprawę z bezsensu swoich słów.

Posadziliśmy go między nami na ulicy, gołymi rękami rozdzielając między siebie mięso. Butelki z wódką przechodziły z rąk do rąk i wszystkie różnice zostały szybko zapomniane. Barcelona poklepał zażyle Rosjanina kolbą swego pistoletu, krzyząc, Viva Moskwa!" Rosjanin beknął i okrzykami zachęcał Małego, który w pijackim widzie usiłował zdeprawować jakąś grubą dupiastą matronę z wioski.

Viva Stalin! - Krzyknął Barcelona.

Viva Stalin! - Jak echo krzyknął Rosjanin, - i Niech żyje Lenin, obrońca proletariatu! Stracił równowagę i upadł bokiem na śnieg, lecz Legionista znowu postawił go w pionie. Rosjanin wycelował w niego palec.

- Jesteś aresztowany - powiedział. - Wszyscy jesteście aresztowani. Już od jakiegoś czasu miałem was na oku... Przekłęci trockiści! Zacharczał głośno, splunął przez ramię i poinformował Legionistę, że Karol Marks był nałogowym pijakiem, upadając po raz kolejny zalotnie uchwycił się Porty.

Po chwili rozejrzał się wokół, jakby upewniając się, że można zachować dyskrecję, nachylił się i wyszeptał zachryple.

- *Towariszcz*, powiedz mi jedno: gdzie uczyłeś się mówić po rosyjsku?

- Jak to gdzie, w domu - szepnął Porta, zachowując tą samą dozę dyskrecji.

Nastąpiła krótka pauza, po czym Rosjanin uniósł się tubalnym śmiechem.

- Musisz mnie kiedyś nauczyć!

- Z przyjemnością - odparł Porta. - Chyba że wolałbyś uczyć się niemieckiego?

Rosjanin nagle znów stał się poważny.

- Gdzie są twoje dokumenty? - Zażądał. - Nie widziałem twoich dokumentów... Masz jakieś papiery?

- Jasne - powiedział Porta. - Ale nie ma sensu, żebym ci je pokazywał. Wszystkie są sfalszowane.

Wśród gwaru ogólnej zabawy, żart bardzo spodobał się naszemu przyjacielowi Piotrowi.

Fiodor podszedł do Starego i zaczął mu coś gorliwie szeptać na ucho. Pomagając sobie gestykulacją, przekazywał jakąś wiadomość łamanym rosyjskim, a obserwując zmieniający się wyraz twarzy Starego wiedziałem od razu, że nadszedł koniec naszej zabawy i pora wrócić do plugawej wojny.

- Sven! Na nogi i to już! Fiodor powiedział, że wkrótce pojawi się tu patrol NKWD.

- Tak jest! Natychmiast przygotuję sanie.

Wiadomość lotem błyskawicy obiegnęła całą wieś. Wszyscy śpieszyli się tak samo, by się nas pozbyć, jak my starając się stamtąd zniknąć i zlikwidować wszelkie ślady naszego pobytu. Stary odciągnął Małego od jego żeńskiej sympatii, wyrwał Profesora z pijackiego transu, podniósł Heidego z ziemi i przygotował nas do pośpiesznej ewakuacji. Rosjanin usiadł obserwując nas, tuląc pustą butelkę na kolanach, najwyraźniej nie pojmując powodów nagłego końca imprezy.

- A co z nim? - Zapytał Porta wskazując palcem Fiodora.

Heide pozbyłby się go natychmiast, ale Fiodor bardzo się zdenerwował na samą myśl o martwym Rosjaninie pozostawionym w wiosce, więc nie mieliśmy żadnego wyboru, tylko zabrać go ze sobą.

- Zastrzelicie go potem - błagał Fiodor. - Dużo potem. Ale strzelić w porządku. Może ściąć gardło. Zakopać w śnieg.

- Z największą przyjemnością - stwierdził. - Już ja się nim zajmę. - Chwycił Rosjanina za ramię. - Ruszaj się! Czas na ciebie.

Apatycznie, Rosjanin zapiął swoje narty i sięgnął po porzucony w śniegu automat. Heide od razu mu go zabrał.

- Wojna jeniec - oświadczył mu. - Nie potrzebujesz już broni. Teraz robisz to, co ci powiem.

Założyliśmy psom uprząż, Paul został wygodnie ułożony na saniach. Cała wioska zebrała się, by pomachać nam na pożegnanie. Stary; krzyknął „Ohai!”, świsnął bat i ruszyliśmy. Lider zaprzęgu rzucił się do przodu, pociągając za sobą sanie. Wioska została z tyłu i typowa mieszanka śniegu i wiatru szybko usunęła efekty wypitej wódki i zjedzonej wieprzowiny, które tak rozgrzały nam żołądki i podniosły nas na duchu. Znowu byliśmy sami we wrogim kraju, podróżując wzdłuż znajomej drogi w piekle. Przez trzy dni nasz jeniec

utrzymywał ciągle posępne milczenie. Kiedy już się odezwał, pierwsze słowa skierował do Starego.

- Zbliża się burza - powiedział mu. - Lepiej postawcie natychmiast namiot, bo wszyscy zamrzniemy.

Stary wsadził fajkę między zęby i spojrzał na niskie, sunące chmury nad horyzontem.

- W porządku - powiedział w końcu. - Jeśli tak radzisz, to powinniśmy cię posłuchać. Znasz swój kraj lepiej niż my.

Spokój Starego ewidentnie zdenerwował Rosjanina.

- Przecież mówię, że natychmiast! Burza przejdzie nad nami za mniej niż godzinę i jeżeli nie postawimy namiotów, będziemy martwi w kilka minut. Temperatura gwałtownie spadnie. Co najmniej 45 stopni poniżej zera.

- Ma rację - potwierdził Legionista. - Widziałem mnóstwo burz piaskowych nad Saharą i nie mam ochoty na burzę śnieżną w środku Rosji.

Porta stanął jak wryty.

- Chyba nie zrobisz tak, jak chce ta łajza?! - Wykrzyknął.

- Czemu nie? Zna chyba swój kraj?

- Popierdoliło cię - Porta zaczął gniewnie, ale Stary mu przerwał.

- Zamknąć się i zabrać za ten namiot.

Powoli i raczej niechętnie zaczęliśmy rozpakowywać sanie, Porta mruczał coś do siebie buntowniczo, a Heide rzucał przekleństwa psom, jakby to one były osobiście odpowiedzialne za pogodę. Zupełnie niespodziewanie, jakby znikąd, potężny podmuch wiatru jak lodowy nóż przewrócił sanie i ściał nas z nóg.

- Może teraz się ruszycie! - Krzyknął Legionista.

Pracując tak szybko, jak na to pozwalały nasze zmarznięte palce i ciągły wiatr, postawiliśmy zamrznięte płótno namiotu, twarde już jak deski i prawie niemożliwe do rozprostowania, zgodnie z sugestią Rosjanina zaczęliśmy wycinać bloki lodu i śniegu mające nas ochronić przed zbliżającą się nawałnicą. Kiedy skończyliśmy, byliśmy kompletnie wyczerpani. Zasnęliśmy wtuleni ramię w ramię, zostawiając Profesora na straży nas i naszego więźnia. Jakoś tak zawsze wypadło, że to Profesor stawał na straży. Obudziła nas burza. To było coś, czego jeszcze nikt z nas nie widział i co mogło się zdarzyć tylko w Rosji albo na Biegunie Północnym. Przez cztery czy pięć godzin wszyscy musieliśmy nieźle się namęczyć, żeby tylko namiot się nie zawalił. W końcu wiatr trochę ustał i Rosjanin kiwnął do nas głową.

Teraz już dobrze. Możemy się przespać.

- Przespać? - Zdziwił się Stary. - Już chyba świta. Musimy iść dalej.

Rosjanin uśmiechnął się z politowaniem.

- Czemu nie spróbujecie? Zróbcie krok na zewnątrz i zobacz, jak daleko zajdziesz.

Mały, rzecz jasna, musiał podjąć wyzwanie. Okazując pogardę i brawurę wyszedł przed namiot upadając od razu w ponadmetrową zaspę, wstając z trudem tylko po to, żeby od razu przewrócił go wiatr i wturlał z powrotem do namiotu, totalnie pokrytego śniegiem.

- Nieźle, że taki mocny koleś jak ty został powalony przez mały wiaterek! - Zakpił Porta.

- Jak długo to jeszcze może potrwać? - Spytał Stary. Rosjanin tylko wzruszył ramionami.

- Trzy dni, jeśli będziecie mieli szczęście. Tydzień, jeśli będziecie mieli pecha.

Miał rację. Przez trzy dni wichura przewalała zwały śniegu. Rozmowy były prawie niemożliwe i nasze głosy ochrypliły od ciągłego pokrzykiwania. Od czasu do czasu wytaczaliśmy się z namiotu patrząc na nasze psy, skulone z nosem w ogonie w przedsionku namiotu, prawie niewidoczne pod grubą pokrywą śniegu.

Wewnątrz namiotu kłóciliśmy się i spaliśmy, budząc się, by znowu się kłócić, podczas gdy czas monotonnie płynął dalej. Mały i Steiner sprali się do krwi; po czym Steiner zaczął Profesora i prawie go zabił; Heide próbował go bronić i od razu został oskarżony przez Portę o popieranie SS, który z kolei kompletnie znokautował Profesora i próbował resztę swych sił wyładować na Małym, swoim starym wrogu.

Wreszcie wszyscy wyładowaliśmy się na Rosjaninie siedzącym pośepnie i cicho w rogu, znajdując satysfakcję w fakcie, że choć raz wszyscy się zgodziliśmy uważając go za przyczynę całej wojny.

Czwartego dnia obudziliśmy się w niesamowicie cichym świecie. Śnieg wciąż padał z ciemnego nieba, ale wiatr już ustał. Śnieżne zasy były wysokie jak góry i rzuciliśmy się do zabawy jak dzieci, tarzając się w śniegu, skacząc, zbierając go w dłonie i obrzucając siebie nawzajem.

Dwa tygodnie później zaczęliśmy wreszcie zbliżać się do linii frontu. Wyczerpaliliśmy nasze zapasy jedzenia i byliśmy półżywi z wyczerpania. Od trzech dni byliśmy bez psów. Były w takim stanie, że nie mogły już nic ciągnąć, więc po prostu puściliśmy je, by same sobie jakoś poradziły. Pozbyliśmy się sań, spychając je w przepaść. Nasz jeniec zaczynał się wyraźnie coraz bardziej denerwować. Jego wcześniejsza arogancja już wyparowała i było jasne, że wszystkie myśli koncentruje na poszukiwaniu sposobu ucieczki. Kto z nas nie zachowałby się tak samo, będąc na jego miejscu?

Podczas całego naszego długiego marszu nie spotkaliśmy nikogo, ale przyszedł dzień,

w którym musiało nas opuścić szczęście. Zbliżaliśmy się do lasu, do którego mieliśmy jeszcze jakieś pół kilometra, gdy nagle usłyszeliśmy mrozący krew w naszych żyłach okrzyk.

- Stój!

Porta i Legionista odwrócili się, natychmiast posyłając serię w kierunku skąd dobiegł okrzyk.

- Kryj się! - Krzyknął Stary. - Biegnijcie do lasu!

Heide i Profesor rzucili się na ziemię chowając za jedną z zasp, by kryć nasz odwrót. To była okazja, na którą czekał Rosjanin. Zaczął biec w kierunku swoich towarzyszy, wymachując w powietrzu rękami i krzycząc „Urza Stalin” ile miał tchu w piersiach. Jednak był to także moment, na który czekał też Heide. W wiosce obiecał Fiodorowi, że osobiście załatwi Ruska i teraz mógł to zrobić już legalnie. Posypały się strzały z karabinu maszynowego. Spod osłony drzew widzieliśmy, jak Rosjanin nagle odskakuje do tyłu, jakby pociągnięty niewidzialnym sznurkiem. Zrobił pełen obrót i powoli zwałił się w śnieg leżąc tam nieruchomo. Karabin Heidego wypluł z siebie kolejną serię. Teraz, już ukryci wśród drzew, bombardowaliśmy wroga wszystkim, co mieliśmy. Heide wstał wyzywająco i rzucił trzy granaty, jeden po drugim, zanim pobiegł w ślad za Profesorem. Granaty eksplodowały w kłębowisku śniegu i ludzkich szczątków. Dołączając do nas Heide śpiewał swoją pieśń triumfu.

Julius Heide był urodzonym mordercą. W czasach pokoju byłby z pewnością zamknięty jako niebezpieczny psychopata, ale trwała wojna i Heide był uważany za doskonałego żołnierza, nieustraszonego, pozbawionego wyobraźni, zawsze w gęszczu walki i zawsze gotowy, by strzelać do wszystkiego, co się rusza. Dostawał medale za odwagę i był nagradzany za swoją agresję. Jeśliby przetrwał wojnę, a rzecz jasna był to typ człowieka, który to robi, zostałby instruktorem w szkole wojskowej. Społeczeństwo mogło zawsze wykorzystać instynkty kogoś takiego jak on, jeśli tylko rozpoznało je na czas. Tak czy inaczej, nie był to facet, którego towarzystwo sprawiałoby ci frajdę. Ciężko dysząc, ale będąc wyraźnie zadowolony, padł obok Porty i Legionisty, obsługujących cekaem.

- Załatwiłem przynajmniej dwudziestu.

- To musiało im dać do myślenia... Byli ostrzeliwani przez swoich.

- Pewnie myślą, że mają do czynienia z komandosami z „Brandenburczyków”.

- W takim razie niech Bóg ma nas w opiece, jeśli dorwą nas w swoje łapy.

- Duszą ich drutem kolczastym - powiedział Steiner. - Widziałem raz paru schwytych Brandenburczyków. Jednego udusili drutem, a drugiego upiekli żywcem na rożnie.

- Milutko - stwierdził Porta. - A ja tak nie lubię upałów.

- W każdym razie - cieszył się Heide - nie spodziewam się, żeby któryś z tych wszarzy został jeszcze przy życiu. Szliśmy wśród drzew, ale zaledwie po kilku metrach usłyszeliśmy niepowtarzalny dźwięk zbliżających się czołgów. Jak jeden mąż rzuciliśmy się w krzaki na widok pierwszego zbliżającego się T34. Granat świsnął nam koło uszu i wszyscy padliśmy na twarz. Porta pobiegł dalej wąską ścieżką i zderzył się z rosyjskim sierżantem, który naturalnie wziął go za swojego, a nie wroga. Nie żył jednak na tyle długo, by zrozumieć swój błąd: Porta wyładował w niego z bliska magazynek i przejął miotacz ognia, który mężczyzna dźwigał.

- Teraz pokażemy skurwysynom! - Krzyknął.

Ustawił się prosto na drodze nadjeżdżających czołgów i przyklękając na jednym kolanie, czekał spokojnie jakby było to tylko rutynowe ćwiczenie. My, w tym czasie, czailiśmy się w krzakach gryząc z nerwów paznokcie.

- Strzelaj, na Boga - szepnął Stary.

Mały nie był w stanie się opanować.

- Strzelaj kurwa, STRZELAJ! - Krzyknął do Porty.

Dookoła rozpętało się piekło, ale w tym momencie Porta wypalił i długi płomień buchnął w kierunku najbliższego T34. Wydawało się, że czołg stanął dęba, by go uniknąć. Ruszył jeszcze kawałek do przodu i znieruchomiał. Płomień skoczył teraz wysoko do wieżyczki pojazdu. Otworzył się właz i wysunął się z niego mężczyzna. Wszedł do połowy i znowu wpadł do środka. Niebieskie płomienie lizały chciwie jego ciało. Jego długi krzyk agonii wystarczył, by zmrozić każdemu krew w żyłach. Choć może nie krew Heidego. Jemu pewnie się to podobało. Odrażający zapach palącego się ciała wkrótce wypełnił nasze nozdrza. Dwa pozostałe czołgi zawróciły i uciekły w panice przez chaszczce. Najwyraźniej wzięły miotacz ognia za broń przeciwczołgową i nie miały zamiaru czekać, aż ich zarżniemy. Jeśli chodzi o nas, to także postanowiliśmy wziąć nogi za pas. Biegliśmy, aż wydostaliśmy się z lasu, zdyszani i wykończeni rzuciliśmy się jak zwierzęta lizać śnieg, by dać choć trochę ulgi naszym wysuszonym gardłom. Dookoła panowała cisza i bezruch, ale w oddali słychać było wycie pocisków i ciężkie pomruki artylerii.

- Oto i ona - powiedział Steiner, wskazując ku północnemu zachodowi. - Linia frontu.

- Boże, jak ja tego wszystkiego nienawidzę.

Profesor nagle położył się w śniegu i po chwili wahania reszta zrobiła to samo. Potrzebowaliśmy krótkiego relaksu, zanim zabierzemy się do kolejnej porcji problemów.

- Czego tak naprawdę nienawidzisz? - Zapytał Porta, leżąc na plecach i gapiąc się na wierzchołki drzew.

Profesor wykonał niecierpliwy ruch ręką.

- Wszystkiego. Wszystkich tych kłamstw i oszustw i bezsensownej rzezi. Wszystko to miało inaczej wyglądać. Tak przynajmniej mówili, jak wstępowałem do SS w Oslo.

- Naturalnie - stwierdził Porta sucho. - I pewnie obiecywali ci chlubne zwycięstwo, małe flagi do machania i trąbki do trąbienia? A wróg miał być tylko grupą ołowianych żołnierzyków tylko czekającą, by ją poprzewracać jak kręgle? Jezu, jacy niektórzy są naiwni!

- Umieraliśmy jak muchy - ciągnął dalej Profesor. - Wysyłali nas do walki kompletnie nieprzygotowanych. Zanim mieliśmy nawet szansę poznać rodzaj zagrożenia, większość z nas już nie żyła.

- Już to wszystko słyszałem - mruknął Barcelona.

- No. Sprawiali wrażenie, jakby wojna to była jakaś szkolna wycieczka - stwierdził Porta. - Jak długo was łaskawie trenowali?

- Sześć tygodni - powiedział Profesor.

Wszyscy odwrócili się do niego.

- Sześć tygodni?

- Tylko tyle.

- Boże, nas szkolili trzy lata - powiedział Stary powoli. - Dla nas wojna rozpoczęła się na luzie, w Polsce. Zupełnie jak ćwiczenia, tylko że z prawdziwą amunicją zamiast ślepek... Sześć tygodni! Boże! Ilu z was przetrwało pierwsze starcie?

- Na początku było nas dwustu trzydziestu pięciu. Wszyscy ochotnicy. Wszyscy z dywizji Wiking na Ukrainie. Pierwszego dnia stu dwudziestu jeden poległo. Straciliśmy więcej, gdy drogę zbombardowały myśliwce wroga i jeszcze więcej, gdy zapaliły się ambulanse... Dowódca oszalał i strzelił sobie w łeb. Dwa dni później ośmiu z nas zostało rozstrzelanych za „dezercję w obliczu wroga”. Dziewięciu zostało wysłanych do obozów karnych za stwierdzenie, że oficerowie byli bardziej winni tej sytuacji niż my. To byli zawodowcy i wiedzieli, czego się spodziewać. My byliśmy ochotnikami i wprowadzono nas w błąd... W więzieniu we Lwowie bili mnie bez przerwy przez sześć godzin. Wtedy sądziłem, że mam szczęście, że udało mi się przeżyć. Teraz nie jestem tego pewien.

- Dopóki na świecie są kurwy, warto żyć - stwierdził Mały pokrzepiająco.

Profesor uśmiechnął się, a wszyscy, automatycznie, ożywili się na słowo „kurwa”. Seks był tematem, który nigdy nas nie męczył. Wszyscy znaleźmy na pamięć preferencje innych, żyliśmy ich intymnymi marzeniami, jednak nie zmieniło to faktu, że był to najbardziej wciągający temat naszych rozmów. Niedługo potem usłyszeliśmy serię strzałów na prawo od nas i od razu stanęliśmy na nogi.

- Pewnie patrol, który nas poszukuje - wyszeptał Stary. - Ukryjcie się dobrze i czekajcie.

Po cichu zaczęliśmy się czołgać na brzuchach z powrotem w kierunku schronienia w zaroślach. Zaczynało zmierzchać i nasze nerwy były napięte do ostateczności na samą myśl, że na nas polują. Żołnierze z patrolu też najwyraźniej się denerwowali. Oddali kilka strzałów w krzaki, wycofali się, znowu wrócili, strzelając bezcelowo do niczego. Bez wątplenia chętnie uznaliby nas za zaginionych, gdyby nie ich oficerowie poganiający ich zwyczajową mieszanką gróźb i przekleństw. Mogliśmy ich już dostrzec poprzez drzewa. Byli to niezdarni młodzi rekruci, pewnie na swojej pierwszej akcji.

Usłyszeliśmy, jak jeden, bardziej pewny siebie, przechwalał się, że będzie strzelał, jak kogoś zobaczy. Oficer odwrócił się do niego wściekły.

- Poczekaś na to i będziesz martwy! W takiej sytuacji strzelasz na wycucie, a nie jak kogoś zobaczysz. Teraz się zamknij i nadstawiaj uszu.

Legionista podniósł się cicho z ziemi i posłał serie strzałów w kierunku głosów. Usłyszeliśmy krzyk, potem ktoś przeklął. Słychać było łamanie gałęzi pod czyimiś stopami, potem cisza. Wyczuwaliśmy ich obecność w pobliżu. Legionista zmarszczył brwi, starając się coś wypatrzeć w ciemności. Heide zaczął się skradać wzdłuż wąskiej ścieżki, tuż za nim Porta i Mały. Barcelona osłaniał ich ze swoim karabinem maszynowym. Gałązka trzasnęła i zobaczyliśmy ciemną postać wyłaniającą się z zarośli. Barcelona momentalnie otworzył ogień. Mężczyzna krzyknął i przyłożył dłonie do oczu. Był rosyjskim oficerem, porucznikiem. Szedł ścieżką ślaniając się w naszym kierunku, krew zalewała mu twarz. Barcelona strzelił znowu i dobił go oszczędzając cierpień. W tym samym momencie wszyscy otworzyliśmy ogień do kilku postaci, które zamajaczyły w ciemnościach. Byli łatwym łupem. Ci, którzy nie padli, zrobili w tył zwrot i uciekli i po chwili w oddali słychać było jakiegoś Rosjanina krzyczącego ze złości. Pewnie dowódca próbujący zaprowadzić porządek. Stary kiwnął do nas głową.

- Dobra. Spadamy.

Przez resztę nocy i następnego dnia pozostawaliśmy w leśnym schronieniu nie molestowani. Pod wieczór przygotowaliśmy się do próby dostania się do niemieckich linii. Obmyśliliśmy plan, który w teorii wydawał się dość prosty. Ale czy zda egzamin w praktyce? Przynajmniej mnie wydawało się to wielce problematyczne.

Zbliżyliśmy się do rosyjskich okopów. Naturalnie, byliśmy zatrzymani i wypytywani. Na każde pytanie Stary dawał tę samą odpowiedź: „wysłano nas jako oddział do rozminowywania”. Wszyscy dali się nabrać. Dostaliśmy sprzęt i nawet życiono nam

powodzenia.

- Lepiej wy niż ja - powiedział sierżant, który prowadził nas przez ostatni etap naszej podróży przez rosyjskie okopy. - Mam nadzieję, że Święci Pańscy mają was pod opieką!

- *Spasiba drug* - obłudnie odparł Porta.

Potem znaleźliśmy się na ziemi niczyjej, czołgając się szybko w kierunku niemieckich linii. Serie z karabinów maszynowych orały ziemię dookoła nas i skuliliśmy się wszyscy w leju po wybuchu. Skakaliśmy tak od leja do leja, aż wreszcie Stary stwierdził, że dalej pójdzie już tylko on, a my mamy poczekać. Baliśmy się patrzeć, jak sobie daje radę. Leżeliśmy gryząc paznokcie i czekając, aż zacznie się prawdziwa zabawa. Wreszcie, gdy wydawało nam się, że upłynęła już wieczność, nieznanym głosem krzyknął do nas po niemiecku.

Dobra, możecie zacząć iść w naszą stronę, tylko bez żadnych numerów. Pojedynczo, minuta przerwy pomiędzy każdym. Ewidentnie bali się, że to pułapka, bo gdy zeskakiwaliśmy do okopu, czekał na nas ostry bagnet skierowany w pierś. Młody porucznik piechoty zadawał nam pytania, cały czas patrząc się na nas sceptycznie. I kto by go winił? Niemieccy żołnierze w rosyjskich mundurach? Niemieccy żołnierze pojawiający się na ziemi niczyjej zza rosyjskich linii? Teraz po powrocie my sami nie mogliśmy w to uwierzyć.

- Byłbyś zaskoczony, gdybyś wiedział, co się wyprawia w Armii Niemieckiej - powiedział Barcelona wesoło.

Porucznik odwrócił się do niego.

- Trzymaj język w gębie, Feldwebel! Może przez ostatnie parę tygodni biegaliście sobie po kraju dobrze się bawiąc, ale teraz jesteście znowu w wojsku i radzę wam to pamiętać.

- Jasne, że jesteśmy z powrotem - mruknął Steiner. - Kto jeszcze przywitałby nas tak ciepło? Czerwony dywan i w ogóle! Mówię panu, poruczniku, że super jest być znowu w domu.

Kapitan Lander był jeszcze mniej serdeczny na powitanie. Mieliśmy dziwne wrażenie, że w ogóle nie był zadowolony z tego, że nas widzi. Jednak, gdy trzy dni później jego ciało znaleziono w krzakach podziurawione pociskami, z respektu dla śmierci, przestaliśmy wątpić w jego szczerość. Jak zwykle, to partyzanci zostali obwinieni za morderstwo, choć niektórzy podnosili brwi w kierunku Małego i Porty. W końcu musieli wybrać ekstremalny sposób udowodnienia swej niewinności - wzięli udział w pogrzebie kapitana.

Przyszedł do nas z wojskowego więzienia w Kłodzku. Sąd polowy skazał go na dziesięć lat służby w kompanii karnej za to, że odważył się stwierdzić, że tylko dzięki wojnie podrzędny malarz pokojowy został okrzyknięty geniuszem. Z generała-porucznika został zdegradowany na majora. W Afryce stracił lewe oko, w Finlandii zostawił część swojego żołądka. Był doskonałym dowódcą czołgu, mogącym dowodzić całym pułkiem, ale nigdy się nie nauczył trzymać swój język na wodzy, gdy uważał coś za prawdę. Major Mercedes był najlepszym oficerem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Przedstawił się, stojąc przed nami, wyprostowany, na starej skrzynce, z odkrytą głową i z podwiniętymi rękawami.

- Dobra. Jestem waszym nowym oficerem. Karl Ulrich Mercedes. Tak jak i wy siedzę w gównie po uszy. Mam trzydzieści pięć lat i ważę sto kilogramów. Jakieś pytania? Nie. Nie mam nic więcej do powiedzenia poza tym: „jak będziecie dbali o swoje dupska, tak i ja będę dbał o swoje i damy sobie razem radę”. Pod Ługańskiem został ranny w brzuch i odstrzelono mu pół szczęki. Był jednym z bardzo niewielu oficerów, których kiedykolwiek darzyliśmy szacunkiem.

Rozdział 5

Gdy wjechaliśmy tam czołgami, Ługańsk był morzem płomieni. Ciała leżały porzrzucone na ulicach i w rynsztokach jak śmieci wyrzucone z kubłów. Kolumny żołnierzy, obdartych i zakrwawionych, szukały iluzorycznego bezpieczeństwa płonących domów i gruzowisk.

Strzał. Potem kolejny i jeszcze więcej. Pociski, granaty ręczne, pociski przeciwczołgowe, bomby zapalające. Cała nawałnica mająca na celu zniszczenie i śmierć.

Wnętrze naszego czołgu, pięćdziesięciodwutonowego Tygrysa, rozbrzmiewało twardym hałasem metalu ścierającego się z metalem, puszek, menażek, cynowych kubków, kluczy, narzędzi, pustych pudeł, w których kiedyś były granaty. Porta wcisnął gaz, Tygrys ruszył do przodu i całe to żelastwo stukalo i dzwoniło u naszych stóp.

Mechanicy, umorusani błotem, krwią i olejem, desperacko poszukiwali wśród ruin swoich jednostek. Kapitan piechoty wydający rozkazy na środku drogi został zaczepiony przez jeden z Tygrysów i przewrócony. Następny czołg nie mógł go ominąć. Wszystko, co pozostało widoczne, to jego nogi i skórzane buty z lśniącymi ostrogami. Nikt nic nie powiedział. Nikogo to nie obchodziło. Czym była śmierć jeszcze jednego człowieka na tle masowej rzezi w Ługańsku, w nocy czternastego marca. Byliśmy już poza emocjami, nasze uczucia były martwe. Gdzieś z grzmotem zawalił się sufit i obsypał nas deszcz iskier. Parliśmy naprzód w linii, nagle Mały krzyknął, byśmy się zatrzymali. Jednym skokiem wy dostał się z czołgu i pobiegł jak oszalały z powrotem ulicą.

- Co mu się stało? - Spytał Heide. - Czy on myśli, że to jakaś przejażdżka.?

Odezwało się radio, trzeszcząc złowróżbnie. To był porucznik Ohlsen, pytając z grubsza o to samo co Heide i dodając zwięzły rozkaz, żebyśmy ruszyli i nie wstrzymywali kolumny. Porta wzruszył ramionami i wcisnął pedał. Czołg ruszył w tym samym momencie, w którym wrócił Mały. Wrzucił coś przez luk i zaraz sam wskoczył. Siedzieliśmy gapiąc się na brudnego urwisa, może cztero- albo pięcioletniego, który z kolei gapił się niepewnie na nas.

- Co to ma znaczyć? - Warknął Stary.

Mały posadził sobie dzieciaka na kolanach.

- Siedział w rynsztoku, zupełnie sam. Nie mogłem po prostu zostawić go tak sobie, żeby zginął. Sekundę później zwałyby się na niego tona płonącego drewna - spiorunował nas wzrokiem. - On jest mój, kapujecie? I od tej chwili możecie się zrzucać z części swojego

prowiantu... Ty i ja - powiedział chłopcu - teraz jesteście razem, w porządku?

- Jasne, już widzę, jak się major ucieszy, gdy się o tym dowie - stwierdził Stary z sarkazmem. - Będzie wniebowzięty.

- A ja mam głęboko w dupie jego zdanie albo kogokolwiek - powiedział Mały. - Dzieciak jest mój i będziemy razem... Pomyśleć tylko, jestem ojcem! Biedny mały gówniarz, jest kompletnie przerażony. Odwróć swoją parszywą głowę w drugą stronę Julius, bo się mały boi. - Odwrócił chłopca i wskazał na siebie. „Hej *towariszcz!* Ty *Malczik!* Ja, Mały Ojczenasz!". Porta roześmiał się drwiąco.

- Ty kretyńska małpo... Właśnie mu mówisz, że jesteś Bogiem Ojcem.

- Dobra, ty mu to wytłumacz - powiedział Mały zapalczywie. - Powiedz mu, że jestem jego ojcem!

Porta chętnie posłużył się teraz płynnym rosyjskim. Chłopiec przygryzł palec, najwyraźniej uspokojony dźwiękiem swojego ojczystego języka, ale wciąż niepewny, co myśleć o całej sytuacji. Miał na sobie podarte ubranie, był niesamowicie brudny, miał odparzenia na swoich bosych stopach i nieładną ranę na policzku. Legionista nieco go obmył i opatrzył rozmaite rany, a Heide dał mu jabłko, które malec niemal połknął razem z ogryzkiem. Nie mieliśmy nic innego, by mu zaofiarować, ale tak czy inaczej mieliśmy więcej zmartwień, na których musieliśmy się teraz skupić.

Pociski i bomby zapalające eksplodowały wszędzie dookoła, domy zapadały się jak domki z kart, przed nami było pełno palących się kawałów stropów i śmieci. Przepychaliśmy się, by wydostać się z miasta, wolno i ostrożnie. Grupa żołnierzy ruszyła na nas spod ruin i dopiero, gdy położyliśmy trupem ostatniego z nich, zorientowaliśmy się w naszej pomyłce - strzelaliśmy do swoich. Musieli schronić się w ruinach wypalonych domów i widząc nadjeżdżające własne czołgi wybiegli, czując się uratowani. Niestety, w ogniu walki trudno było rozróżnić kamuflażowe kurtki noszone przez naszych i kurtki polowe, które nosili Rosjanie.

Czołgi przepchnęły się przez peryferia miasta pełnym gazem. Skręciliśmy w lewo, w coś co kiedyś musiało być pięknie zaplanowanym, ogrodem. Ozdobne obramowanie stawu pękło na pół pod ciężarem czołgu. Pola dookoła były masą zieleni. Każdy, pieszo, czołgiem, ciężarówką, motocyklem ogarnięty był tylko jedną ideą: zostawić jak najdalej za sobą płonące piekło Ługańska.

- Naprzód! - Krzyknął Major przez radio. I ruszyliśmy, bezlitośnie. Linia pięćdziesięciu czołgów taranująca morze zieleni. Dookoła nas słychać było rosnący hałas karabinów maszynowych i rozrywających się pocisków. Miotacze ognia nieomal zapalały

powietrze, przesycone oparami paliwa z wraków różnych pojazdów. Rosyjscy piechurzy byli wszędzie dookoła, ogarnięci paniką, rzucając się to w jedną, to w drugą stronę, padając i próbując paznokciami zagrzebać się w ziemi. Ale nasza artyleria była zawsze krok przed nami, orząc grunt w głębokie bruzdy razem z ludźmi. Czołgi parły naprzód, miażdżąc wszystko i każdego na swojej drodze. I nagle, cisza. Umilkły strzały i wybuchy. Nie były już potrzebne. Rosjanie uciekali przed nami, a my wyłapywaliśmy ich jak owce i gnaliśmy w stronę naszych linii. Nawet najmniej agresywnych żołnierzy ogarnęło szaleństwo, podniecenie, prawie żądza krwi. To było nie do uniknięcia i nawet konieczne do przetrwania w tym rodzaju wojny. I wtedy, z nagłym ostrym metalicznym dźwiękiem, skończyło się nasze uniesienie. Czołg dostał pociskiem przeciwpancernym z taką siłą, że na moment straciliśmy nad nim kontrolę. Dzięki jakiemuś cudowi pocisk nie przebił się przez zewnętrzny pancerz.

- Wynosimy się stąd, ale już! - Krzyknął Stary ze wzrokiem wciąż przykutym do panelu obserwacyjnego.

To, co nas zaatakowało, musiało być gdzieś bardzo blisko i następne kilka sekund czekaliśmy w napięciu na kolejne trafienie. Jednak nic się nie stało. Może jakaś dobra dusza załatwiła dla nas atakujących. W każdym razie ruszyliśmy w kierunku naszych linii z wciąż nienaruszonym czołgiem. Posłano nas na nowe pozycje na obrzeżu Nowoajdaru, ale zaledwie zdążyliśmy tam dotrzeć, gdy przez głośnik rozległ się głos porucznika Ohlsena rozkazujący nam zawrócić i udać się w innym kierunku.

- Jezu - mruknął Porta. - Ta wojna jest czasem cholernie nudna.

Znowu ruszyliśmy. Mały starał się bardzo pocieszyć swego świeżo adoptowanego syna, który płakał w rozdzierający serce sposób. Nasze Tygrysy dołączyły do grupy wozów pancernych, które zostały wysłane naprzód, żeby osłaniały pułk piechoty. My mieliśmy pozostać na stanowisku i czekać na nieprzyjaciela. Było niezwykle zimno. Mały dał swoją kurtkę chłopcu i teraz biegał w kółko na zewnątrz, żeby się ogrzać. Nagle, jakby znikąd, na zebrane czołgi spadł deszcz pocisków. Okrzyki rannych mieszały się z hałasem eksplozji. Mały wydał z siebie mrozący w żyłach okrzyk i rzucił się z powrotem do czołgu. Jego prawe ucho kompletnie znikło. Twarz była zalana krwią.

- Moje ucho! - Krzyczał. - Te skurwysyny odstrzeliły moje pierdolone ucho!

- Boli cię? - Spytałem niezbyt mądrze. Mały odwrócił się do mnie z furią.

- A jak, kurwa, myślisz, głupi skurwysynu?

To było głupie pytanie, jasne. Wiedziałem o tym.

Po raz kolejny znaleźliśmy się w sercu walki. Czołgi parły naprzód wśród ostrzału pocisków i granatów. Spalone domy, krzyczący ludzie, hałas wypełnił to, co chwilę temu

było wspaniałą ciszą.

- Chyba szykuje się coś dużego - stwierdził Stary. - I wcale mi się to nie podoba.

Kiedy Stary mówił, że coś mu się nie podoba, wiadomo było, że nie jest dobrze. Doświadczony, frontowy weteran jak on mógł wyczuć niebezpieczeństwo w sytuacji na długo, zanim ktokolwiek zdawał sobie sprawę, że istnieje jakaś sytuacja. W radiu odezwał się znowu porucznik Ohlsen.

- Co ty na to, Beier? Co o tym sądzisz?

Stary pokręcił głową.

- Niezbyt dobrze, jeśli o mnie chodzi. Iwan przygotowuje jakieś wygłupy... Pytanie tylko, jakie i gdzie. Ten cholerny dym na zewnątrz jest jak mgła. Nie widać dalej niż parę metrów.

- W każdym razie miejcie baczenie.

- Tak jest.

Grupa czołgów ruszyła ostrożnie. Jeden za drugim przejechaliśmy po małym drewnianym moście, który trzeszczał i pischczał pod naszym ciężarem. Przez radia wszyscy rozmawiali nerwowo o ataku. Tej nocy na zewnątrz panowała niepewność i nasze nerwy napięte były do granic możliwości. Atak w ciemnościach to straszne ryzyko dla pułku czołgów. Ponieważ droga była wąska i kręta, a po obu jej stronach rozciągały się mokradła, byliśmy wyjątkowo narażeni. Było oczywiste, że Rosjanie mieli nas na celownikach, bo ich pociski spadały z nieprzyjemną precyzją. Jeden z czołgów zjechał z trasy i ugrzązł na poboczu. Próbowaliśmy wyciągnąć go przy pomocy kabli, ale zapadł się zbyt głęboko w błocie i kable pękły pod obciążeniem.

Major Mercedes podbiegł do nas i używając języka, który nie przystoi oficerom, domagał się w skrócie odpowiedzi na pytanie, co my tu, kurwa, robimy. Sam wziął się do pracy, zakładając nowy kabel. Na dłoniach miał grube rękawice, jak robotnik portowy. Zanim mieliśmy okazję wypróbować nowy zaczep, Rosjanie włączyli do akcji ciężką artylerię. Major wskoczył do czołgu z taką prędkością, że nie sądziłem, iż jest to możliwe u ludzi z jego tuszą. Zamknęliśmy boczne luki i czołg drżał nieprzyjemnie pod ostrzałem. Rosjanie rzucali przeciw nam wszystko, co mieli. Nic dziwnego, że adoptowany syn Małego krzyczał ze strachu i sami ledwo się powstrzymywaliśmy, by nie dołączyć do niego w szaleńczym chórze. W radiu zabrzmiał głos Barcelony:

- Staruszkule! Widzisz coś?

- Cholernie głupie pytanie - mruknął Porta.

- Totalnie cholernie nic - odparł Stary wesole.

- Skąd oni, do diabła, atakują? Załatwili już całą czwartą kompanię.

Zapadła nagle i denerwująca cisza. W panice zaczęliśmy strzelać na oślep w ciemność. Nasza własna piechota była cicho, niewątpliwie czekając na rozwój wypadków. Teraz Rosjanie mieli inicjatywę. Znowu się zaczęło ze zdwojoną siłą. Jakby wybuchł wulkan, nie plując jednak ogniem i skałami, lecz pociskami, bombami i granatami. Powietrze pełne było dźwięków śmierci. Słysząc to było z każdej strony, a my siedzieliśmy milczący i przerażeni w samym tego środku, uwięzieni w stalowym pudle, które w każdym momencie mogło eksplodować i rozerwać nas na strzępy. Nikt nie próbował rozmawiać. Prawdopodobnie nikt nie był do tego zdolny. Trzymaliśmy się tylko mocno, podczas gdy czołg trząsał się i ugiął pod naporem nieprzyjacielskiego ognia. Oczy mieliśmy szeroko otwarte, nasze gardła były suche i obolałe. Czuliśmy, że jesteśmy sami w piekle, odcięci od reszty świata. Wydawało się, że to tylko kwestia czasu; minut albo nawet sekund, zanim pocisk znajdzie swój cel i 1500 litrów paliwa wybuchnie potężnym płomieniem. Wiedzieliśmy jak to będzie. Widzieliśmy, naszych przyjaciół i towarzyszy i nie mieliśmy żadnych złudzeń, co do sposobu naszej śmierci. To było typowe, że załoga czołgu kończyła jako spalone szkielety. Tylko dziesięć procent z nas miało przetrwać wojnę.

Wszędzie dookoła spadały pociski i wielkie grudy ziemi były wyrzucane w powietrze. Wydawało się, że śmierć trzyma nas już za szyję, chcąc postawić swe lodowate stopy na naszych kręgosłupach. Moglibyśmy się wycofać, ale ta myśl do nas nie docierała. Nie byliśmy bohaterami, nie potrzebowaliśmy heroizmu. Wpojono nam żelazną dyscyplinę, która przez lata stała się integralną częścią nas i tylko to trzymało nas na naszym posterunku w środku piekła. To i strach o nasze własne skóry. Nie walczyliśmy dla Hitlera czy Rzeszy, tylko zwyczajnie po to, by przeżyć. Był to wybór pomiędzy prawdopodobną śmiercią z ręki Rosjan i pewną śmiercią Przed plutonem egzekucyjnym - gdybyśmy się odważyli wycofać. Także i takie historie były znane. Zналиśmy inne załogi, w innych czołgach, które się załamały pod presją ekstremalnego przerażenia. Nie winiliśmy ich, ale umierali błyskawicznie, o świcie następnego dnia. „Dezercja w obliczu wroga”. Zawsze dostawaliśmy sprawozdania ze szczegółami. To była najlepsza metoda, by zniechęcić innych do pójścia za ich przykładem. Nowe uderzenie wstrząsnęło czołgiem. Chłopiec nagle zaczął krzyczeć. Rzucił się na podłogę, kopiąc, gryząc i plując. Zanim zdołaliśmy go przytrzymać, uderzył głową w zamek karabinu maszynowego. Mały porwał dziecko na ręce, kiedy my patrzyliśmy przerażeni na ten nowy horror pośród nas. Heide sięgnął nerwowo po pistolet. Chłopiec wygiął się w łuk, odrzucił do tyłu głowę wyszarpując się z objęć Małego i padł na podłogę.

- Zróbcie coś! - Krzyczał Mały w panice. - Nie stójcie tak, kurwa! Zróbcie coś!

Stary pochylił się nad dzieckiem i pokiwał wolno głową.

- Nic nie możemy zrobić. On nie żyje.

Poobijane i krwawiące, małe ciało leżało w bezruchu na oleistej podłodze czołgu. Wyglądało tylko jak kupa szmat. Mały patrzył, jakby nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Nagle uderzył się z całej siły pięścią w czoło, krzycząc z rozpacz. Zanim ktokolwiek z nas się ruszył, wziął ciało chłopca w ramiona i wyskoczył z czołgu, wymachując pistoletem i strzelając dziko we wszystkich kierunkach.

- Chodźcie tu po mnie, wy skurwysyńskie, pierdolone świnię!

Przyglądaliśmy mu się jak zahipnotyzowani. Nigdy nie był to przystojny facet, ale teraz z zakrwawionym bandażem trzepoczącym na czole i martwym dzieckiem przy piersi był po prostu przerażający.

- Zwariował - mruknął Porta. - Nie wytrzyma tam nawet dwóch sekund.

Legionista, szybki, cichy i zwinny wyskoczył za Małym z czołgu. Jednym dobrze wycelowanym ciosem pozbawił go świadomości, a Heide i Porta wciągnęli jego ciało do środka. Dziecko wypadło z jego objęć i leżało na poboczu. Legionista zostawił je tam nawet się nie oglądając.

Jeszcze raz zaczęliśmy nasłuchiwać, obserwować, czekać... Przed nami, z okopów wyłoniła się masa obdartych i krwawiących ludzi. To była nasza piechota.

Powoli wstawał szary świt. W powietrzu wisiała wilgotna i duszna mgła, ale przynajmniej mogliśmy widzieć, co się dzieje. Zza rosyjskich linii wystrzelivano race; zielone i białe. Wiedzieliśmy, co oznaczają: był to sygnał do ataku. Mały odzyskał przytomność i zrozumiał, że groził śmiercią nam wszystkim. Wyglądało na to, że jego godzina jeszcze nie nadeszła.

Rozpoczął się atak. Fala za falą rosyjskiej piechoty pędziła ku naszym okopom. Słyszeliśmy ich podniecone okrzyki „Urra!”, jak pędzili, by nas zabić. Byli wszędzie dokąd oko sięgało i nasza własna piechota tworzyła tylko małe wysepki na wrogim oceanie. Opuszczając swoje pozycje, zostawiając działa i broń, uciekali ratując życie. Nie było nic innego, co mogliby zrobić w obliczu takiego ataku. Był to dzień mgły i szarego ciężkiego nieba. Dzień jak wiele innych. A jednak dla tysięcy, tysięcy mężczyzn na tym odcinku frontu był to ostatni dzień na ziemi. Nikt nigdy nie odważył się obliczyć dokładnych strat, jakie nastąpiły. Obie strony wycierpiały i obie strony wołały zniszczyć listy poległych, niż przyznać się do prawdy. Bitwa pod Ługańskiem była zbyt kosztowna. Oficjalny komunikat stwierdzał krótko: „Lokalny atak w sektorze Ługańsk został odparty przez naszą artylerię. Pozycja została utrzymana”.

Przez radio usłyszeliśmy głos Mercedesa:

- Wszystkie Tygrysy atakować tym, co macie. Ruszajcie w stronę nasypu kolejowego czterysta metrów stąd.... Powodzenia!

Linia kolejowa i nasyp były usłane przewróconymi ciężarówkami i lokomotywami. Długie odcinki torów były wyrzuczone albo zwyczajnie powyrywane tak, że teraz znajdowały się w pionie jak oskarżające w niebo żelazne palce. Znaki sygnalizacyjne same przestawiały się bezcelowo, a płonące beczki z olejem powiększały jedynie chaos. Ciało niemieckiego żołnierza, wyrzucone z pewnością siłą wybuchu, było nadziane na jeden z wystających torów i teraz bujało się w tą i z powrotem jak ludzki pogodomierz. Ze szczytu nasypu mieliśmy wspaniały widok na całą scenę. Rosyjska piechota rozciągała się po horyzont, całe masy khaki były przeplecione gdzieniegdzie działami przeciwlotniczymi i działami przeciwczołgowymi ciągniętymi przez konie.

- Święty Boże - wymamrotał Stary. - Nie wydaje się możliwe, żeby było ich aż tylu.

Tygrysy ruszyły do ataku. Z daleka musiały wyglądać jak stado jakichś dziwnych i strasznych prehistorycznych potworów. Nie było teraz czasu, by się nad tym zastanawiać i bać się. Zaczęliśmy mechanicznie spełniać nasze zadanie zniszczenia. Ziemia trzęsła się pod nami, ciężkie działa wyły i huczały. Sznur za sznurem pocisków wdzierały się w masy wrogich żołnierzy. Przez moment to wielkie morze zdawało się wahać. Po jego powierzchni przeszła drobna fala, a za chwilę przetoczyła się potężna, gdy żołnierze najbliżsi czołgom odwrócili się do ucieczki. Wielu zostało stratowanych w ogólnej panice. Jeszcze więcej zostało rozerwanych przez ciężkie pociski, które spadały wśród nich, wyrzucając w górę gejzery ziemi i części ciał. W środku czołgów byliśmy na wpół uduszeni. Powietrze było gorące i cierpkie, pałac nasze oczy i gardła. Heide pracował jak maniak, ładując i rozładowując działo. Jego grube rękawice były przypalone i unosił się z nich dym. Kilkakrotnie zapalały się nam ubrania i musieliśmy gasić płomienie gołymi rękoma. Nasze twarze były czarne, byliśmy skąpani w pocie. W normalnych okolicznościach uznalibyśmy takie warunki za niedopuszczalne, ale teraz ledwo to zauważaliśmy. Czołg kołysał się i wibrował i ogarnęła nas furia pogoni. Znaliśmy to uczucie już dawniej, ale zawsze przeżywalismy je na nowo. Niebezpieczeństwo zostało zapomniane, śmierć została zapomniana, nawet o samej wojnie zapomnieliśmy. Wiedzieliśmy tylko tyle, że musimy zabijać. Postacie w polowych mundurach nie były już ludźmi ani żołnierzami tak jak my, ale dzikimi zwierzętami, które muszą być upolowane i unicestwione. My byliśmy myśliwymi, polując i zabijając dla czystej prymitywnej przyjemności, ale i z konieczności. Śmialiśmy się głośno, gdy zgniataliśmy naszą zdobycz. Krzyczeliśmy triumfalnie, gdy widzieliśmy ich

chowających w swoich dziurach, po czym obracaliśmy się w ich kierunku i rozwalaliśmy w drobny pył. Pracowaliśmy bez czapek i koszul i tylko zęby nam lśniły na brudnych od oleju twarzach. Oczy płonęły szaleńczo. Mały wył jak wilk. Zabijaliśmy i mordowaliśmy każdą dostępną nam bronią, działem, karabinami i miotaczem ognia. A Rosjanie walczyli jak ranna, schwytana zwierzyna, z desperacką energią. Śmiertelnie ugodzeni i tak rzucali do walki wszystko co mieli. Ale ich rewolwery i karabiny nie robiły nam więcej szkody od zwykłej procy. Nawet broń przeciwpancerna nie była skuteczna z odległości większej niż sto metrów. Niektórzy nawet rzucali się w samobójczym ataku z bombą magnetyczną czy koktajlem Mołotowa, ale ciężko jest przykleić taką bombę do czołgu, a koktajle Mołotowa najczęściej wyrządzały im więcej szkód niż nam.

- Tygrysy, wyjmijcie z dupy palce i weźcie się do roboty! - Ryczał major przez radio. Nie mamy całego dnia, żeby się tu z nimi cackać!

Tak rozdrażnieni parliśmy naprzód z jeszcze większą pasją. Teraz Rosjanie uciekali przed nami, nasze pociski rozrywały się wśród nich, połamane ciała wisiały na moment w powietrzu jak marionetki, by po chwili spaść uderzając w czołgi. Szum wentylatora wskazywał, że wiatrak wciąż działał, ale tak czy inaczej smród krwi, potu i palącego się ludzkiego mięsa wystarczył, by zamieszać w żołądku. W pewnym momencie Stary odwrócił się na bok i zwymiotował. Część spadła mi na twarz. Wytarłem to wierzchem dłoni, dopiero później zdając sobie z tego sprawę.

- Ostatni pocisk w lufie - zameldował nagle Heide.

- I tylko trzydzieści litrów paliwa w zbiorniku - dodał Porta.

Podążając za nami, w ślad za zniszczeniami, jechały czołgi-cysterny. Zawróciliśmy i w rekordowym czasie znowu uzupełniliśmy amunicję i paliwo. Nadeszły nowe rozkazy przez radio: rosyjskie czołgi na prawo. Dystans 1200 metrów. Załatwcie je. To była cała formacja T34. Widzieliśmy, jak stoją na przeciwległym krańcu linii kolejowej i gdy skierowaliśmy na nich nasze lufy, poczułem, jak wraca do mnie strach. W takich momentach to prawdziwe piekło być uwięzionym w czołgu.

- Ognia! - Rozkazał Stary.

Ciężkie działo zawyło. Prawie natychmiast T34, lider formacji, stanął w płomieniach, ale także po naszej stronie zapłonęły potężne stopy. W ciągu kilku minut byliśmy otoczeni płonąca masą stali. Kilku ludzi zdołało uciec z tego piekła, zanim eksplodowała amunicja i rozsadziła czołg i jego załogę na milion nierozpoznawalnych kawałków. Najbardziej ucierpiały lekkie czołgi: Tygrysy wytrzymały atak, podczas gdy inne zostały prawie całkowicie zmiecione z powierzchni ziemi. Po godzinie ciężkiej walki Rosjanie byli

pokonani. Koszt dla obu stron był porażający.

Nieprzyjaciel odkrył, że przełamanie tego odcinka frontu nie było możliwe. My odkryliśmy, że możemy się utrzymać mimo zmasowanego ataku. Otworzyliśmy włązy i wciągaliśmy do płuc zimne powietrze, władcy, przez moment, wszystkiego dookoła, co było tylko kupą wypalonych czołgów, spalonych ciał i okaleczonych, krwawiących ludzkich wraków, które jeszcze żyły.

Mieliśmy tylko chwilę, by zdołać się nacieszyć naszym zwycięstwem. To Stary pierwszy zauważył czołgi ponownie gromadzące się po drugiej stronie torów. Musiało być ich tam więcej niż setka. Ich cel był natychmiast widoczny: odciąć nam możliwość odwrotu. Rosjanie byli już od dawna mistrzami w tej taktyce, co wiedzieliśmy z gorzkiego doświadczenia. Nie mieliśmy czasu, by się zastanawiać nad naszą sytuacją. Stary przekazał wiadomość majorowi Mercedesowi, a ten natychmiast nakazał odwrót. Był to wyścig ze śmiercią. Zawróciliśmy i daliśmy nogę - każdy czołg jadąc własnym kursem, byle tylko znaleźć się jak najszybciej za niemiecką linią. Przed nami znajdował się T34. Mieliśmy go na celowniku...

- Ognia!

Czołg zadrżał. Płomień buchnął z gardła lufy. W odpowiedzi, sekundę później, pod niebo wystrzelił płomień z T34, by po chwili zamienić się w grzyba czarnego dymu. I wreszcie eksplozja niszcząca i pojazd, i ludzi.

Jeszcze dwa zostały załatwione w ten sam sposób, ale nasze szczęście nie mogło trwać wiecznie. Parliśmy naprzód pełnym gazem, mijając szerniałe szczątki kilku naszych czołgów. W pewnym momencie trafiliśmy na grupę niemieckich żołnierzy, zakrwawionych i przewracających się. Kulawi i ślepi wspierający się nawzajem. Zwolniliśmy, by ich ze sobą zabrać i w kilka sekund wieżyczka i reszta pancerza czołgu zaroily się od ludzi. Nieuchronnie, niektórzy nie mogli się utrzymać i spadli z powrotem na drogę, ale my nie mieliśmy wyboru i musieliśmy ich tam pozostawić. Nie było czasu na sentymeny. Jeśli chcielibyśmy się zatrzymywać i zabierać każdego po kolei, to wszyscy skończylibyśmy jako kupa nadpalonych kości. Jednak i tak wymagało to silnej woli, by jechać dalej i zostawić swoich towarzyszy na pastwę losu. Ręce próbowały uchwycić jakąś część czołgu, zewsząd słycać było błagalne głosy. Porta instynktownie nacisnął na hamulec i Stary odwrócił się do niego z furią.

- Jedź, cholerny idioto.

Przez moment wydawało się, że Porta odmówi.

- Powiedziałem ci, jedź! - Powtórzył Stary. - To rozkaz, przyjacielu.

Porta otworzył usta, by mu odpowiedzieć, ale jego słowa zagłuszyło uderzenie ciężkiego metalowego przedmiotu o bok czołgu. Cały pojazd zatrząsł się gwałtownie. W środku upadliśmy wszyscy, stając się jedną wielką nieskoordynowaną masą rąk i nóg. Na zewnątrz słychać było krzyki rannych żołnierzy.

- Myśliwce bombardujące - syknął Stary. - Może teraz się, kurwa, ruszysz.

Porta wzruszył lekceważąco ramionami, ale czołg ruszył ponownie naprzód. Myślę, że wszyscy odetchnęli z ulgą. Porta był najlepszym kierowcą w całym pułku i jeśli ktokolwiek mógł nas bezpiecznie dowieźć z powrotem, to tylko on. Straszny krzyk wstrząsnął powietrzem, gdy ruszyliśmy. Przez moment zapanowała cisza, po czym Legionista wzruszył ramionami.

- Kogoś wciągnęło pod gąsienicę - stwierdził lakonicznie.

Przejechaliśmy przez step, wjeżdżając teraz do morza ruin, rozwalonych murów, potłuczonego szkła, by po chwili orać opuszczone okopy, leje i kratery po bombach. Daleko przed nami były inne Tygrysy. Tylko Barcelona był z nami, jego czołg był prawie niewidoczny przez hordę uwieszonych na nim rannych piechurów.

Stary wciąż coś mrucał pod nosem. Zrozumieliśmy tylko słowo „most” i już wiedzieliśmy, o czym myślał. Aby dotrzeć na drugi brzeg rzeki, musieliśmy przekroczyć pewien most. Dużo zależało od tego, czy to Rosjanie, czy my dotrzemy do niego pierwsi. Na drodze wyrosła nam nowa przeszkoda: czołg Barcelony najechał na kawałek podmokłego terenu i wkrótce był całkowicie unieruchomiony. Podaliśmy im hol, ale ponieważ mogliśmy ich ciągnąć tylko w bok, a nie do przodu, okazał się nieprzydatny. Na naszych oczach ciężki czołg zapadał się coraz głębiej i Mercedes, gdy go o tym powiadomiliśmy przez radio, wydał rozkaz, by czołg opuścić i zniszczyć. Barcelona i jego załoga przesiedli się do nas i ruszyliśmy, ponownie obwieszeni ludźmi chwytającymi się każdej części pancerza.

Trafiliśmy na rosyjskie stanowisko artylerii i uderzyliśmy na nich, zanim mieli okazję się rozpierchnąć. Widzieliśmy tylko przerażone twarze, wykrzywione przez strach, gdy zgniataliśmy ich jak walec.

Krótko potem przyszła nasza kolej, by zacząć się bać; czołg zaczął tracić swą prędkość. Porta i Mały pracowali gorączkowo, jednak bez rezultatu. Dystans pomiędzy nami i resztą Tygrysów powiększał się z każdą chwilą.

- Co się, kurwa, dzieje? - Krzyknęliśmy ze strachu przed tym, co się może wydarzyć, stając się poirytowani i niel logiczni. - Jedź, kutasie!

- Nie jestem pierdolonym czarodziejem! - Warknął Porta.

Stary wezwał przez radio porucznika Ohlsena: bez odzewu. Widzieliśmy, jak ostatnie

z bratnich czołgów znikają za wzgórzem, daleko przed nami. Wydawało się mało prawdopodobne, że w ogóle dojedziemy do mostu... I nagle, silnik znowu ruszył pełną parą. Kaszlnął, zabelkotał, zgasł zupełnie i znowu zapalił. Czołg poderwał się do przodu. Po raz enty Porta dokonał cudu. Obrzuciliśmy go wspaniałymi pochwałami, a on po prostu splunął z pogardą i zmienił biegi.

- Jesteśmy bohaterami - oświadczył Mały. - To nasz obowiązek, by umrzeć bohaterską śmiercią... Heil Adolf! Ale z nas szczęściarze, że urodziliśmy się we właściwej chwili. Ale mamy szczęście, że jeszcze żyjemy, by walczyć przez kolejny pierdolony dzień.

- Chyba cię pojebało - powiedziałem radośnie.

- A o co my niby, kurwa, walczymy, hę? - Mruknął Barcelona, skulony w kącie, by nie przeszkadzać.

- Nie zadawaj takich idiotycznych pytań - poradził mu Stary.

W chmurze pyłu dotarliśmy do mostu.

Był wciąż nienaruszony, bronił go oddział rosyjskiej piechoty. Nie czekaliśmy na wymianę uprzejmości, dosłownie przejechaliśmy przez nich i po nich. Dwie zapalczywe dusze rzuciły się na przód czołgu: jednemu oderwało ramię, drugim zajęli się nasi pasażerowie. Za mostem musieliśmy przejechać przez mocno bronioną wioskę. Jakoś udało nam się wytrzymać ciągły ostrzał z broni przeciwpancernej, ale sądząc po krzykach i wrzaskach wielu siedzących na zewnątrz musiało straszliwie oberwać. Nic nie mogliśmy dla nich zrobić. Tuż za wioską spotkaliśmy się twarzą w twarz z T34.

Dowiedzieliśmy się o tym, gdy na przednim pancerzu eksplodował pocisk. Na szczęście nie był na tyle silny, by nas uszkodzić, ale reszta naszych pasażerów została zmieciona jak słoma na wietrze. Nastawiłem celownik na Rosjan. Zanim mogłem otworzyć ogień, Porta wcisnął gaz i ruszył bezpośrednio na nich. Dwa czołgi zderzyły się ze sobą z potwornym trzaskiem i odbiły się od siebie. Wewnątrz Tygrysa wszyscy zostali porzuceni po całym wnętrzu. O mało nie straciłem przytomności, gdy wyrznąłem głową o kant skrzynki amunicyjnej. Lżejszy rosyjski czołg był w dużo gorszym stanie niż nasz pięćdziesięciotonowiec. Kompletnie ich odwróciło, a dwóch członków załogi, którzy wychylali się na zewnątrz z włazów podczas zderzenia, zostało przeciętych na pół, gdy uderzenie zatrasnęło włazy na ich nogach. Po jakimś czasie wyprzedziliśmy oddział niemieckiej piechoty, który ewidentnie brał dziś udział w ciężkich walkach. Wszyscy byli na wpół żywi ze zmęczenia, oczy mocno zapuchnięte, twarze szare i wynędzniałe, większość w brudnych, zakrwawionych bandażach, niektórzy byli bez ręki, nogi, oka. Nie wiedzieli ani gdzie są rosyjskie, ani nasze linie. Wołali do nas, gdy przejeżdżaliśmy, prosząc, byśmy

zabrali ich ze sobą. Machaliśmy i krzyczeliśmy bezsensowne słowa otuchy, a gdy zobaczyli, że nie mamy zamiaru się zatrzymywać, ich prośby zamieniły się w groźby i wyzwiska. Kapitan artylerii wyciągnął pistolet i strzelił do nas kilkakrotnie, a Oberwachtmeister ustawił się w poprzek drogi z karabinem i krzyknął, byśmy się zatrzymali. My jednak jechaliśmy nieubłaganie. Oberwachtmeister nie chciał ustąpić i rezultat mógł być tylko jeden. Z tyłu usłyszeliśmy okrzyki gniewu i potępienia od jego towarzyszy.

Nieco później spotkaliśmy się z resztą Tygrysów w lesie, na południe od Lichnowskoje. Pod osłoną ciemności mechanicy wzięli się za naprawę naszych zmaltretowanych czołgów. Naszemu dostał się nowy silnik i płyty pancerne, zmieniono nam też jedną z gąsienic. Barcelona przejął czołg opuszczony przez SS. Działo było uszkodzone, ale zostało szybko wymienione na nowocześniejsze, wyciągnięte z jednego z czołgów, które nie nadawały się do naprawy. Porucznik Ohlsen przyłączył się do naszej grupy i poczęstował wszystkich papierosami.

- A może byś tak coś zagrał? - Spytał Portę.
- Co na przykład? - Odparł Porta wyciągając swój flet.
- Coś wesołego. Co chcesz.
- Horst Wessel - zasugerował Profesor.

Ogólne gwizdy i śmiech.

- Porucznik powiedział, że ma być coś wesołego - przypomniał mu Porta.

Butelka wódki poszła wkoło w ślad za papierosami. Powoli zaczynaliśmy się relaksować po trudach dnia.

- Zaśpiewajmy: „Urodziłem się i wychowałem w burdelu” - zaproponował Porta.

Ryczeliśmy tekst najgłośniejszy jak mogliśmy, delektując się rosnącą wulgarnością, zwrotka po zwrotce. Wódka wciąż krążyła. Stopniowo ogarniał nas spokój i dobre samopoczucie.

- Gdyby tylko dali nam jeszcze czołg pełen kurew - westchnął Mały.

Przez chwilę rozmawialiśmy o takiej możliwości, z całym entuzjazmem zarezerwowanym dla rozmów o seksie. Jak zwykle, poziom dyskusji gwałtownie spadł i skończyło się na bałaganie i bójkach. Porucznik Ohlsen znudził się naszym towarzystwem. Powiedział, żebyśmy się zamknęli i odszedł do bardziej spokojnej grupy, podczas gdy my dalej kłóciliśmy się do żywego. Ktoś walnął Portę w głowę rączką od granatu. Mały po cichu wysączył resztę wódki, gdy wszyscy byli zajęci czym innym. Ktoś inny Przyłożył Heidemu łopata i Profesor, jak zwykle, oberwał za wszystkich. Podczas całego tego zamieszania nadszedł rozkaz: „przygotować się do wymarszu”. Słyszeliśmy, jak przez las odjeżdżają

pierwsze czołgi i widzieliśmy długie języki ognia z ich rur wydechowych. Ponownie ruszaliśmy na akcję. Zostawiliśmy osłonę lasu i zajęliśmy miejsce na drodze, część długiej kolumny pojazdów: czołgów, ciężarówek, wozów pancernych i schwimwagenów - wszystkich jadących na wschód do bliżej nie określonej lokacji. Zatrzymaliśmy się ileś kilometrów dalej. Porta wychylił się z czołgu i krzyknął w stronę żołnierzy z pułku piechoty, który do nas dołączył.

- Hej, bądź kumplem i powiedz, czy jedziemy w dobrą stronę na wojnę! Chcielibyśmy się trochę zabawić, jeśli nie jest już za późno.

- Już niedługo sam się, kurwa, dowiesz, gdzie to jest - odpowiedział ktoś niezadowolony.

W oddali słychać było znajome buczenie ciężkiej artylerii. Niebo przecinały światła szperaczy, a ponad drzewami kolorowe flary rozświetlały noc. Tygrysy zbiły się w gromadę i stały w milczeniu, oczekując rozkazów. Długa linia czołgów rozciągająca się wzdłuż drogi. Porta i Mały opuścili relatywny komfort wnętrza i zdecydowali się wyjść, by w przydrożnym rowie oddać się pasji gry w kości o wielkie pieniądze, których nikt z nich nie miał. Po jakimś czasie dołączył do nich Heide i Legionista i gra szybko stała się okazją do świeżej awantury. Gdzieś, zdecydowanie za blisko nas, krótko i sucho szczęknęło działo.

- T34 - stwierdził Stary spokojnie. Nadszedł rozkaz, by ruszać dalej.

Czterech hazardzistów zapomniało o swojej kłótni i wskoczyło do czołgu. Barcelona kciukiem pokazał nam, że wszystko gra. Przed nami smugi białych i zielonych pocisków wbijały się w noc. Był to sygnał do ataku.

Wjechaliśmy powoli w gęste zarośla, zgniatając gąsienicami krzaki i młode drzewka. Nasze działa strzelały krótkimi seriami. Gdzieś eksplodował T34 i spadł na nas deszcz gorącej stali. Dookoła ciężko pracowały działa przeciwczołgowe. Za każdym razem gdy je słyszeliśmy, instynktownie chowaliśmy głowę w ramiona. Nagle huk i zawodzenie ciężkiej artylerii ustało i zamiast tego dało się słyszeć trzaski pistoletów i regularny stukot broni maszynowej. Z ochrypłych okrzyków otuchy domyśliliśmy się, że do ataku ruszyła nasza piechota.

- Tygrysy naprzód!

Przyśpieszyliśmy. Wzbijaliśmy w powietrze potężne kawały błota, drzewa padały pod nami jak kręgle. Stanęliśmy na chwilę, by przepuścić kolumnę piechoty, po czym ruszyliśmy w szyku na Rosjan przed nami. Znowu czuliśmy gorączkę pościgu, teraz jednak była różnica: nikt nie był pewien, czy to my polujemy, czy też na nas polują. Wszędzie panował chaos.

Dotarliśmy do małej wioski, węzła kolejowego, gdzie trwała zażarta walka. Terkotanie

karabinów maszynowych, granaty ręczne, rakiety, miotacze płomieni, głośne okrzyki po rosyjsku i niemiecku, wołania, wycia i gęste kolumny dymu. Skład amunicji wyleciał w powietrze, zostawiając ścianę płomieni. Olbrzymie latarnie, które były płonącymi domami, oświetlały nam drogę. Ciepłe powitanie czekało na nas ze strony kilku dział przeciwpancernych, które musieliśmy wyeliminować, zanim mogliśmy jechać dalej. Na ulicach widać było typowe obrazki zagłady. Martwi żołnierze, martwe konie, martwi cywile. Porzucone części uzbrojenia. Rosyjski kapitan uwięziony pod przewróconym pojazdem, krzyczący szeroko otwartymi ustami i patrzący w dal niewidzącym wzrokiem. Wielu rannych, którzy nie zdążyli się odczołgać, zostało przez nas zmiażdżonych. Ciągły deszcz małych palących się cząsteczek był tak gęsty, że dostawał się nawet do czołgu. Jechaliśmy przez piekło rękoma zasłaniając twarze, ale dla tych, którzy byli na zewnątrz było to dużo gorsze. Widzieliśmy wielu żołnierzy krzyczących z bólu i słaniających się po ulicy z dłońmi na oczach. W środku wsi trwała walka wręcz, musieliśmy skręcić i zrównać z ziemią wiele domów. Ściany pękały powoli pod naporem pięćdziesięciu dwóch ton. W jednym z domów łóżko, w nim dwa trupy, a między nimi żywa mała dziewczynka. Porta nie był w stanie zahamować, by ich ominąć. Nikt nie powiedział słowa. Milczeniem okłamywaliśmy siebie nawzajem. Nikt nic nie mówił z prostego powodu - nikt nie miał odwagi przyznać się do tego, co widział. To nie była wojna, to było morderstwo. Była to jedna z rzeczy, o których się nie mówiło.

Mieszkańcy wioski stracili wszystko, czasem łącznie z życiem. Stara kobieta siedziała pośród ruin swojego domu, pomiędzy kilkoma połamanymi patykami, które kiedyś były częścią jej mebli. Jej długie siwe włosy były nadpalone, a ciało pokrywały rany po oparzeniach. Patrzyła na przejeżdżające czołgi oczami otwartymi szeroko z przerażenia, ale nie próbowała się przed nami ukryć. Tak czy inaczej, nie było gdzie uciekać. Trzech cywilów leżało martwych na środku drogi. Jeszcze dalej ciała żołnierza i dziecka leżały obok siebie, ich krew zmieszana, wciąż ciepła i czerwona.

Nie wiedzieliśmy dlaczego, ale kazano nam zatrzymać się na środku ulicy. W pobliżu znajdował się skwer - bruk, a na środku studnia. Do niej właśnie sikał jakiś niemiecki żołnierz. Musiał długo trzymać to w sobie, bo jego sikaniu nie było końca. Usiedliśmy obserwując go w milczeniu, jakby wykonywał jakiś specjalny rytuał. Czemu musiał zanieczyszczać źródło wody pitnej? W jego działaniu nie było złośliwości. Sikał do studni, bo tam była, bo było to wygodne, bo nie myślał i z żadnego innego powodu. Kiedy skończył, zapiął rozporek i odsunął się z głębokim westchnieniem satysfakcji, tak jakby świat był teraz lepszym miejscem. Po drugiej stronie studni mały chłopczyk bawił się w piasku, najwyraźniej

niewzruszony wojną, która rozgrywała się dookoła niego. Żołnierz podszedł do niego, powiedział kilka słów i pogłaskał go po włosach. Odwrócił się i ujrzawszy czołgi, pomachał nam radośnie, zapalił papierosa opierając się o studnię. Potem odwrócił się przez ramię patrząc znowu na chłopca, wyciągnął coś z kieszeni i rzucił na piasek. Dziecko chwyciło to szybko i momentalnie włożyło sobie do buzi. Żołnierz uśmiechnął się i skinął głową. W następnej chwili z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy skulił się i upadł na ziemię. Jego nogi drgały, a z otwartych ust buchnął mu potok krwi. Dziecko wstało, zrobiło kilka niepewnych kroków i także upadło. Nikt z nas nie słyszał pocisku, który ich zabił, zanim dotarł do celu i wybuchł. W powietrze wyleciało zadziwiająco mało piasku, a pył opadł już po chwili.

Skwer wyglądał prawie tak samo jak przed chwilą. Kilka kurczaków wyszło na bruk i licząc na posiłek, zaczęło dziobać w pobliżu dwóch ciał.

Pod osłoną czołgów nasza piechota przygotowywała się do kolejnego natarcia. Nagle, z niezliczonych dołów wyskoczyli ukryci dotąd ludzie. Porta wychylił się z czołgu zachęcając ich do ataku.

- Do zobaczenia w Moskwie, chłopaki!

Grad strzałów nad jego głową sprawił, że szybko się schował wśród gwizdów żołnierzy.

Nastąpił atak, potem odwrót, znowu atak i chwila niepewności w obliczu gwałtownego oporu Rosjan. Teraz do zabawy dołączyła rosyjska artyleria. Nasi żołnierze rzucali się na ziemię, tak płasko jak tylko mogli, ale i tak wstrząs wybuchów podrzucał ich wysoko w górę i w dół jak popsute kukielki. Głowę miałem mocno opartą o gumę panelu obserwacyjnego. Oglądałem całą tę makabryczną scenę jakbym był w kinie.

- Wrogie działo przeciwpancerne po naszej prawej - powiedział nagle Stary.

Stanowisko było ukryte za ścianą gospodarstwa. W towarzystwie innych Tygrysów natarliśmy na Rosjan, poddając ich zsynchronizowanemu ostrzałowi. Trzymali się przez chwilę, zadając nam poważne straty, ale wkrótce byliśmy już na nich, zgniatając działa gaśnicami. Załoga zaczęła uciekać, a my dobiliśmy ich ogniem z cekaemów. Czołg porucznika Ohlsena otrzymał cztery celne trafienia naraz i huk eksplozji wstrząsnął naszym własnym Tygrysem. Widzieliśmy jednego z członków załogi wyrzuconego wśród płomieni wysoko w powietrze. Nie byliśmy wtedy pewni, czy ktokolwiek przetrwał. Cztery inne czołgi były teraz płonącymi wrakami. Z całej Pierwszej Kompanii zostało ich tylko sześć. Jakiś czas temu zlikwidowano w całości Czwartą Kompanię. Teraz ponownie staliśmy się tropioną zwierzyną. Odjechaliśmy z rejonu bezpośredniego zagrożenia i kilka kilometrów dalej

zreformowaliśmy szyk do pozycji atakującej. W otwartej limuzynie pojawił się dowódca dywizji - generał Keller, który szybko zamienił chaos w porządek. Posiłki przybyły z innych sekcji pancernych i wysłano nas raz jeszcze.

Wewnątrz czołgu można się było udusić. System wentylacyjny przestał działać i wszyscy się dławiliśmy, mając zażawione oczy po każdym strzale. Po jakimś czasie Heide zasłabł od tego dymu i zwałił się na podłogę u naszych stóp. Kopnęliśmy go w kąt, by nam nie przeszkadzał. Nie mieliśmy ani czasu, ani możliwości, by zrobić dla niego coś więcej. Z lewej strony, przy drodze obsadzonej topolami, zauważyłem znajome ciemne kształty i mimo gorąca poczułem nagle gęsią skórkę jak wysypkę na rękach.

- T34!

- Tego nam teraz potrzeba - powiedział Stary gniewnie.

- Niezła imprezka - skomentował Porta. - Ktoś jeszcze chciałby już iść do domu?

- Tysiąc dwieście metrów - mruknął Stary. - Masz ich Sven? Jeśli to spierdolisz, to po nas.

Byłem w pełni świadomy tego faktu i wcale mi to nie odpowiadało. Wziąłem na celownik prowadzący T34. Obraz był wyraźny. Otworzyłem ogień nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Dźwięk wybuchu. Mile widziany obraz dymu i płomieni. Odpadłem do tyłu, gdy odskoczył zamek od działa, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

- Udało ci się! - Krzyknął Porta, klepiąc mnie po plecach. - Ja pierdołę, udało ci się!

Długa kolumna rosyjskich czołgów stanęła w rozgardiaszu. Odwrócili swoje działa w prawo najwyraźniej nie wiedząc, co ich uderzyło i gdzie usytuowany był nieprzyjaciel. Prawdopodobnie wzięli nas za stanowisko przeciwczołgowe położone za topolami. I znowu miałem ich na celowniku; i znowu wystrzeliłem i ponownie pocisk dotarł do celu. Inne Tygrysy też się dołączyły, mieliśmy nad Rosjanami przewagę i powietrze wkrótce było gęste od chmur ciemnego tłustego dymu, przez który przebijały czerwone i żółte płomienie.

- Na tym kończymy pokaz sztucznych ogni! - Krzyknął nagle Mały.

Stary spojrział na niego zaskoczony.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Nie mamy już śrutu - powiedział Mały radośnie.

Usiadł na podłodze obok nieprzytomnego Heidego i kopnął go z pogardą.

- Możesz już wstać, ominęła cię najlepsza zabawa.

Wycofaliśmy się z pola walki i Stary wezwał pojazdy aprowizacyjne. Zanim przyjechały i zanim uzupełniliśmy nasze zapasy amunicji, T34 były właściwie załatwione i

reszta naszej sekcji przesuwała się na nowe stanowiska.

Wyjechaliśmy spośród gęstych drzew i znaleźliśmy się na otwartym płaskim terenie, aż czarnym od zgromadzonych tam czołgów. Był to zapierający dech w piersiach widok. Pokaz czystej siły. Musiało tam być co najmniej sto Tygrysów najwyraźniej ściągniętych z różnych pułków.

Esesman, Obersturmführer, patrzył, jak przejeżdżamy i splunął pogardliwie na trupa czaszkę wymalowaną na naszej wieżyczce. Czaszka była symbolem kompanii karnych. Obersturmführer należał do Drugiej Dywizji Pancerniej SS „Das Reich”, prawdopodobnie najbardziej aroganckiej w całej Armii Niemieckiej. Aby mu pokazać, że byliśmy dokładnie tak ordynarni, jak na to wyglądało, pokazaliśmy mu wszyscy dwa palce.

Według rozkazu mieliśmy się kierować na południowy zachód w kierunku Sinogórska, gdzie cała dywizja znalazła się w okrążeniu. Wychwytywaliśmy ich desperackie prośby o pomoc przez radio. Dotarliśmy do nich w ciągu godziny. Ponieważ nigdzie nie było czołgów wroga, szybko daliśmy sobie radę z przeciwnikiem i powitano nas jak bohaterów. Był tylko jeden problem - okazało się, że to SS. Porta stwierdził, że gdybyśmy to wiedzieli wcześniej, to byśmy ich tam zostawili. Nigdy nie mogliśmy się zdecydować - kogo nienawidzimy bardziej: SS czy Rosjan.

Nadszedł rozkaz, by się przegrupować i wycofać, dopóki wszystko gra. W ciągu minuty byliśmy w drodze, ale nie dane nam było zaznać spokoju. Pojawiło się kilkanaście Ilów i zaczęły nas bombardować. Szybko rozpiechaliśmy się wśród drzew, które rosły przy drodze, ale kiedy bombowce wreszcie odleciały gdzieś na wschód, zostawiły po sobie ogromne spustoszenie. By pogorszyć nasz nastrój, okazało się, że w pobliżu widziano kilka dywizji rosyjskich. Major Mercedes obejrzał mapę, po czym skonsultował się z porucznikiem Gaunem.

- Myślę, że powinniśmy się stąd zabierać, dopóki mamy szansę. Jeśli zostaniemy za długo, to nas odetną.

- A co z rannymi?

Major podniósł do oczu lornetkę, przyglądając się nacierającym Rosjanom, znowu spojrzał na mapę, pokiwał głową i wspiął się do czołgu.

Wszyscy, którzy nie będą zdolni do marszu o własnych siłach, muszą być pozostawieni. Porucznik Gaun zrobił krok do przodu protestując.

- Panie majorze, nie możemy ich tak zostawić. Pan wie, że Rosjanie nie biorą jeńców. To pewna śmierć. Równie dobrze mogliśmy ich tam od razu zostawić.

Major spojrzał na niego krótko.

- Zginie nas dużo więcej, jeśli się natychmiast nie wycofamy.

Zniknął w czołgu, który ruszył wolno naprzód. Przez chwilę porucznik patrzył za nim, po czym przeniósł swój wzrok na różne grupy rannych, siedzących i leżących na ziemi. To prawda, że było to SS, to prawda, że ich nie cierpieliśmy, ale wciąż był to smutny widok. Wielu było ciężko rannych i nie wytrzymają długo bez fachowej pomocy. Nie było nawet czasu, by założyć poprawne opatrunki. Niektórzy mieli strzaskane kończyny, które były teraz surową masą ciała przykrytą już przekrwawionym byle czym. Tu i ówdzie, świecąc jasno, wystawały kawałki kości. Ale generalnie żołnierze byli w dobrym nastroju. Oczywiście nie wyobrażali sobie, że będą pozostawieni na pastwę zbliżających się Rosjan. Mówili z tęsknotą o spokoju pokoi szpitalnych, już teraz widzieli przed sobą śliczne pielęgniarki, chłodne dłonie na ich rozpalonych czołach, czystą pościel, miękkie koce; koniec ze śmierdzącymi okopami, koniec z walką, koniec z horrorem. Właściwie ci, którzy stracili rękę czy nogę, mogli się cieszyć. Oznaczało to dla nich permanentne wycofanie z koszmaru okopów frontu, powrót do Niemiec, do żony i dzieci. Ci z nas, którzy słyszeli słowa majora, patrzyli z sympatią na porucznika Gauna nie zazdroszcząc mu zadania.

Rozkazy odwrotu zostały wydane. Wielkie czołgi ruszyły niezgrabnie, każdy obciążony tyloma żołnierzami, ile tylko się zmieściło. Wystarczył moment, by ci, którzy zostali, zrozumieli, co się dzieje. Gdy to się stało, ich reakcja była gorsza od jakiegokolwiek bitwy, którą widziałem. Krzyki wściekłości i przerażenia pomieszane z rozpaczliwym błaganiem o litość. Proszące ręce, próbujące czepiać się szczęściarzy jadących na zewnątrz czołgu. Mężczyźni z otwartymi ranami i lejącą się krwią sunęli ku nam krzycząc z bólu i z czystego zdumienia tym, co im robimy. Niektórzy się czołgali. Niektórzy używali siebie nawzajem jako podpory. Inni tylko leżeli i patrzyli, oczami zamglonymi i odległymi. Trzech oficerów rzuciło się przed nadjeżdżający czołg i zostało momentalnie zmiażdżonych. To było nasze ostatnie pożegnanie z tysiącami naszych rannych żołnierzy. To było całe podziękowanie, którego możesz oczekiwać na wojnie. Heil Hitler i próbuj umrzeć jak bohater.

Dla nas był to wyścig z czasem. Z obu stron nacierały na nas rosyjskie czołgi, próbując odciąć nam drogę ucieczki. Spadał na nas deszcz pocisków. Niebo pełne było pocisków oświetlających, a ponad tym wszystkim powoli słyszeliśmy warkot nieprzyjacielskich samolotów. Spadły na nas z rykiem z chmur. Ledwie zdążyliśmy je zauważyć, gdy cały czołg został uniesiony w powietrze jak jakąś niewidzialną dłonią, wstrząśnięty i po chwili znowu rzucony na ziemię.

Jeden z bombowców wroga znalazł swój cel: bomba eksplodowała tuż pod naszą

wieżyczką. To był cud, że czołg nie wybuchł. Rzuciło nas pod sufit i z powrotem na podłogę, jednego na drugiego. Wyrwało kable i rury, działo zostało wypchnięte ze swojego stanowiska, w naszych ciałach utkwiło potłuczone szkło. Świat stał się wirującą masą bomb, ziemi, skał, stali, a wszystko tańczyło swój szaleńczy taniec w powietrzu.

Samoloty nadleciały teraz z innej strony. Dla ludzi na zewnątrz musiała to być zwykła rzeź. W środku było piekło. Uwięzieni w czarnej dziurze, nie widząc, nie mogąc oddychać, nasze oczy i gardła paliły od gryzących oparów. Czuliśmy prawie wszechogarniającą potrzebę wydostania się na zewnątrz, na to morze bomb i spotkania ze śmiercią twarzą w twarz - lepszego niż czekania na nią w ciemności spodziewając się, lada moment, potężnej eksplozji.

Ale wtedy, w końcu wszystko ucichło, nikt się nie poruszył ani nic nie powiedział. Nagła cisza była dziwna i nieoczekiwana. Wydawało się niemożliwe, że jeszcze żyjemy. Przez długi czas byliśmy zbyt przerażeni, by się poruszyć, przerażeni tym, co może czekać nas na zewnątrz. Wyszliśmy powoli, jakby niechętnie, na powietrze. Z ludzi, którzy trzymali się czołgów, prawie nikt nie przeżył. Wiele czołgów było teraz zwykłą kupą dymiącego żelastwa. Z tych, które pozostały, wyłaniały się z bólem i powoli umorusane postacie. Widzieliśmy człowieka, który wyczołgał się z rumowiska stali z krwią lejącą się z jego rannego gardła. Widzieliśmy innego z twarzą w pół spaloną. Skóra wisiała mu w strzępach. Mały miał otwartą ranę ręki, Porta dziurę wielkości pięści w czole. Rosyjskie szturmowce dobrze się sprawiły. To była powszechna masakra.

Barcelona podszedł do nas słaniając się, za nim cała jego załoga. Spojrzał na nasz czołg, potem na nas jakby nie wierząc, że mogliśmy to przetrwać. Odwróciliśmy się za jego spojrzeniem spoglądając na naszego Tygrysa i rozumiejąc jego zdumienie. Działo było wyrwane; gąsienice powyginane jak z drutu, przednia maska kompletnie zapadnięta; większość kół urwana; zbiorniki na paliwo spłaszczone - sam pojazd, jako całość, praktycznie nie istniał. Przez kilka minut staliśmy patrząc na to, gdy wreszcie Porta potrząsnął głową i otarł krew z oczu.

- Boże, to było półtora czołgu - powiedział smutno.

Torgau. Nazywane więzieniem; w rzeczywistości piekło. Zimne, szare piekło, w którym pracowali sadystyczni maniacy ze swoimi pejczami i świecącymi butami, gdzie nieszczęśni więźniowie byli zredukowani do poziomu stada bydła, a traktowani znacznie gorzej.

Były tylko dwa sposoby na wydostanie się z Torgau: jedno to stanięcie przed plutonem egzekucyjnym, a drugie to miejsce w kompanii karnej na wschodnim froncie. Dziewięćdziesiąt procent więźniów skorzystało z pierwszego wyjścia. Może, na dłuższą metę, to oni byli szczęściarzami.

Rozdział 6

Ci z pułku, którzy przetrwali, zostali odesłani do Niemiec. Być może ktoś uznał, że zasłużyliśmy na odpoczynek.

Naszej kompanii przydzielono rolę strażników w więzieniu wojskowym w Torgau. Było to posępne miejsce, gdzie wszystko było szare: nagie kamienne ściany były szare, główna brama była szara, mundury były szare, kraty w oknach były szare. Nawet samo niebo, jeśli miałeś na tyle szczęścia, by ujrzeć kawałek, było szare.

Wielkie podwójne drzwi rozstały się, by wpuścić nowego więźnia, wprowadzonego w kajdankach pomiędzy dwoma strażnikami. Podskoczył nerwowo, gdy drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem. Przez moment wykrzywił usta, zniekształcając twarz i sądziliśmy, że krzyknie, ale on tylko wymruczał coś do siebie. Zrozumieliśmy tylko „żyjąca śmierć”.

- Stul pysk! - Krzyknął feldwebel. - Tutaj mówisz tylko wtedy, gdy cię o coś pytają, nigdy wcześniej... I zwykle jest tak, że pytają cię tylko wtedy, gdy chcą wiedzieć, czy chcesz mieć zawiązane oczy.

Feldwebel Schmidt parsknął śmiechem samozadowolenia. Zawsze się śmiał. Inni strażnicy nazywali go „Joker”. Można by go wziąć za wesołego kolesia, kawalarza, gdyby nie to, że niestety, jego poczucie humoru działało tylko na czyjś koszt. Przez to nie był całkiem normalny. Jego pożądanie śmiania się z kogoś było definitywnie obsesją. Ale nie można też powiedzieć, że był jakimś wyjątkiem: nikt ze strażników zatrudnionych w więzieniach Hitlera nie mógłby, przez nikogo chyba, być nazwany normalnym.

Feldwebel Schmidt nacisnął dzwonek, który odezwał się daleko w głębi więzienia, w pokoju z napisem „Recepcja”, który był miejscem urzędowania hauptfeldwebela Dorna. Więzień odmaszerował.

Hauptfeldwebel spędzał swoje życie w dokładnie skonstruowanym zbiorowisku papierów i dokumentów. Szafki na dokumenty stały we wszystkich czterech kątach jego biura. Przed nim na biurku stały druciane segregatory pełne dokumentów. Teczki podpisane „Do podpisu”, „Pilne”, „Do załatwienia”, „Bardzo Ważne”, i inne leżały wszędzie na widoku oznajmiając światu, że hauptfeldwebel Dorn był człowiekiem bardzo zaangażowanym w więzienne sprawy. Był też imponujący zbiór ołówków, piór, pieczętek, buteleczek atramentu, linijek i innych biurowych gadżetów. Za tym wszystkim siedział hauptfeldwebel Dorn, skrupulatnie pracując jak tylko się dało najmniej. W trzeciej szufladzie jego biurka, ukryta pod stertą „Volkische Beobachter”, których przecież i tak nikt nie czytał, leżała

ciemnozielona butelka z napisem „Klej”. W rzeczywistości był to koniak, który zawsze spełniał zadanie doskonałego leku na wszystko, nawet wtedy, gdy Dorn był przyciśnięty do muru i faktycznie musiał chwycić do ręki pióro i podpisać kilka świstków. Drzwi do biura otworzyły się i stanął w nich Schmidt w towarzystwie drugiego strażnika i skutego więźnia.

- Heil Hitler! - Szczeknął Schmidt.

Dorn zignorował go dla zasady. Siedział skulony za swoim biurkiem, najwyraźniej całkowicie pochłonięty zawartością teczki, którą studiował. Wewnątrz akt, wydrukowane na oficjalnym papierze z nadrukiem „Gekados” (Tajne) było opowiadanie pornograficzne. Feldwebel Schmidt chrząknął z szacunkiem, by dać znać o swojej obecności.

- Cisz! - Wrzasnął Dorn. - Widzicie chyba, że jestem zajęty.

Przez kilka następnych chwil słychać było tylko ciężki oddech i ważne przesuwanie tajnych papierów. Wreszcie Dorn zamknął teczkę, umieścił ją w szufladzie z butelką „Kleju” pod „Völkischer Beobachter” i odwrócił się majestatycznie, by obejrzeć więźnia. Bez słowa wyciągnął rękę do Schmidta, który w milczeniu podał mu jego akta. Dorn rzucił na nie okiem i powiedział „hmm!”. W tonie pogardy i ważności. Wrzucił je nonszalancko do jednego z drucianych koszyków, wstał, ruszył po pokoju, zatrzymał się na moment dla większego efektu, po czym przeszedł się wolnym krokiem dookoła biurka i stanął przed więźniem.

- No i? - Zapytał.

Więzień zmartwiał.

- Porucznik Heinz Berner, siedemdziesiąta szósta jednostka artylerii - odpowiedział.

- No i? - Powtórzył Dorn. - Czy wolno spytać, co sprowadza pana do Torgau? Czy jest to może, sehr gekados?

Porucznik Berner wbił wzrok w podłogę.

- Skazany na śmierć za morderstwo.

- Oficer mordercą? - Dorn unióś swoje cienkie brwi. - Oficer Armii Niemieckiej? Wydaje się to nieprawdopodobne... Któż taki, jeśli wolno spytać, miał nieszczęście być ofiarą?

- Moja narzeczona.

- Narzeczona? - Dorn odrzucił w tył głowę i zarżał jak koń, któremu podsunięto worek owsa. - To świetne. To mi się podoba! To najlepsza rzecz, jaką od dawna słyszałem! No, ale nic się nie stało, poruczniku Berner: już wkrótce znowu się spotkacie. W Niemieckiej Armii nie ma miejsca dla ludzi takich jak ty.

Porucznik Berner został zabrany na trzecie piętro i zamknięty w celi mierzącej trzy na półtora metra. Czuł się jakby był w puszcze sardynek. Każdej minuty ktoś mógł przekreślić

klucz i zajrzeć przez judasza w drzwiach, a to by oznaczało śmierć dla porucznika Bernera. Usiadł ciężko na drewnianym stołku, schował głowę w dłoniach i siedział tak w bezruchu przez prawie pół godziny. Wydawało mu się, że jego życie jest już skończone, prawie zanim się zaczęło. Większość z jego przyjaciół odwróciła się od niego; dla nich już był martwy. W każdej chwili mógł usłyszeć kogoś z kluczami, kto przyjdzie po niego i zabierze go przed czekający gdzieś pluton egzekucyjny. Wydawało się to niemożliwe, że jeszcze tak niedawno ukończył szkołę wojskową w Poczdamie, okryty chwałą, mianowany porucznikiem, wysłany do domu na przepustkę, gdzie na stacji czekali na niego dumni rodzice i oddana Elza. Nawet teraz, patrząc wstecz, byłoby trudno powiedzieć dokładnie, jak to się stało, gdzie dokładnie wszystko się spieprzyło. Pomyślał, że może pierwszy zwiastun nadchodzących problemów pojawił się wtedy, gdy zabrał Elzę na kolację. Pocałował ją w przedsionku restauracji. Długi pocałunek z końcówką języka głęboko w jej ustach. Taki pocałunek, o jakim przeczytał w książce - przez tego, no, kto to napisał? Jakies amerykańskie nazwisko. Muller? Miller? Tak, dokładnie. Henry Miller. Książka została skonfiskowana i ostentacyjnie spalona po tym, jak przeczytało ją pół szkoły. Elza zareagowała na pocałunek jak urażona dziewczyna. Zastanawiając się nad tym teraz, pewnie była dziewczyną i na pewno była urażona. Przez dwa dni nie chciała się do niego odzywać, a później zgodziła się tylko dlatego, że obiecał, iż nie dotknie jej palcem, nie wspominając o języku. Elza była członkinią BDM (Ligi Niemieckich Dziewcząt). Zgodnie z ich doktryną żaden mężczyzna nie powinien nigdy żądać „czegoś takiego” od jednej z dziewcząt. Czystość do ślubu. Pożądanie nie powinno istnieć. A gdyby przez jakieś nieszczęście, przez jakiś wybryk natury, podniosło swój ohydny łeb, natychmiast powinno zostać unicestwione aż para będzie bezpiecznie po ślubie. Czy Führer - przychodzi i namawia dziewczęta do nieprzystojnych zachowań? Oczywiście, że nie. To było nie do pomyślenia.

Heinz bardzo się starał unicestwić swoje wynaturzone pożądanie w stosunku do Elzy. W końcu powinien to zrobić dla Führera. Jednak, niestety, jego pożądania nie dało się unicestwić.

Oficer Armii Niemieckiej nie może się zachowywać w ten sposób - oświadczyła mu Elza. - W jaki sposób?

- Dobrze wiesz, Heinz.

- Więc jak się powinien zachowywać?

- Powinien poczekać aż do ślubu.

Heinz zaakceptował to, tym bardziej, że nie miał wyboru, choć, jeśli dobrze pamiętał, nic nie mówiono na temat takich warunków w szkole wojskowej.

- Więc weźmy ślub - zasugerował. - Od chwili gdy będziemy należeć do siebie fizycznie, możesz się uważać za moją żonę. To chyba wystarczy?

Elza rzuciła się na niego i przez kilka chwil całowali się z całą zakazaną pasją opisaną w książce Henry Millera. Nagle odepchnęła go od siebie, patrząc na niego z obrzydzeniem, jakby był jakimś odpychającym potworem.

- Więc to tak? To jedyny powód, dla którego chcesz mnie poślubić? Ponieważ chcesz iść ze mną do łóżka? Jakie to odrażające! Uważam takie postępowanie za całkowicie niegodziwe. Właśnie doniosłam na jedną z moich najlepszych koleżanek, że utrzymuje związek seksualny z mężczyzną.

Kilka następnych godzin zajęło mu przekonanie jej, że się myliła. Kiedy już mu się to udało, było to prawie prawdą: pożądanie, przynajmniej w tej chwili, ustąpiło.

A następnego dnia - jak to się stało? Jak to się mogło wydarzyć? Byli tacy szczęśliwi razem. Te bydlaki z Kripo nie chciały uwierzyć, że naprawdę nic nie pamięta. Zbili go i straszili „spacerkiem”, który, jak go zapewnili, szybko odświeży mu pamięć. Nie zrozumiał, o co im chodzi, ale domyślał się, że to nic przyjemnego. Główny inspektor uderzył go kilkakrotnie w twarz i oskarżył go o zamordowanie innych ludzi oprócz Elzy.

- Opowiedz nam o tym - powiedział. - Zaczynj się nam zwierzać i zrobimy co tylko się da dla ciebie. Będziesz sądzony tu, w Hamburgu, a nie w Berlinie. W Hamburgu będzie ci lżej. Tutaj traktuje się ludzi uczciwie.

Rzucali nim po pokoju i kopali w brzuch aż w końcu zaczął wymiotować krwią. Sądził, że jego oprawcy oszaleli. Kazali mu zlizać własne wymioty i zrobić jeszcze kilka rzeczy, których wolał nie wspominać. W końcu wsadzili go do aresztu, gdzie zajęło się nim kilku innych strażników. Złamali mu dwa palce, po jednym na każdej dłoni, wybierając środkowy, bo było to najbardziej bolesne i dlatego, że z powodzeniem można go było złamać w trzech miejscach. Lekarz, który go później oglądał, uznał to za całkiem zabawne.

- Poślizgnąłeś się, co? Niesamowicie ilu osobom to się ostatnio przytrafia. Już im mówiłem, żeby nie polerowali tak podłóg. Któregoś dnia kogoś spotka naprawdę poważny wypadek.

I tak w końcu wylądował w Torgau... Torgau! Boże, czy to naprawdę możliwe? Czy ze wszystkich więzień musiał trafić właśnie do Torgau? Torgau - nazwa, która była synonimem piekła, tortur, śmierci...

Jeszcze raz porucznik zakrył twarz dłońmi; tym razem płakał jak dziecko. Nie chciał umierać, nawet śmiercią oficera, i proszę, Boże, daj mu chociaż to - nie był jeszcze gotowy na śmierć, był wciąż za młody. Tylko dwadzieścia lat i tyle patriotycznego zapału. Czemu

chcieli go zabić? Chciał walczyć za ojczyznę, za Führera, za honor i chwałę. Byłoby idiotyzmem pozbywanie się tak walecznego oficera. Co mógł zrobić? Napisać do generalobersta Haldera? Tak. Halder mu pomoże. Na pewno. To jego obowiązek, by do niego napisać. Nie robił tego tylko dla siebie, ale także dla Niemiec. Porucznik zerwał się na nogi, podbiegł do drzwi swojej celi i uczepiwszy się krat zaczął krzyczeć najgłośniejszym jak tylko potrafił.

- Chcę napisać list! Chcę napisać list!

Ktoś w korytarzu uderzył w jego drzwi.

- Uciszyć się, do jasnej cholery!

Porucznik odszedł od drzwi i zrezygnowany usiadł na swym drewnianym stołku. Przez długi czas panowała cisza. Od czasu do czasu słyszał kroki na korytarzu i dzwonienie kluczy. Ten dźwięk doprowadzał go na skraj paniki. Za każdym razem wyobrażał sobie, że już po niego idą.

Te bydlaki z Kripo traktowały go jakby był jakimś maniakiem seksualnym. Sędzia sądu polowego wyraził żal, że można na nim wykonać tylko jeden wyrok śmierci, a nie dziesięć. A jednak nawet teraz nie pamiętał dobrze, jak to się stało. Kochał Elzę. Nie miał żadnej intencji, by ją krzywdzić.

Był wtedy pijany. Tyle wiedział. Zbyt pijany, by się w pełni kontrolować; nie na tyle pijany, by nie wiedział, co robi. Wiedział też, że zerwał z siebie ubranie. Elza krzyczała i walczyła z nim, ale nikt jej nie słyszał. A jeśli nawet, to nikt nie zwrócił na to uwagi. To z powodu wojny. Ludzie przyzwyczaili się do przemocy i traktowali ją jako integralną część życia, aż w końcu nie robiło to na tobie wrażenia i nawet jej nie zauważałeś. Elza kopnęła go mocno w gołe nogi. Zabolęło, ale on się tylko roześmiał i zacisnął uchwyt na jej nadgarstkach.

- Puść mnie! Puszczaj!

A on nie puścił. Nie, zdecydowanie nie puścił. Pamiętał, że ją trzymał. Walczyła jak jakieś opętane zwierzę. Nazwała go świnia, bydlakiem i żydem, a były to trzy najgorsze przekleństwa, które знаła. Uderzyła go w twarz, a waza Sevres, stojąca na komodzie, spadła rozbijając się o podłogę. To wszystko pamiętał. Pamiętał kres drezdeńskiej porcelany, zabytkowych szklanych kielichów i jeszcze paru drobiazgów.

Czego nie pamiętał, to wydarzeń, które nastąpiły potem. Nie pamiętał, na przykład, jak wrywał jej włosy albo szarpał do krwi jej ciało ani też, że strzelił dwukrotnie z bardzo bliska do portretu Kajzera. Nie pamiętał, jak wbijał zęby w Elzy gardło, jak zlizywał krew - jej zmieszana ze swoją, ani ciepło - słonego smaku krwi, ani dziwnego rżenia w poszarpanym gardle Elzy, ani nagłej miękkości jej wcześniej niedostępnego ciała. Tego wszystkiego nie

pamiętał.

Kiedy już się ocknął, porwał dziewczynę w ramiona i siedział z nią kołysząc się na piętach. Płakał, a jej głowa odchylała się w przód i tył jak głowa lalki. Dookoła pełno było potłuczonego szkła i zastygającej krwi. Był przerażony i zastanawiał się, co się stało. Prosił Elżę, by mu pomogła, ale ona nie odpowiadała. Powoli zaczęła docierać do niego świadomość, że dziewczyna nie żyje.

- Bawisz się ze mną! - Krzyczał potrząsając jej martwym ciałem. - Udajesz! Nie możesz być martwa! Nie jesteś martwa!

Jednak była. Wtedy wybiegł z pokoju, na wpół nagi i cały we krwi, biegł ślepo ulicami, aż go zatrzymali.

Ciężkie buty w korytarzu. Porucznik usiadł prosto i zmartwiał, pot ściekał mu z czoła. Czy to teraz? Czy właśnie po niego idą? Ktoś przeklął. Znowu kroki. Cisza.

Porucznik podbiegł do drzwi i próbował wyjrzeć. Dotknął przycisku dzwonka. Czy będzie jakiś problem, jeśli zadzwoni? Żeby tylko sprawdzić, co się dzieje? Przecież skazaniec ma chyba prawo wiedzieć, co się dzieje? Ale czy naprawdę chciał wiedzieć? Zawahał się z drżącym palcem. Jeśli naciśnie, to kto przyjdzie? Jeden ze strażników. Kapral albo jakiś inny niski stopień. Czyż nie był on porucznikiem w pułku artylerii i w konsekwencji nie powinien się zadawać z takimi ludźmi?

Usłyszał, jak za drzwiami coś ciągnięto. Ciało? Może przyszli zabrać jakiegoś innego biedaka na jego ostatnią podróż, a on zemdlął z przerażenia? A czy on też zemdleje, jak już po niego przyjdą? Wyobraził ich sobie z karabinami i w stalowych hełmach, wiedząc, że nie będzie w stanie okazać żadnej odwagi. Będą musieli go ciągnąć, tak jak teraz ciągnęli kogoś...

Znowu kroki. Porucznik Heinz Berner skulił się przy ścianie i wzywał swoją matkę. Jego serce niemal przestało bić w momencie, gdy zamilkły kroki. W zamku zazgrzytał klucz. To już teraz. W końcu. A więc to się czuje. Przyszli po niego...

W drzwiach stał olbrzymi obergefreiter. Nosił czarny mundur jednostek pancernych ze znacznym trupiej czaszki. Przez chwilę przyglądał się porucznikowi z politowaniem, po czym wzruszył ramionami i zamknął za sobą drzwi.

- Sprawy mają się kiepsko, co? W takim czasie nie warto być oficerem, co? Osobiście wolałbym być zwykłym żołnierzem i być na wolności niż być porucznikiem i siedzieć w celi.

Młody Heinz Berner patrzył w zdumieniu, jak obergefreiter siada swobodnie na drewnianej pryczy i wskazuje więźniowi, by siadł obok. Rozmowa pomiędzy oficerem i zwykłym żołnierzem? Niewyobrażalne. Gdzie był respekt dla munduru? Respekt, którego nauczono go w poczdamskiej szkole wojskowej. Spojrzał na siebie, jakby chciał sprawdzić,

czy rzeczywiście nosi mundur oficera artylerii. A ten wielki, niezdarny obergefreiter tak się tu przed nim nonszalancko rozwała... Po raz pierwszy w swoim życiu Heinz Berner zaczął wątpić w prawdę tego, czego go uczono.

- Słuchaj, chłopcze - powiedział obergefreiter odwracając głowę i plując na podłogę celi.

Chłopcze!? On, porucznik, chciał mu zwrócić uwagę, ale w porę ugryzł się w język przypomniawszy sobie beznadziejność sytuacji. Opadł na pryczę bezsilnie. Obergefreiter wciąż mówił. Berner nie miał pojęcia, o czym on mówi. Patrzył bezmyślnie przed siebie, lecz powoli, bardzo powoli dotarła do niego świadomość, że w jego zasięgu wisi pistolet obergefreitera. Po prostu sobie wisi w pokrowcu. Wisi niezauważony. Czeką, by go wyrwać i użyć. Nie mówiąc już o kluczach przy pasie... W głowie Heinza Bernera pojawiła się nagle wizja odzyskanej wolności, prawie oślepiając go swoją intensywnością. Obergefreiter był dużym facetem. Gigantem. Powszechnie wiadomo, że tacy ludzie są zawsze bardzo wolni w swoich reakcjach.

Wolny fizycznie i pewnie wolny mentalnie. Jedno dobrze wymierzone uderzenie w głowę i to byłby koniec obergefreitera. Niewielka strata dla kogokolwiek. Berner oddychał teraz szybko, podekscytowany. Obergefreiter mówił dalej.

- Widzisz chłopcze, musisz jakoś znaleźć w sobie odwagę. Jak wpadniesz w panikę, to będzie z tobą źle. Wiesz, jak już tam wyjdiesz, to już koniec z tobą, zanim się zorientujesz, gdzie jesteś. Żadnego zamieszania, czekania, bólu, nic z tych rzeczy...

A jak się dogadasz z doktorkiem, to może da się przekonać, żeby ci coś wstrzyknąć wcześniej. Wiesz, żeby cię uspić. Tak jak wczoraj, gdy zabierali majora. Zawsze można się jakoś dogadać, gdy się wie jak. Gdybyś potrzebował czegoś specjalnego, to powiedz i zobaczę, co się da zrobić - tylko wiadomo, nikomu ani słowa. Ponownie odwrócił się i splunął. W tym momencie Heinz Berner wyrwał mu broń i zerwał się na równe nogi.

- Ręce do góry!

Mały bardzo powoli uniół swoje ogromne cielsko z pryczy. Patrzył na porucznika z szeroko otwartymi ustami. Jedną ręką sięgnął po pistolet i odkrył, że kabura jest pusta. Porucznik nerwowo pstryknął palcami.

- Klucze - zażądał.

Mały pokręcił głową, jakby ze smutkiem. Odczepił swój pęk kluczy i wyciągnął rękę. W tej samej chwili, błyskawicznym i zwinnym ruchem, który dokładnie zaprzeczał wszystkim przypuszczeniom porucznika, prawą ręką wykonał ruch tnący. Mały nigdy nie potrzebował uderzać ludzi dwa razy. Niedoświadczony oficer artylerii upadł ciężko na

podłogę, a Mały przeszedł nad nieruchomym ciałem podnosząc po drodze swój pistolet.

- Głupi kutas - rzucił bez złości.

Zatrzasnął za sobą drzwi do celi i poszedł. Spotkał się z Portą i przez moment stał przyglądając się grupie więźniów w niechlujnych szarych kombinezonach, myjących swoje menażki pod kranem z zimną wodą.

- 839 właśnie próbował mnie załatwić - zauważył Mały leniwie. - Niewiele mu to dało.

- Aha - mruknął Porta i kciukiem wskazał za siebie. - Idziemy zagrać w oczko?

Przeszli do toalet, jedyne miejsce, gdzie mogli mieć zapewnioną prywatność dzięki lustru zamontowanemu pod kątem, które pozwalało im zobaczyć, gdyby ktoś się nagle zbliżał. Porta wyjął paczkę wysłużonych kart i parę przyciętych wcześniej papierosów, które można by schować w ustach, gdyby nadszedł jakiś przełożony. Oberstleutnant Vogel, komendant więzienia już dawno uznał, że palenie należy do długiej listy rzeczy ściśle zakazanych. Każdy żołnierz przyłapany na łamaniu przepisów był surowo karany. Vogel nie tylko lubił karać, ale miał psychologiczną potrzebę karania i w ten sposób zapewniał sobie ciągły napływ świeżych skazańców.

Gra w oczko trwała nieprzerwanie przez jakieś dwadzieścia minut i skończyła się gwałtownie, dopiero gdy nadszedł więzienny kapelan, von Gerdersheim.

- Bóg z wami.

Kiwnął przyjacielsko głową do Porty i Małego. Nie było już śladu po kartach czy papierosach. Mały przekrzywił obłudnie głowę. W rzeczywistości nie cierpiał księży.

- I z tobą, ojcze. Mam nadzieję, że świat traktuje cię dobrze.

Kapelan zmarszczył brwi, ewidentnie nie wierząc w nowo objawioną pokorę Małego. Mały uśmiechnął się i złożył ręce jak do modlitwy. Kapelan chrząknął.

- Powiedz mi, mój synu. Czy ty... Eee... Wierzysz w Boga?

Mały otworzył szeroko oczy starając się, by wyglądać na zszokowanego, że w ogóle można mu zadać takie pytanie.

- Mam nadzieję, że tak, ojcze!

- Przyznam, że mile mnie zaskoczył fakt twojego szacunku dla przełożonych, zwłaszcza biorąc pod uwagę, z jakiego pułku jesteś. To jest dosyć, że tak powiem, niespotykane. Mały spojrzał w górę z anielskim uśmiechem na ustach.

- Tylko... Eee... Chyba nie widziałem cię podczas rozdawania komunii świętej?

Ton głosu kapelana był niepewny, niemal przepraszający; jakby Mały rzeczywiście tam był, a on go nie zauważył. Mały utkwiał wzrok w księdzu.

- Zapewniam ojca, że chodzę do kościoła regularnie każdego piętnastego sierpnia.

- Tak? Można spytać cóż takiego specjalnego dzieje się tego dnia?

- To Święta Dziewica - oznajmił Mały żarliwie. - Każdego piętnastego sierpnia, regularnie jak w zegarku, chodzę do kościoła, by ją uhonorować!

- Mój drogi, przykro mi, ale nie widzę związku!

- No bo to jest tak - powiedział Mały uprzejmie - czy się wierzy w Świętą Dziewicę, czy nie? To wszystko o to chodzi.

- Kapelan robił się powoli purpurowy.

- Słucham?

- Herod był dupkiem - kontynuował Mały jak gdyby nigdy nic. - A Święty Bernard zalewał się w trupa pijąc święte sznapsy na śniegu. To była pewnie cała wiedza Małego z zakresu religii, którą teraz z dumą prezentował.

- Czyś ty oszalał? - Spytał kapelan.

Było widać, że panuje nad sobą z najwyższym wysiłkiem i jego głos znowu przybrał gładki, życzliwy i przymilny ton.

- Czemu mówisz takie rzeczy, mój synu? Czy sprawia ci to przyjemność?

Mały był cały w uśmiechach.

- Niech ojciec tylko spojrzy, to tak jest, prawda? Ja to wszystko wytłumaczę. Jak byłem małym dzieciakiem, o takim, to miałem taką potrzebę pójścia do klasztoru Urszulanek w Eger. Wie ksiądz dlaczego? Bo usłyszałem kiedyś, że zakonnice mają tam schowane ileś litrów mleka Matki Boskiej. Tak sobie kombinowałem, że skoro Jezus się przekreślił kilkaset lat wcześniej, to mleko musi być niezłe skisłe. Rozumie ksiądz? No i...

- Wystarczy. - Kapelan odsunął się od Małego jakby ten był czymś skażony. - Jak się nazywacie obergefreiter?

Mały stanął na baczność.

- Wolfgang Creutzfeld, 27. Pułk Czołgów. Pierwszy Batalion, Piąta Kompania. W chwili obecnej jestem strażnikiem w więzieniu wojskowym w Torgau, Sekcja C... A jeśli ojczulkowi to ułatwi sprawę, to wszyscy nazywają mnie Mały.

Mały pochylił się do przodu, zainteresowany tym, co kapelan zapisuje w swoim notesie.

- Jeszcze o mnie usłyszysz.

Kapelan zatrzaskał notes poirytowany. Okazało się, że to księga psalmów posłużyła za notes do zapisania danych Małego, który, jak wyglądało, był pod dużym wrażeniem.

Rezultatem tego zamieszania był incydent z niejakim stabswachtmeisterem Krausem z Schutzpolizei, który został stracony nie otrzymawszy błogosławieństwa kościoła. Nie, żeby o

to prosił czy nawet przyjął, gdyby mu to zaofiarowano. Jego ostatnimi słowami było buntownicze „Śmierć Hitlerowi!”.

Dodatkowym rezultatem było skazanie Małego na osiem dni izolacji. Trzy dni po zwolnieniu, on i Porta spili się niechlubnie i niemożliwie, po czym sprali kapelana. Krótko potem, cierpiąc na prawie totalną amnezję, kapelan został przeniesiony do więzienia wojskowego w Kłodzku. Tam też, w maju 1945, aresztowali go Rosjanie i tam też, kilka dni później, powiesił się w swojej celi.

Gustaw Dürer służył w wojsku trzydzieści jeden lat, z tego dwadzieścia osiem jako główny strażnik więzienia wojskowego w Torgau. Zdaniem hauptfeldwebela Dorna, który cenił go bardzo wysoko, on i ludzie mu podobni stanowili trzon niezwyciężonej Armii Niemieckiej. Ale, niestety dla armii niemieckiej, nadszedł dzień, gdy na Gustawa Dürera dokonano zamachu. I tak jakby to już nie było wystarczającą hańbą, zamachowcem okazał się jeden z więźniów, których miał on pilnować. W ciągu jednej nocy imię Gustawa Dürera stało się anatemą dla hauptfeldwebela Dorna. Postarał się, aby jego nazwisko znikło z więziennej księgi zasłużonych, spalił wszystkie rzeczy po nim i zrobił wszystko, by zapomnieć, że ten kretyń kiedykolwiek istniał. Trzon Armii Niemieckiej będzie dużo zdrowszy bez takich ludzi jak Gustaw Dürer. Jedyne pamiątki, jakie zatrzymał po swoim byłym głównym strażniku, to dwie butelki wódki i cztery koniaku. Skonfiskował je jako mienie państwowe i zamknął w swojej szufladzie pod egzemplarzami „Völkischer Beobachter”, których nikt nigdy nie czytał. Były, jakby to powiedzieć, dowodem nieprzydatności Gustawa Dürera: było wszak oczywiste, że nie mógł ich zdobyć w uczciwy sposób.

Rozdział 7

To był zimny i szary poranek. Powietrze było ciężkie od mgły, a kamienie na dziedzińcu były wilgotne i lodowate. Stary stał skulony w bramie, więźniowie przesuwali się w grupach, ich usta były niebieskie z zimna. Ci, którzy wciąż mieli energię albo silniejszą wolę, biegali w tą i z powrotem, próbując zachować formę i trochę się rozgrzać. Kilku miało skrzętnie ukryte papierosy w dłoniach. Stary zawsze pozwalał więźniom palić podczas tych krótkich przerw na ćwiczenia, mimo iż było to „ściśle zakazane”.

Z dala od reszty, przygarbiony, z niewidzącym wzrokiem utkwionym w dal, stał feldwebel Lindenberg. Unoszący się wężyk dymu z jego prawej dłoni zdradzał obecność papierosa, którego dostał od Porty. Był to prezent, który, gdyby został odkryty, wysłałby dającego do izolatki na sześćdziesiąt dni.

Reszta więźniów z respektem pozostawiła Lindenberga jego własnym myślom. Rozeszły się już wieści, że jego egzekucję wyznaczono nazajutrz.

Więźniowie wiedzieli, że wczoraj odwiedził go więzienny kapelan, a grafik zmian wartowników zawierał polecenie, żeby pierwsza sekcja drugiej grupy zameldowała się w zbrojowni o 4.15 w piątek rano. Wiedzieli co to oznacza: każdy dostanie dwa naboje; dwa naboje tego starego typu o okrągłej główce. Nikt nigdy nie wiedział, czemu przy egzekucjach używa się tych okrągłych. Tak po prostu było i już.

Porucznik Heinz Berner spojrzał na Lindenberga zastanawiając się jak to jest, kiedy zna się już swoją godzinę. Wstrząsnął nim dreszcz lęku i zimna. Siedział już w Torgau od czterech tygodni i wciąż żył codziennym oczekiwaniem na ogłoszenie, że dziś to właśnie DZIŚ, dzień, w którym odwiedzi go anioł śmierci i że w ciągu trzydziestu sześciu godzin przestanie istnieć. Czas nie stępił ostrza strachu. Każdy dzień zbliżał go do ostatecznego przeznaczenia i każdy dzień był gorszy od poprzedniego.

Młody porucznik wiele się nauczył w ciągu tych czterech tygodni. Wiedział, co oznacza, gdy w celi odwiedzi cię kapelan. Wiedział wszystko o różowych aktach i zawartych w nich podpisanych i potwierdzonych wyrokach śmierci, które nadchodziły ze sztabu i trafiały na biurko hauptfeldwebela Dorna. Wiedział, gdzie odbywają się egzekucje i wiedział też, że wykonują je członkowie pułku czołgów, którzy pełnią w więzieniu służbę wartowniczą. Dowiedział się o egzekucjach więcej, zwłaszcza o egzekucjach w Torgau, niż kiedykolwiek na zajęciach w szkole wojskowej.

Porucznik Berner siedział na wilgotnym bruku, plecami oparty o kamienny mur latryn.

Obok niego siedział młody rolnik, Kurt Schwartz. Siedzieli razem, nie odzywając się jednak do siebie. Uważano powszechnie, że Schwartz to prostaczek, żeby nie powiedzieć kompletny baran. Był w Torgau już od ponad pół roku. Dwukrotnie odmówiono próśb o niewykonywanie wyroku kary śmierci trzecia odmowa była właśnie w drodze. Najprawdopodobniej Schwartz nie był nawet świadomy tego procesu. Swoje pierwsze osiemnaście lat życia spędzał częściej w towarzystwie bydła niż ludzi i w momencie powołania go do wojska nie udało mu się pojąć koncepcji, że od teraz jest własnością armii i nie może już sobie chodzić dokąd chce. Został tak długo, jak mu to odpowiadało, ale z nadejściem wiosny uznał, że jego nadrzędną powinnością jest jego gospodarstwo, więc pewnego piątkowego wieczoru zapakował po prostu swoje walizki, zawiesił karabin na ramieniu i odszedł. Po powrocie na wieś ukrył karabin i resztę wojskowego ekwipunku pod stertą kartofli w stodole, po czym zaczął prowadzić normalne życie, takie jak do chwili, gdy przerwała mu je wojna. Żandarmeria wojskowa nie miała najmniejszych kłopotów z odszukaniem go: nie uczynił niczego, by zatrzeć swoje ślady. Powitał ich wesoło, jakby byli starymi kumplami, którzy wpadli go odwiedzić.

- Griiss Gott!

- Heil Hitler! - Odparł feldwebel, który prowadził patrol. - Szukamy Kurta Schwartz. Czy to nie ty przypadkiem?

- Tak, to ja - potwierdził Kurt ochoczo. - Co mogę dla was zrobić? Cokolwiek to jednak jest, musimy się pośpieszyć, bo widzę, że zbiera się na deszcz, a tyle jeszcze mam roboty.

- W dupie mam twój deszcz! - Wrzasnął feldwebel. - Idziesz z nami i to zaraz. Czeka cię sąd polowy.

- Mnie? - Kurt spojrzał na niego zdziwiony. - Za co sąd? Nikt mi nic o tym nie powiedział.

Dopiero gdy feldwebel stracił cierpliwość i zaczął go bić i żądać, żeby mu wskazał miejsce ukrycia broni, Kurt zaczął podejrzewać, że coś tu chyba nie gra. Tych czterech facetów w stalowych hełmach napawało go niepewnością. Zastanawiał się, co takiego mógł zrobić, że się tak denerwowali. Może nie powinien opuszczać baraków bez pożegnania?

Feldwebel wciąż mu wygrażał pytając o zaginiony karabin. W swoim prostym umyśle Kurt postanowił stawić iście ośli opór, zamykając usta na kłódkę i nie zdradzając miejsca ukrycia. Feldwebel to go straszył, to znów się przymilał, jednak bez rezultatu. Mówił mu o dezercji i o jej strasznych konsekwencjach, ale Kurt patrzył tylko przed siebie krowim wzrokiem, nie będąc w stanie wychwycić subtelnej różnicy pomiędzy „oddaleniem się bez

pozwolenia" a „dezercją" czy faktem, że za jedno groziło więzienie i transfer do kompanii karnej, a za drugie śmierć.

Teraz był w Torgau i oczekiwał na egzekucję. Każdego ranka, gdy Mały otwierał drzwi jego celi, by mógł wyjść na ćwiczenia, miała miejsce identyczna rozmowa:

- Czy to już? - Pytał Kurt.

Mały kiwał wtedy głową i odpowiadał:

- Jeszcze nie teraz.

Kurt wzruszał wtedy filozoficznie ramionami mówiąc:

- No trudno. Może jutro?

Mały zgadzał się z nim:

- Może jutro.

Problem tylko w tym, że obaj myśleli o czym innym. Mały myślał o rozkazie egzekucji, a Kurt o powrocie na wieś.

Dookoła dziedzińca biegał blondyn, wielokrotnie odznaczony oberleutnant. Był w Torgau od dwóch miesięcy. Podczas nalotu na Berlin stracił swoją rodzinę, żonę i trójkę dzieci. Spłonęli żywcem w piwnicy. Odmówiono mu wydania przepustki z jednostki, więc oberleutnant wziął sprawy w swoje ręce, fałszując dokumenty i wracając do Berlina. Został schwytany niemal od razu, a skazanie go na śmierć za dezercję i fałszerstwo zajęło sądowi dziesięć minut.

Na najwyższym stopniu kamiennych schodów siedział starszy podpułkownik, jego wyblakłe niebieskie oczy wpatrzone były w dal. W kompletnym przeciwieństwie do otrzymanych rozkazów, ewakuował swój pułk z beznadziejnej sytuacji, gdy Rosjanie ich okrążyli. Sąd polowy nie miał wątpliwości: sabotaż, tchórzostwo w obliczu wroga, skazany na śmierć.

Gwałt, bunt, morderstwo, kradzież, tak zwane tchórzostwo, tak zwana dezercja - wszystkie te zbrodnie i wiele innych zostały popełnione przez nędznych więźniów z Torgau.

- Czy nie wydaje ci się to nieprzyjemnym zajęciem - uprzejmie zapytał kiedyś Juliusa Heide oficer kawalerii - strzelanie do ludzi, których poznałeś osobiście?

- Co to ma być za pytanie? - Mruknął Heide.

- Interesuje mnie to po prostu. Wydaje mi się, że jest znaczna różnica pomiędzy walką o życie, gdy się jest na froncie - zabijanie ludzi, których się nie zna, ponieważ jeśli ty ich nie zabijesz, to oni z pewnością zabiją ciebie - a zabijaniem ludzi z zimną krwią, z którymi żyłeś dzień w dzień przez wiele miesięcy. Wiem, że wykonujesz rozkazy, nie możesz nic innego zrobić tylko je wykonać, ale jak się czujesz, gdy ten moment już nadejdzie?

- Co to za idiotyczne pytanie? - Heide był wyraźnie zmieszany. - Co cię to obchodzi, jak ja się czuję? Nie łażę chyba za tobą i nie pytam, jak ty się czujesz?

- Nie, ale mógłbyś gdybyś chciał. Nie przeszkadzałoby mi to - powiedział oficer delikatnie. - Nie mam powodów, by ci nie powiedzieć, że się cholernie boję. Czasem, gdy jestem sam w celi, po prostu leżąc tam i zastanawiając się czy to dzisiaj po mnie przyjdą, tak się cholernie boję, że z trudem powstrzymuję się od krzyku... Śmieszne jest to, że nigdy nie czułem takiego strachu na froncie. Wiesz, że jest duża szansa, że zginiesz, ale...

- Zamkniesz się wreszcie? - Nie wytrzymał Heide. - Mam wystarczająco dużo własnych problemów, by wysłuchiwać jeszcze twoich. Przestań się ciskać i wbij sobie jedno do głowy: nie znam cię, nigdy cię nie znałem i nie chcę cię znać. Jesteś dla mnie tylko cholernym numerem!

Oficer potrząsnął głową, uśmiechając się.

- Znasz mnie, i to dobrze. I wszystkich innych biednych sukinsynów, którzy są tu zamknięci. Znasz nas i nigdy nas nie zapomnisz.

Na dziedzińcu Stary dmuchnął w swój gwizdek. Cenna godzina dobiegła końca i trzeba było wracać do cel na kolejny dzień oczekiwania. Więźniowie w milczeniu uformowali się w pary. Od dawna byli przyzwyczajeni do rutyny, dziś jednak wydarzyło się coś, co przerwało monotonię: Gustaw Dürer - feldwebel sekcji, pojawił się na dziedzińcu i zatrzymał długą kolumnę więźniów. Powoli mierzył ich wzrokiem, a każdy z więźniów ze strachu starał się skryć za sąsiadem. Powszechnie uważano, że Gustaw Dürer nie był człowiekiem. Zarówno więźniowie jak i strażnicy panicznie się go bali. Mówiło się, że ma bezpośrednie doświadczenie do Gestapo i coś w tym musiało być, skoro czasem sam komendant więzienia czuł się nieswojo w jego towarzystwie.

- Ty! - Wrzasnął Dürer wskazując ramieniem Lindenberga. - Ty tam! Chodź ze mną.

Lindenberg gwałtownie pobladł. Zachwiał się i pewnie by upadł, gdyby nie podparły go ręce jego towarzyszy. Każdy z uczestniczących w tej scenie, włączając Starego, był przekonany, że Lindenberga zabiorą na egzekucję w środku popołudnia. To był rodzaj dowcipu, który bardzo by ucieszył Gustawa Dürera: przyzwyczaj więźniów do rutyny - wizyta kapelana oznacza, że masz jeszcze 36 godzin życia - a potem nagle ją zniszcz i zasiej ziarno paniki i niepokoju.

Gdy odprowadzano Lindenberga, wszyscy byli pewni, że widzą go po raz ostatni. Tak też sądził sam Lindenberg. Z początku nie był w stanie uchwycić faktu, że został zaprowadzony nie przed pluton egzekucyjny, tylko do jednego z więziennych biur administracyjnych. Minęło kilka minut, zanim to do niego dotarło. W pokoju stała kobieta.

Typowa członkini partii, wysoka i męska z cerą koloru kości słoniowej i włosami w odcieniu wysuszonej na słońcu kukurydzy. Miała na sobie brązowy mundur, a w rękach aktówkę, lecz Lindenberg był jeszcze zbyt zaskoczony, by zrozumieć, że mówi właśnie do niego. Z niecierpliwym gestem powtórzyła pytanie.

- Czy jest pan feldweblem Hermanem Lindenbergiem? Tak czy nie?

- Jestem - skłonił przed nią głowę. - Tak.

Mam dla pana parę dokumentów do podpisania. Proszę je wziąć - wepchnęła papiery w jego drżące dłonie. - Nie ma potrzeby, bym je panu objaśniała, podpisze pan je tak czy inaczej, chodzi o formalność pańskiej zgody na przejęcie przez państwo edukacji i wychowania pańskiego syna.

- Że co? Lindenberg uniósł głowę i spojrzał na kobietę. Ta uniosła wargi, pokazując rząd dużych, białych zębów.

- Myślę, że mnie pan słyszał... Pańska żona została uznana za niezdolną do wychowania dziecka. Żadna niemiecka kobieta, która osłaniała dezertera i sabotażystę takiego jak ty, nie zasługuje na taki zaszczyt... Będę wdzięczna, jeśli zaraz podpiszesz, co oszczędzi nam czasu i kłopotu. Lindenberg otarł dłonią czoło tylko po to, żeby coś zrobić, coś, tylko nie uderzyć tej kreatury.

- A jeśli nie podpiszę? - Rzucił.

- Podpiszesz, to rozkaz. Dla społeczeństwa ty i twoja żona już nie istniejecie. Chłopiec należy do państwa. Państwo go ubierze, wyżywi i upewni się, że wyrośnie na dobrego obywatela.

- Lindenberg postąpił krok w jej stronę. Z wyrachowaniem i pogardą splunął jej w twarz. - To wszystko co ode mnie dostaniecie - powiedział.

Zgodnie z przewidywaniem, gumowa pałka Gustawa Dürera spadła na jego głowę i ramiona. Kobieta wytarła twarz i z uśmiechem na ustach stała słuchając jęków bólu Lindenerga.

- Jesteś już gotowy do podpisu?

- Nic nie podpiszę - wykrztusił Lindenberg.

- To jakiś absurd - powiedziała gwałtownie kobieta. - Przypuszczałam, że ma pan więcej kontroli nad swoimi więźniami. W każdym razie nie mogę już tracić więcej swojego czasu. Ma to podpisać do jutra.

Dürer uśmiechnął się znacząco.

- Podpisze.

- Lepiej żeby tak było. - Już ja się o to postaram. Bez obawy... Mamy tutaj nasze

własne metody. Sehr gekados...

- W takim razie zostawiam to w pańskich rękach.

- Bardzo proszę. To będzie czysta przyjemność.

Kobieta wyszła, a Dürer zamknął za nią drzwi, delikatnie i złowieszczo. Odwrócił się do Lindenberg.

- Dobra... Może teraz my sobie trochę porozmawiamy?

- Rób, co chcesz - powiedział Lindenberg przez zaciśnięte zęby. - Ja i tak będę martwy za parę godzin. Nie masz już nade mną władzy.

- Myślisz, że nie?

- Ja wiem, że nie.

- Zobaczmy, przyjacielu... Przynajmniej możemy się upewnić, że twoje ostatnie godziny będą najgorszymi w twoim życiu... A gwarantuję ci, że za takie je uznasz.

Spojrzał na Lindenberg i roześmiał się triumfalnie, jakby delektując się tym, co nastąpi.

- Sądzę, że zaczniemy od złamania każdej kości w twoim ciele... Mówiąc każdej kości mam na myśli każdą kość... W ludzkim ciele mieści się ponad dwieście kości - a zauważ, że to będzie tylko początek. Zanim z tobą skończę, będziesz wył prosiąc, by cię zabić.

Zupełnie nagle Lindenberg wpadł w szał. Z dzikim krzykiem rzucił się na Dürera i chwycił go za szyję. Dürer przewrócił się bardziej przez zaskoczenie niż siłę ataku, poślizgnął się i upadł do tyłu, razem z wczepionym w niego Lindenbergiem. Obaj mężczyźni charczeli w gniewie, przypominając bardziej dzikie zwierzęta niż ludzi. Palce Lindenberg wbiły się w szyję Dürera, rozdzierając i dusząc. Oczy strażnika napłynęły krwią, a oddech był serią sapań i rżężeń.

Na trzecim piętrze, w pokoju znajdującym się dokładnie nad tym, w którym rzecz cała miała miejsce, Mały usłyszał hałasy i uderzenia, stłumione okrzyki i brzęk kluczy Dürera, zbiegł więc na dół, by sprawdzić, co się dzieje. Otworzył drzwi, spojrzał, po czym zamknął je cicho z powrotem i pobiegł do latryny gdzie Porta i Heide prowadzili nielegalną grę w kości. Wpadł na nich w takim pośpiechu, że złapał ich na grze bez ostrzeżenia, a ci przeklęli go za jego głupotę.

- Nieważne! - Mały wbiegł do jednej z kabin, splukał wodę, wbiegł do następnej i zrobił to samo. - Róbcie jakiś hałas, jakikolwiek - Lindenberg właśnie morduje Dürera!

- Żartujesz!

- Jeśli mi nie wierzysz, to idź i sam zobacz.

- Nie wierzę ci - stwierdził Heide, ale i tak pokusa hałasowania na całego była zbyt

mocna. - Uduśzę cię, jeśli się z nas nabijasz.

Podniósł szczotkę do szorowania i wyrzucił ją przez okno, kopnął wiadro po podłodze i trzasnął kilkakrotnie drzwiami. Porta odkręcił kurki w każdej umywalce i puścił wodę, chlapiąc i śpiewając. Mały maszerował w tą i z powrotem w swoich wojskowych buciorach, spuszczać co chwila wodę w kibelach.

- Musiał już to zrobić, co? - Spytał Porta.

- Jeżeli w ogóle to robił - stwierdził Heide patrząc na Małego. - Osobiście w to wątpię. Mały podniósł rękę nakazując im ciszę i wszyscy stanęli nasłuchując.

- Musiał już to zrobić, co? - Powtórzył Porta.

- Miejmy nadzieję. Daliśmy mu wystarczającą ilość czasu. - Mały otworzył drzwi i skinął na pozostałych. - Chodźcie, idziemy zobaczyć.

Na szczęście w pobliżu nie było nikogo więcej. Skradali się korytarzem, zatrzymując się na chwilę przed drzwiami i gdy nie usłyszeli żadnego dźwięku, otworzyli powoli drzwi i zajrzeli do środka.

Lindenberg siedział na klatce piersiowej Dürera, jego palce wciąż zaciśnięte wokół szyi swojej ofiary. Strażnik był ewidentnie martwy. Twarz miał niebieską, napuchłe krwią oczy wychodziły z orbit, pomiędzy zębów wystawał język.

Trzech mężczyzn stało w milczeniu. Lindenberg wstał powoli. Odczepił trupowi pęk kluczy, odwrócił się i z niemal przeproszającym uśmiechem dał je Porcie.

- Uduśiłem go.

- Widzimy - mruknął Porta. - Nic nie można powiedzieć oprócz „wielkie dzięki”.

- Co z tym zrobicie? Spojrzeli po sobie.

Heide chrząknął.

- Musimy o tym zameldować. Zdajesz sobie sprawę. Musimy powiedzieć Domowi.

- Oczywiście.

- Przejdiesz za to do historii - powiedział Mały z zapalem. - To jedyna uczciwa rzecz, jaką ktokolwiek tu zrobił.

Lindenberg uśmiechnął się smutno.

- Odprowadźcie mnie lepiej do celi. I gdybym był na waszym miejscu, to zameldowałbym o tym od razu. Tak będzie lepiej wyglądało. Nie chciałbym, żebyście wpadli w jakieś tarapaty.

- Pewnie masz rację. - Porta odwrócił się do Heidego. - Pójdiesz to zgłosić, a my go zabierzemy do celi?

- Akurat! Jestem na służbie i nie mogę opuszczać posterunku.

- Mały.

- To nie ma nic wspólnego ze mną - powiedział Mały twardo. - On nie jest w moim skrzydle. To twój gołąbeczek i ty sobie z tym poradź.

- Może nie jest w twoim skrzydle, ale to ty miałeś stać na warcie w tym korytarzu. I to ty go zobaczyłeś jak to robi i nie zrobiłeś nic, żeby go powstrzymać.

- A ty byłeś jednym z tych, którzy pomagali zagłuszyć dźwięki zbrodni! - Odparował Mały.

Heide nagle stuknął obcasami i wypiął klatkę.

- Ja tu jestem najstarszy stopniem, więc ci rozkazuję, żebyś poszedł i zameldował, o zdarzeniu hauptfeldweblowi Domowi. - Spojrzał na Małego. - Natychmiast Creutzfeld!

- Odpierdol się, dobra? - Odparł Mały bez emocji.

W takich okolicznościach, w obliczu jawnego nieposłuszeństwa Heide nie mógł zbyt wiele zrobić. Nie mógł fizycznie zmusić Małego do zameldowania Dornowi, a z doświadczenia wiedział, że groźby na niego nie działają.

- Och, kurwa! - Powiedział poirytowany. - No to co sugerujesz? Zostawiamy tu trupa, żeby zgnił i nie mówimy nikomu?

Mały wzruszył ramionami.

- Czemu nie? A co to ma do nas?

- A on? - Heide wskazał głową Lindenbergę, który siedział na krześle wydając się nie zainteresowanym całym zamieszaniem. - Co zrobimy z nim?

- Co TY z nim zrobisz - poprawił go Porta. - To ty jesteś najstarszy stopniem, pamiętasz? To twoja sprawa. - Powoli wyjął papierosa i zapalił, w tym samym czasie przyglądając się z zainteresowaniem tabliczce, która dużymi czerwonymi literami miała wypisany napis „NIE PALIĆ”. - Przykro mi chłopie, ale wygląda na to, że wpadłeś w gówna po szyję.

- Zgaś tego papierosa! - Wrzasnął Heide wskazując tabliczkę. Porta zignorował go i odwrócił się przejęty do Małego.

- Cieszę się, że nie jestem sierżantem - powiedział. - Tylko cię to udupia za każdym razem. Ja i ty na przykład, to pełen luz, zero obowiązków. Traktowani jak idioci. Nic nie rozumiemy, dopóki nie powtórzą trzykrotnie.... O, to świetne życie, mówię ci! Ale on - wskazał na Heidego - on z jego paskami na pagonach i w ogóle! On zawsze musi sprzątnąć gówno, biedny kretyn.

- Coś wam powiem - zasugerował Mały. - Zabierzmy Lindenbergę do jego celi, a potem pograjmy sobie w oczko. Co wy na to? To był najlepszy pomysł, jaki im do tej pory

przyszedł do głowy. A jednak trup Gustawa Dürera nie dawał im spokoju.

- Narobiliśmy sobie kłopotów - stwierdził Heide. - Ostrzegam was.
- Ty jesteś najstarszy stopniem... Dawaj jeszcze kartę.
- Wszyscy będziemy mieli kłopoty, jak to odkryją.
- Twist - powiedział Mały niewzruszony.
- Oni szaleją, jak się dzieją takie rzeczy. - I jeszcze jedna.
- Wam to obojętne.
- Teraz ja przebijam.
- Mam pomysł - powiedział Porta. - Czemu nie powiemy o tym Staremu i niech on coś

wymyśli?

Mały, idź teraz i mu powiedz.

- Czemu ja? - Zapytał Mały podejrzliwie.
- A czemu nie ty? Chyba nie każę ci iść do Dorna, nie?
- To dobrze, bo i tak bym nie poszedł... No dobra. Powiem mu, ale to tyle. Potem to już wasza sprawa. Mały zniknął. Wrócił kilka chwil później w towarzystwie Starego i Barcelony Bluma.

- Niedobrze - stwierdził Stary. - Czego, do cholery, oczekujecie ode mnie? Gdzie jest teraz Lindenberg?

- Z powrotem w swojej celi.
- W swojej celi. Dobra. Nikt z was niczego nie widział. Nikt niczego nie słyszał. Dobra. Nic o tym nie wiedzieliście, dopóki więzień nie podszedł i wam o tym powiedział. Dobra. Ale co z gościem, który stał na warcie w tej sekcji? Jak to wyjaśnimy? Czemu on nie wykonał swoich obowiązków?

Heide i Porta odwrócili się i spojrzeli na Małego. Mały splunął na podłogę.

- Mnie się nie ma co pytać. Mam sraczkę. Pół dnia spędziłem na kiblu. Tam właśnie byłem, gdy zaciukano Gustawa. Srałem na potęgę.

- Aha. - Stary wciągnął głęboko powietrze. - To bardzo nam pomaga. Na pewno byłeś z tym u lekarza, prawda?

- Niestety. Zupełnie o tym zapomniałem.
- A to szkoda - powiedział Stary sucho. - Myślałem raczej, że - powiedzmy - o ósmej rano podczas ćwiczeń byłeś u obergefreittra Holzermanna, który dał ci jakieś tabletki na żołądek?

- Że jak? Przez moment Mały był zdziwiony, jednak powoli jego twarz się rozjaśniła.

- No tak. Masz rację. Dał mi jakieś piguły i wszystkie połknąłem. Od tego czasu latam

w tę i z powrotem do sracza.

- Uwierzą w to - stwierdził Stary. - Uwierzą we wszystko, jeśli chodzi o ciebie... Co do Porty, to rozumiem, że w czasie nieobecności Lindenerga byłeś w jego celi na rutynowym przeszukaniu... Zgadza się? Chciałbym znać wszystkie fakty.

- Zgadza się. Dokładnie tak było. Przeszukanie. To właśnie robiłem. - Potwierdził skwapliwie Porta.

- A co ze mną? - Spytał Heide zdenerwowany.

- Ty... Tak. Ty robiłeś spis sztućców. Znajdź jakiś stary spis i zacznij go kopiować. Mały, zasuway do celi Lindenerga i zrób tak, jakby przeszedł przez nią huragan. Powiedz mu, co się dzieje.

- Dobra.

Mały zatrzymał się przy drzwiach.

- Dobra, dobra ale kto powie Domowi?

- Ja - powiedział Barcelona. - W porządku, nie musicie mi dziękować. Wiem, że jestem święty.

- Jesteś idiotą, ot co - powiedział Mały wychodząc.

Hauptfeldwebel Dorn siedział z nogami na biurku i z jednym z cygar Majora Divalordiego w zębach. Hauptfeldwebel lubił cygara. Zwłaszcza cygara Majora Divalordiego. Lubiał kosztowny aromat dymu i poczucie wyższości, które towarzyszyło paleniu cygar. Jego biurko jak zwykle pełne było papierów i dokumentów. Porno książeczka leżała otwarta na jego kolanach.

Zignorował pierwsze stukanie Barcelony. Było oczywiste, po sposobie stukania, że za drzwiami nie stał oficer, więc zgodnie ze swoim zwyczajem Dorn kazał mu czekać.

Dopiero gdy Barcelona zastukał po raz trzeci, padło rozmarzone „wejść”.

Ledwie Barcelona wszedł, a już dało się słyszeć ponowne stukanie do drzwi. Zanim Dorn zdążył unieść brwi ze zdziwienia, do pomieszczenia wszedł także Porta. Stuknął głośno obcasami i zasalutował szybko.

- Stabsgefreiter Porta, Piąta Kompania Czołgów melduje się na rozkaz komendanta.

- Po co, do cholery? - Zawył Dorn.

- Rozkaz, by sprawdzić wszystkie maszyny do pisania i inny sprzęt biurowy. Domowi opadła szczęka.

- Czyj rozkaz, jeśli wolno wiedzieć?

- Pułkownika Vogla - powiedział Porta łącząc z kamienną twarzą.

Wydawało się mało prawdopodobne, by to kłamstwo kiedykolwiek wyszło na jaw.

Mnóstwo różnych dziwnych i nieprawdopodobnych rozkazów było często wydawanych właśnie przez pułkownika Vogla. Nikt raczej nie będzie sprawdzał właśnie tego.

- No dobra, zabierzcie się za to! - Warknął Dorn. - Tylko niech to nie trwa cały dzień.

Podśpiewując sobie pod nosem, Porta rzucił swą torbę z narzędziami na podłogę i zabrał się za rozkręcanie maszyny do pisania. Rozkręcił "wszystko, co było rozkręcalne, zdjął rolki i wałki, wyjął metry taśmy, postukał tu i ówdzie i naoliwił wszystko, co mu tylko podeszło pod rękę. Dorn przyglądał mu się z rosnącym przerażeniem.

- Mam tylko szczerą nadzieję, że umiecie to wszystko poskładać z powrotem do kupy.

- Ja także - odpowiedział Porta szczerze.

Dorn zamruczał coś niewyraźnie i odwrócił się do Barcelony.

- Tak feldweblu? O co chodzi?

- Tak jest - zaczął przejęty Barcelona. - Feldwebel Blum melduje się posłusznie...

Wypełniam rozkaz wydany mi przez Dowódcę Sekcji - to znaczy feldwebla Beiera...
Feldwebel Beier będąc dowódcą mojej sekcji...

- Do diabła! - Warknął Dorn.

Barcelona spojrział na niego zdziwiony.

- Tak jest?

- Mów normalnie człowieku! O co ci chodzi?

- Melduję posłusznie, że stabsfeldwebel Gustaw Dürer został zabity. Jest teraz w jednym z pokojów w korytarzu bloku szóstego.

Cygaro Dorna zadrżało w jego ustach. Wyrwał je i wytrzeszczył oczy na Barcelonę.

- Coś powiedział?

- Melduję posłusznie, że strabsfeldwebel Dürer został uduszony.

- Oszalałeś chyba! Skąd wzięłeś taką absurdalną historię? Dürer nigdy by sobie nie pozwolił na coś takiego... Kto to zrobił? Wyjaśnij!

Z pewną dozą źle skrywanej satysfakcji, Barcelona zaczął opowiadać. W tym czasie Porta sprawdzał uważnie każdą najmniejszą część maszyny do pisania i nadstawiał ucha, by w odpowiednim momencie włączyć się do dyskusji. Czekał, aż Dorn zacznie zadawać zbyt wnikliwe pytania, by mu przerwać.

- Melduję posłusznie - zaczął.

- Czego znowu?

- Melduję posłusznie, że skończyłem z maszyną. Czy mogę teraz zabrać się za pańskie biurko?

- Po co, do cholery?

- Rozkazy pułkownika. Powiedział żeby sprawdzić wszystkie...

- Dobra już! Zajmij się tym i nie przeszkadzaj! - Poirytowany Dorn odwrócił się znowu do Barcelony.

- Kto był na straży podczas - eee - morderstwa Dürera?

Barcelona potrząsnął głową.

- Melduję posłusznie, że nie wiem.

- Co to jest, do ciężkiej cholery? Jeśli tak pójdzie dalej, to wojnę mamy przegrać! Dorn walnął pięścią w blat biurka, a Porta przesadnie podskoczył z wrażenia. - Nic tylko banda sabotażystów i zdrajców! Co do jednego wszyscy z was w zмовie z więźniami! Wszystko za moimi plecami, ignorowanie obowiązków... Bóg wie, że do tej pory byłem wyrozumiały, ale koniec z tym. Słyszycie mnie? Koniec z tym!

Cygaro właśnie się wypaliło. Wyrzucił je i zaczął szukać nowego w biurku majora Divalordiego. Prawie niewidzialny znaczek kredą pozwalał mu kontrolować, czy ktokolwiek odważył się otworzyć szufladę.

- Kto was awansował na feldwebla? - Zapytał nagle Barcelonę.

- Melduję posłusznie, że jak byłem z trzydziestą szóstą kompanią w Bambergu, to dowódca...

- Hm - parsknął Dorn bez zainteresowania. - To dziwne feldweblu, ale przypominacie mi źle ugotowany stek. Takie rzeczy daje się tylko świniom lub kundlom.

- Tak jest - zgodził się Barcelona łagodnie.

- Melduję posłusznie - Porta włączył się do rozmowy z radością i dobrą wolą. - Wszystkie szuflady posypałem talkiem. Można je teraz otwierać i zamykać bez najmniejszego problemu... Czy mam to samo zrobić z drugim biurkiem?

- Stul pysk! - Syknął Dorn. - Mam już dość twojego wiecznego głądzenia. Zrób, co do ciebie należy i wynoś się. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

Dorn gwałtownie opuścił pokój, by znaleźć Starego i obejrzeć trupa.

- Ktoś zapłaci za to swoim życiem! - Zadeklarował dramatycznie. - Nie spocznę, dopóki nie odkryję sprawcy. Nie będzie chwili spokoju w tym więzieniu...

- Właściwie - powiedział Stary - my już schwytaliśmy przestępcę. Jest na górze w swojej celi.

Dorn spojrział na niego posępnie i wyszedł. Odkrył, że na swój sposób był prawie zadowolony, że Dürer został zamordowany: to była szansa, by pokazać, co potrafi, by pokazać swój charakter. Zebrał długie i szczegółowe zeznania od każdego, kto był bezpośrednio bądź w jakikolwiek sposób związany ze sprawą. Sprawdzał wszystko

dwukrotnie. Przyjął pozę oschłego i wnikliwego sędziego... Do momentu, gdy słuchał zeznań Małego i to Mały go w końcu pokonał. Kompletnie się zagubił w mętным labiryncie wywodów Małego - co zrobił, czemu to zrobił; gdzie to zrobił, jak to zrobił; gdzie był, skąd przyszedł; kto co powiedział i co on odpowiedział i co by odpowiedział, gdyby...

- Obergefreiter Creutzfeld! - Wydarł się Dorn. - Zaczynam wątpić, czy jesteście normalni! Wasze właściwe miejsce jest w zakładzie psychiatrycznym, a nie w niemieckiej armii! - Odwrócił się do Starego. - Feldfelbel Beier, macie się pozbyć tego człowieka. Dajcie mu jakieś proste zadanie i upewnijcie się, że będzie je wykonywał. Ale z łaski swojej zróbcie tak, żebym nie widział go więcej na oczy!

W końcu przesłuchał Lindenerga w jego celi. Straszyl go śmiercią i powiedział mu wprost, co się działo z ludźmi, którzy odważyli się podnieść rękę na kogoś z Gestapo. Lindenberg siedział w milczeniu podczas całej tej tyrady, po czym spokojnie oświadczył Dornowi, że może iść do diabła, dodając, jakby po namyśle, że uduszenie Gustawa Dürera sprawiło mu niezwykłą przyjemność i żałuje tylko, że nie może zrobić tego ponownie.

Dorn opuścił celę wyraźnie wstrząśnięty. Było jasne, że ten Lindenberg był zupełnym szaleńcem. Władza nie miała prawa umieszczać go w więzieniu wojskowym. Personel więzienia w Torgau nie mógł być obciążony winą za dzieło szaleńca.

Pozostało tylko wypełnienie odpowiednich formularzy w trzech, a czasem w czterech egzemplarzach i Gustaw Dürer mógł być wreszcie wykreślony z dokumentów. Dorn wrócił do swojego biura w fatalnym nastroju, trzaskając za sobą drzwiami.

- Czyżby coś nie tak? - Zapytał ktoś z lekką naganą w głosie.

Dorn powstrzymał przekleństwa, które cisnęły mu się na usta. Stuknął głośno obcasami.

- Heil Hitler! Czy dobrze spędził pan noc panie majorze?

- Średnio, dziękuję Dorn.

Major Divalordy był byłym agentem ubezpieczeniowym z Innsbrucka. Zwykł mylić wojsko z kompanią ubezpieczeniową i traktował Dorna z tą samą twardogłową uprzejmością, z jaką traktował tam swoich kolegów. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że zawodowy pruski żołnierz czuł do niego głęboką pogardę. Major uśmiechnął się łagodnie, gładząc końcówki swych jedwabistych blond wąsów.

- Więc? Co tam słyszać? Co dziś mamy w menu? Coś soczystego do zameldowania?

Więcej niż sądzisz, pomyślał Dorn z furją. Wyprostował się i zaczął wyszczekiwać swój raport w najlepszym wojskowym stylu.

- Melduję, że strabsfeldwebel Gustaw Dürer został uduszony przez jednego z

więźniów feldwebla Lindenerga. Z całą pewnością szaleńca. Śmierć nastąpiła niedawno, dokonałem już analizy zdarzeń. Ciało zostało niezabezpieczone w pokoju w bloku 6 - pomyślałem, że może zechce pan rzucić okiem. W tym pokoju maszyna do pisania została wyczyszczona i zakonserwowana na polecenie pułkownika. Szuflady w biurku pokryte są pudrem tak, że otwierają się i zamykają bez zarzutu.

W swoim segregatorze znajdzie pan dwie teczki, które wymagają pańskiej uwagi - odrzucone odwołania. Jest także rozkaz egzekucji, na którym wymagany jest pański podpis i spis sztuców, który powinien pan zaaprobować... Sądzę, że to wszystko. Dorn stanął sztywno na baczność, czekając na reakcję majora. Z zadowoleniem zauważył pot na jego czole.

- Bardzo mnie to martwi. Naprawdę bardzo... Gustaw Dürer zamordowany! To wydaje się nieprawdopodobne... Taka rzecz w cywilizowanym miejscu... Naprawdę szokujące! Czy jest pan tego pewien?

- Absolutnie. Więzień Lindenberg przyznał się do popełnienia zbrodni.

- Ale czemu w ogóle coś takiego zrobił? Co miał nadzieję przez to osiągnąć?

- Naprawdę nie wiem - powiedział Dorn uświadamiając sobie, że nie spytał się zabójcy o jego motywę. - Myślę, że to bardzo prawdopodobne, że po prostu nie cierpiał strabsfeldwebla.

- Naprawdę? - Major podkreślił sobie wąsa w zdenerwowaniu. - Co za niesamowita sytuacja! Nie mogę powiedzieć, że sam przepadałem za Gustawem Dürerem, ale nie jest to wystarczający powód, by kogoś mordować.

- Tak jak powiedziałem, panie Majorze, ten więzień to kompletny szaleniec.

- Z pewnością. Z pewnością. Ale wciąż...

Dorn patrzył z przyjemnością na męczącego się majora. Pochylił się nad biurkiem i zaczął pracowicie układać różne listy i dokumenty do podpisu. Major wziął do ręki pióro i podpisał się we wskazanych przez Dorna miejscach. Zwykle nie miał zielonego pojęcia, co podpisywał. Bez swojego adiutanta, który mu wszystko pokazywał, kompletnie by się zagubił w tej dżungli. Najbardziej w życiu bał się sytuacji, w której będzie sam w pokoju, w którym nagle zadzwoni telefon. Byłby wtedy zmuszony do odebrania telefonu, a po drugiej stronie, był tego pewien, odezwałby się któryś z oficerów sztabowych pułkownika Vogla. Oni dzwonili wyłącznie po to, by na coś złożyć skargę, ale, co gorsza, major Divalordy nie mógł nigdy zrozumieć ani jednego słowa z tego, co mówili. Był to jakiś dziwaczny wojskowy żargon, z którego major, jak na razie, zdołał opanować jedynie absolutne podstawy.

Dorn uśmiechnął się i podniósł różową teczkę. Otworzył ją ze służalczym pośpiechem.

Major skinął głową w podzięcie i złożył swój podpis na dole pierwszego dokumentu. Tak jak i wiele innych przed tym, tak i ten wyrok śmierci podpisywał nieświadomie. Zamknął teczkę i wręczył ją z powrotem, nie widząc nawet grubych, pisanych gotykiem liter:

Feldwebel Hermann Lindenberg 43 Pułk Piechoty.

Data zgonu...

Dostarczony do krematorium.....

Dorn zebrał podpisane dokumenty i zgrupował je razem.

- Trzeba będzie wypełnić formularze związane ze śmiercią Dürera. Zrobi to pan majorze czy ja mam się tym zająć?

- Zostawiam to tobie. Ty będziesz wiedział, co z tym zrobić.

Major otworzył swoją szufladę i wyciągnął dwa cygara, jedno wręczając Dornowi. Wypili po lampce koniaku z butelki stojącej w narożnej szafce. Zawartość butelki wyraźnie się zmniejszyła od wczorajszego wieczora. Obaj mężczyźni to zauważyli; żaden z nich tego nie skomentował. „Biedny facet”, pomyślał major. „Potrzebował na pewno czymś się wzmocnić po tym, co się stało”.

„Wszyscy oni są tacy sami”, pomyślał Dorn. „Publicznie deklarują, że nie dotykają alkoholu ani kobiet, a prywatnie nie robią nic innego tylko chleją i chodzą na dziwki. Cholernie typowe”.

Dorn usiadł wygodnie za swoim biurkiem. Przyniesiono pocztę dzienną i Dorn zabrał się za przeglądanie. Wyciągnął jeden list, resztę wrzucając do jednego z wielu segregatorów. Zawartość listu zapewniła mu dobre samopoczucie na dłuższą chwilę. W końcu, wyraźnie się ociągając, ukrył kopertę w swoim schowku pod „Völkischer Beobachter” i zabrał się do wypełniania formularzy. Na górze strony napisał: „Dochodzenie prowadzone przez haupfeldwebela Dorna w sprawie śmierci strausfeldwebela Gustawa Dürera”. Poniżej w rubryce „Przyczyna Śmierci” napisał jedno słowo: „Morderstwo”. Patrzył się przez kilka minut na swoje dzieło, zadowolony z rezultatu ochoczo zabrał się za resztę raportu. Kto wie, może będzie go czytał sam Reichsführer SS Heinrich Himmler? Oczami wyobraźni Dorn już widział swój transfer do Gestapo.

Przerwał mu przejmujący dzwonek telefonu przy jego łokciu. Dość gwałtownie major Divalordy podniósł się z krzesła i opuścił pokój. Dorn uśmiechnął się z przekąsem, porwał słuchawkę i wrzasnął:

- Tak? Kto to? O co chodzi?

- Chcę wiedzieć co, do cholery, dzieje się w waszej sekcji?

Był to głos pułkownika Vogla. Dorn w panice upuścił słuchawkę, która trzasnęła o

podłogę.

- Halo? Czy to ty, Dorn? Co tam się, do ciężkiej cholery, dzieje? Jesteś tam?

- Tak jest. Dorn nerwowo przedstawił swoją wersję śmierci Dürera i własnego śledztwa.

- Cała ta sprawa śmierdzi i wygląda na to, że to spartoliliście - powiedział pułkownik.

Dorn pospiesznie dodał, że major Divalordy zna już wszystkie fakty i sam nadzoruje tę sprawę. Pułkownik mruknął coś niewyraźnie i odłożył słuchawkę.

Przez kilka chwil Dorn siedział sparaliżowany na swoim krześle, ale wziął się w garść i sam chwycił za telefon. Wykrzyczawszy się na podwładnych w całym budynku, poczuł przypływ utraconej pewności siebie i by utrzymać ten stan, wyszedł z biura, by nawrzeszczyć na kogokolwiek spotka na swej drodze. Aby dodać sobie urzędowej powagi, zabrał z biurka plik papierów i włożył je sobie do teczki. Tak uzbrojony ruszył w drogę, by znaleźć kogoś do sterroryzowania. Na końcu korytarza miał szczęście trafić na grupę więźniów letargicznie myjących podłogę. Poświęcił im dobre pięć minut swego czasu, kończąc swój wykład wylaniem na nich zawartości ich wiadra. Życie znowu nabrało koloru, a on czuł się już dużo lepiej.

Tuż za rogiem wpadł na majora Divalordy, którego twarz, nawet w kiepskim więziennym świetle, była trupio blada. Dorn zaszalutował sztywno. Major pokiwał głową.

- W strasznych czasach żyjemy. Straszne czasy, mój Dorn... Wezwano mnie do biura pułkownika. Mam tam być o 11.07... Myślę, że nie jest zadowolony z tej sprawy Dürera.

Dorn chrząknął, co miało oznaczać sympatię i poszedł w stronę zbrojowni, nad którą pieczę trzymał obertfeldwebel Thomas. Thomasowi pomagał Legionista, któremu z kolei, przez trzy dni w tygodniu, pomagał Mały. Zbrojownia była dobrym miejscem do pracy. Rozkaz mówił, by drzwi były zawsze zamknięte od środka. Praktycznie więc w środku można było robić wszystko. Kiedy przyszedł Dorn, trwała właśnie gra w karty. Kiedy wreszcie Thomas mu otworzył, karty zdążyły zniknąć, a Legionista i Mały zawzięcie czyścili broń.

- Nazywacie to zbrojownią? Dorn spojrzał się z wyższością dookoła.

Zbrojownia nie podlegała jego jurysdykcji, ale zawsze warto było spróbować.

- Wygląda bardziej na śmietnisko niż na zbrojownię.

Kopnął pusty pojemnik po nabojach i odwrócił się do Thomasa.

- Jakby ci się podobało, gdybym zameldował o tym... Burdelu, tym... Chaosie? Co? Mogę tak zrobić. Jakbym chciał, to mogę ci popsuć stosunki z pułkownikiem Voglem. Nie chciałbym tego robić, ale naprawdę, radzę ci Thomas, wyjmij palec z dupy i weź się za porządki.

- Mnie tam się tu podoba tak jak jest - lakonicznie odparł Thomas.

Zapadła cisza. Dorn kiwnął głową ostrzegawczo i odwrócił się do wyjścia. Gdy już wychodził, zatrzymał go głos Legionisty.

- Trochę to głupio wyszło z tym Gustawem, co nie?

- Nic mi o tym nie mów! - Wrzasnął Dorn, jego chłodna fasada znikła. - Co za historia! Pierdolona świnia!

- Kto? Feldwebel Lindenberg?

- Nie ten. Mam na myśli Dürera. Jak mógł się tak zachować doświadczony strażnik! Ponad dwadzieścia lat służby i daje się udusić jakimś szaleńcowi...

- Bardzo nieostrożnie - skomentował Legionista. - Oczywiście, to mogło się wydarzyć tylko w takim miejscu jak to.

Oczy Dorna rozbłysły niebezpiecznie.

- Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? Chcesz mnie obrazić?

Legionista wyglądał na zszokowanego.

- Ależ skąd! Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- W końcu - dodał Mały ochoczo - to nie pańska wina przecież. Nikt pana nie może obwiniać. To tylko pech, że stało się to w pańskiej sekcji, rozumie pan? Jednak... - Dodał filozoficznie - zawsze musi być ten pierwszy raz, prawda? Zawsze tak mówię. Zawsze musi być ten pierwszy raz. Mogłoby się to przytrafić najlepszemu z nas. Na pana miejscu nie przejmowałbym się tym tak bardzo.

Dorn nagle uświadomił sobie, że Mały to ten sam klekocący kretyn, który wcześniej wprowadził go w takie zamieszanie.

- Chyba mówiłem ci, że masz się trzymać z dala?

- Tak jest - potwierdził Mały z uśmiechem. - Powiedział pan, żeby dać mi proste zajęcia, bo nie poradzę sobie z niczym skomplikowanym... Czyszczę teraz broń.

- Więc zabierz się za to i zamknij! - Krzyknął Dorn. Wychodząc trzasnął głośno drzwiami. Jego pewność siebie i zadowolenie zostało zdruzgotane przez tego wielkiego tępaka. Teraz będzie musiał zacząć wszystko od nowa.

Ruszył korytarzem, a jego podejrzliwemu umysłowi wydawało się, że zza zamkniętych drzwi zbrojowni dochodzą dzikie salwy śmiechu.

Katz i Schröder przybyli do Torgau wcześniej rano prosto z Berlina. Szli obok siebie pewnym krokiem, głowy opuszczone, ręce w kieszeniach.

Kilka godzin później już wracali do Berlina, ale teraz ich krok był już inny, jakby krótszy, mniej rozbujany, mniej pewny siebie. Wydawało się jakby ciągnęli stopy za sobą. Głowy mieli zwieszane w zrezygnowaniu, ramiona na wysokości uszu.

- Co za skurwysyn - mruknął Katz. - Pierdolony kawał skurwysyńskiego pułkownika. - I do tego z artylerii.

- I wojska, a nie nawet SS.

Zapadła cisza.

- Nie sądzisz chyba...

- Że co?

- Że coś w tym jest?

- Front wschodni?

- Mhm.

Znowu cisza.

- Skąd taki pierdolony kawał skurwysyńskiego pułkownika miałby mieć takie wpływy?

Katz przygryzł swoje wargi.

- Tacy pierdoleni skurwysyńscy pułkownicy mają czasem więcej wpływów niż ci się wydaje.

- Tak sądzisz?

- Może być.

Maszerowali dalej niemrawo i cicho w kierunku dworca.

- Co za skurwysyn! - Powiedział Schröder ze złością.

Rozdział 8

Wcześniej następnego poranka, Feldwebel Lindenberg został wyprowadzony na miejsce egzekucji. Po obu jego bokach maszerowali z nim Mały i Porta.

Lindenberg był ubrany w swój własny zielony mundur, głowa odkryta zgodnie z regulaminem. Mały i Porta mieli na głowach stalowe hełmy, które błyszczały złowrogo w szarym i zimnym świetle świtu. Szli stukając bezkompromisowo butami o bruk, karabiny przewieszane przez ramię.

Pierwszy pluton pod dowództwem porucznika Ohlsena już czekał. W pobliżu ściany stał Kapitan garnizonu z kapelanem więziennym i oficerem medycznym. Po drugiej stronie placu, w pobliżu niewielkich drzwi, siedząc na noszach, czekało dwóch pielęgniarzy. Lindenberg rozejrzał się nerwowo dookoła. Do tego momentu udało mu się zachować godność. Czy odwaga opuści go w ostatnim momencie? Kątem ust Mały słał mu słowa wsparcia.

- Trzymaj się stary. Nie daj tym kutasom satysfakcji. Wszyscy jesteśmy z tobą.

Lindenbergowi udało się uśmiechnąć. Trzymając głowę wysoko w górze, stąpił wyzywająco na swą drogę przed pluton egzekucyjny. Kiedy dotarli do wyznaczonego miejsca, ustawił się spokojnie, podnosząc ramiona, by Mały zawiązał pasek, który miał go utrzymać pionowo do momentu strzału. Kapitan podszedł, by zawiązać mu oczy, ale Lindenberg potrząsnął głową.

- Zabierz, nie potrzebuję tego. Wolę wszystko widzieć.

- Jak sobie życzysz.

Kapitan wzruszył obojętnie ramionami i wrócił na swoje miejsce przy ścianie.

Lindenberg splunął za nim z pogardą. Chwila ciszy i wreszcie porucznik Ohlsen uniósł rękę. Lindenberg wpatrzył się w wydawałoby się tysiące luf wycelowanych w białą szmatkę przypiętą do jego klatki piersiowej na wysokości serca. To właśnie serce było teraz z taką wściekłością, tak nieregularnie, że przez moment sądził, że umrze na zawał, zanim osiągną go kule. Ogarnęła go chwila szalonej paniki. Zaczął tracić przytomność, kręciło mu się w głowie, czuł jak krew huczy mu w uszach i przez ułamek sekundy myślał, że ziemia się unosi, choć wiedział, że to niemożliwe, bo przecież był przywiązany.

Musi opanować tę słabość. Nie może się poddać w ostatnim momencie. Był tyle winien Małemu, Porcie i wszystkim innym, którzy tak mocno stanęli po jego stronie, wszystkim, którzy się z nim identyfikowali, a którzy teraz musieli do niego strzelać.

Marynarze w niebieskich, czołgiści w czarnych i skazańcy w zielonych mundurach. Ładny obrazek.

Lindenberg uniósł głowę i jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Małego, który stał na końcu plutonu, górując nad wszystkimi. Lindenberg przesłał mu ostatni uśmiech przebaczenia. Prawie niezauważalnie Mały uniósł swój karabin tak, że nie był już wycelowany w małą białą szmatkę, ale w punkt powyżej lewego ramienia Lindenerga. Mały nie mógł nic zrobić, by zatrzymać egzekucję, ale przynajmniej nie będzie strzelał do przyjaciela. Sekundy później Porta skierował swój karabin w to samo miejsce co Mały. Lindenberg odczuł głęboką wdzięczność. Wzruszył go ten prosty akt przyjaźni i ciepłe łzy, które teraz lały się po jego policzkach, nie były oznaką słabości, więc nie czuł wstydu z ich powodu. Nagle zasłabł jeden z żołnierzy. Młody chłopiec, zaledwie osiemnastoletni. Upadł prosto na twarz. Jego okulary uderzyły o bruk, a karabin wypadł z dłoni. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. „Biedny szczeniak, jest jeszcze za młody na tego typu rzeczy”.

To była ostatnia świadoma myśl Lindenerga. W następnym momencie odezwały się karabiny. Dał się słyszeć pojedynczy okrzyk bólu i nastąpiła cisza.

Porucznik Ohlsen zbliżył się z rewolwerem w dłoni, ale *coup de grace* nie był potrzebny: Lindenberg był martwy. Ohlsen stał przez moment patrząc na ciało, jego twarz pozbawiona emocji, i cicho wstąpił z powrotem do szeregu. Na znak oficera medycznego dwóch pielęgniarzy podniosło nosze i kładąc na nich ciało zniknęli w małych drzwiach prowadzących do krematorium. Pierwszy pluton odmaszerował do baraków. Ktoś postawił Profesora na nogi. W pobliżu ktoś wymiotował, bardzo cicho i bez zbytniego zamieszania. Mały i Porta szli obok siebie.

- Czekaj tylko - wymruczał Mały. - Czekaj tylko aż będzie nasza kolej w nich wymierzyć. Skurwysyny. Nie było potrzeby wyjaśniania, kim są „oni”: Porta wiedział automatycznie.

- Już się nie mogę doczekać - powiedział. - Już my się upewnimy, w co będziemy strzelać. Nie chciałbym spudłować!!!

Wybiła piąta. Dokładnie dwadzieścia minut upłynęło od czasu wyprowadzenia Lindenerga z jego celi. Do jedenastej hauptfeldwebel Dorn miał całą sprawę załatwioną i mógł wyrzucić ją z pamięci. Odpowiednie dokumenty zostały podpisane i wszystkie formularze wypełnione. Całość tej operacji wycenił na 129 005 marek. Pieczętka majora Divalordy została użyta wszędzie tam gdzie potrzebny był podpis, a całość włożona do urzędowej koperty i przygotowana do wysłania. I to by było na tyle. Sprawa była załatwiona i był to dobrze przepracowany poranek. Hauptfeldwebel mógł się teraz zrelaksować.

Dorn rozparł się swobodnie na krześle, jego nogi na biurku, jedno z cygar Majora w dłoni. Otworzył jedną ze swoich szuflad i zaczął grzebać potajemnie pod stertą „Völkischer Beobachter” szukając swojej pornografii. Gdy już ją znalazł, rozsiadł się i z westchnieniem zadowolenia zaczął oglądać kolejne lubieżne zdjęcia przy pomocy lupy. Środek dnia był ulubionym czasem Dorna. Wszyscy byli zajęci swoją pracą i nikt mu nie przeszkadzał. Ci, którzy zbyt często naruszyli jego prywatność, przekonywali się szybko o jego niezadowoleniu i tylko największy idiota lub nadgorliwiec mógł do niego przyjść z jakąś więzienną sprawą w środku dnia. Wyjątkiem od reguły był telefon, który dzwonił okazjonalnie denerwując go, gdyż nie mógł go ignorować. Dzwonił właśnie teraz, zaledwie dziesięć minut po tym jak Dorn zapalił cygaro i usiadł, by cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem. Podniósł słuchawkę poirytowany.

- Dorn. Kto mówi?

Był to feldfelbel, który chciał wiedzieć, co zrobić z rzeczami osobistymi Lindenberga.

- Jakie rzeczy? Coś ciekawego?

- Raczej nie. Kupa cikliwych listów i inne bzdury.

- Wyślij wszystko do sądu polowego - powiedział Dorn podziwiając jedno z pornograficznych zdjęć przez lupę i czując jak robi mu się przyjemnie. - Może im się to przyda do podcierania tyłków... Aha, jeszcze jedno, feldweblu. - Jego głos przybrał poważny ton. - Skoro już rozmawiamy to chcę wam przypomnieć, że jestem niezwykle zajęтым człowiekiem i nie życzę sobie, by mi przeszkadzano ze względu na jakieś pierdoły. Użyjcie swojej inicjatywy feldweblu. Więcej wam tego nie będę powtarzał.

- Tak jest.

Dorn odłożył słuchawkę, wracając do swojego cygara i zdjęć. Pięć minut później przerwano mu ponownie. Ktoś mocno zastukał w drzwi i po chwili, bez zaproszenia, do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Obaj byli ubrani jak bliźniacy. Każdy miał na głowie miękki filcowy kapelusz z mocno opuszczonym rondem, brązowe buty, które skrzypiały podczas chodzenia, i długie skórzane płaszcze zapięte pod szyję. Twarze mieli inne, ale oczy te same: szare, zimne i groźne w wyrazie. Dorn spojrzał na nich bezczelnie, nie zdejmując nóg ze stołu. W tym samym czasie czuł jednak, jak całe pułki mokrych i zimnych stóp maszerują w górę i w dół jego kręgosłupa. Wzdrygnął się instynktownie.

- Czemu zawdzięczam to wtargnięcie? - Zapytał.

- Trudno powiedzieć właściwie. - Wyższy z nich zwrócił się do swojego towarzysza. - Jak sądzisz, czemu zawdzięcza on to wtargnięcie?

- Może temu, że chcemy z nim pogadać?

- Co to ma znaczyć? Kim jesteście? - Spytał Dorn.

- Katz i Schröder. - Zabrzmiało to jak nazwa kabaretu. - Katz i Schröder przybyli z wizytą. To właśnie my.

Wyższy mężczyzna, który pewnie nazywał się Katz, uśmiechnął się do Dorna.

- Czy pan hauptfeldwebel zaofiaruje nam drinka?

Dorn patrzył na obu ze zdumieniem. Coś w nich było takiego, że czuł się nieswojo, ale nie zamierzał kapitulować. W końcu nie miał niczego na sumieniu. Kimkolwiek byli i ktokolwiek ich tu przysłał, Dorn nie musiał się niczego obawiać. A jednak czuł się nieswojo. Powoli zdjął nogi z biurka i schował pornografię do schowka.

- Przykro mi panowie. Mogę wam zaproponować tylko wodę. Oczywiście, możecie zawsze zamówić piwo w kantynie.

- Oczywiście - Schröder zgodził się z uśmiechem. - Tak powinno być. Na razie idzie panu całkiem niezle.... Ale jak tak o tym myślę, to nie chciałbym już więcej widzieć pańskich nóg na biurku, dobra? To w końcu własność Führera.

- Czego tu chcecie? - Spytał Dorn ostrożnie. - To jest instytucja wojskowa i nie ma nic do czynienia z cywilami.

Dwóch cywilów wymieniło promienne uśmiechy i nic nie odpowiedziało. Dorn wstał i pochylił się w ich stronę, opierając ręce na biurku.

- Jeśli nie zamierzacie wytłumaczyć swojej obecności, to nie pozostanie mi nic innego, jak tylko wezwać straż i was usunąć. Nie podoba mi się wasze zachowanie i maniery. Nie macie absolutnie prawa tu wchodzić bez pozwolenia. Albo powiecie, o co chodzi, albo się wynoście. Dorn użył groźby. Nie mógł zrobić nic więcej. Wstał, czekając na rezultat.

- Brawo - mruknął Schröder niedbale. Wciągnął kilkakrotnie nosem powietrze i zwrócił się do Katza.

- Może nie zaferuje nam drinka - powiedział - ale sądząc po zapachu, to ten gość pali dobre cygara. I prawem gościnności powinien nam chociaż pokazać pudełko.

To było tak, jakby Dorn się w ogóle nie odezwał. Była to bezpośrednia obraza nie pozostawiająca mu żadnej alternatywy. Ze ściśniętymi wargami Dorn sięgnął po dzwonek, by wezwać strażnika. Katz roześmiał mu się w twarz.

- Jeden strażnik nie wystarczy... Potrzebujemy przynajmniej trzech! Trzech mocnych i głupich ludzi. Im są silniejsi i głupszy, tym lepiej... Będzie nam także potrzebny stół, maszyna do pisania, trzy krzesła i dwie lampy z 500-watowymi żarówkami. Ma pan to wszystko? Bo to należy do pańskich obowiązków hauptfeldwebelu, by nam to dostarczyć. Dorn gapił się na niego zaskoczony.

- O czym pan, do diabła, mówi? Po co tu przyszliście?

- Nie no, naprawdę - powiedział Schröder, kryjąc ziewnięcie - gdyby choć był tak silny jak jest głupi...

Wywód przerwał mu sierżant, który właśnie wszedł do pokoju w towarzystwie strażnika.

- No i jest pański strażnik - powiedział Schröder nie odwracając się. - Czego pan od niego chce?

Dorn kilkakrotnie przełknął ślinę, wreszcie wskazał palcem drzwi.

- Wynosicie się, idioci! Nie widzicie, że mam gości?

Strażnik otworzył szeroko oczy ze zdumienia, a sierżant wymamrotał słowo „alarm”. Dwie kretyńskie gęby patrzyły na Dorna i było to dla niego za wiele.

- Wynosić się! - Wrzasnął. - Ile razy trzeba wam powtarzać rozkaz, zanim go wypełnicie?

Strażnik i sierżant zaszalutowali pospiesznie i wybiegli z pokoju. Dorn otarł czoło i zastanawiał się, czy ma więcej powagi siedząc, czy stojąc. Zdecydował, że na razie będzie stał, tylko nie wiedział, co zrobić z rękami. Wisiały po jego obu stronach, denerwując go. Schował je za plecy i poczuł się jak uczeń; po chwili złożył je przed sobą jak ksiądz; wreszcie pozwolił im opaść z powrotem i zwisały aż do kolan, jakby obciążone odważnikami w nadgarstkach, przynosząc mu wstyd. Widział, jak cały czas Katz i Schröder uważnie go obserwują, ciesząc się z jego widocznego zdenerwowania.

- Jest pan gotowy? - Spytał Schröder łagodnie.

- Gotowy, na co? - Dorn odwrócił się do niego z ostatnią próbą zachowania kontroli nad sytuacją. - Nie wiem, skąd panowie przybyli, ale sugeruję, abyście tam natychmiast wrócili. Nie macie do mnie żadnej sprawy i prawdę powiedziawszy, denerwujecie mnie.

- Słyszałeś to? - Spytał Schröder. - Czy on może być aż tak głupi, żeby nie wiedzieć, skąd jesteśmy?

- To możliwe - odparł Katz. - Mnóstwo tych typów jest opóźnionych w rozwoju.

- Kończy się moja cierpliwość! - Krzyknął Dorn. - Albo natychmiast opuście moje biuro, albo zawiadomię pułkownika Vogla - a to będzie miało, mogę wam obiecać, nieprzyjemne konsekwencje.

- Dla pułkownika Vogla. - Kiwnął głową Schröder. - Nie dla nas. Choć gdyby wiedział, że tu jesteśmy, to z pewnością miałby dość rozumu, by się trzymać od nas z daleka.

Katz podszedł do biurka i usadowił się w fotelu Dorna. Otworzył szufladę i zaczął w niej niedbale grzebać. Rozpiął guzik pod szyją i rozparł wygodnie. Dorn czuł się bezsilnym.

Obserwując Katza dostrzegł niepokojące wybrzuszenie pod ramieniem, które mogło oznaczać tylko jedno: facet nosił rewolwer. Spojrzał na Schrödera i zobaczył to samo. Gdy już zrozumiał, pot spływał mu strumieniami po plecach.

- Jesteście z Gestapo?

W odpowiedzi dwóch mężczyzn zanosło się śmiechem, jakby Dorn powiedział im właśnie super dowcip.

- Ależ on szybki - powiedział Schröder krztusząc się ze śmiechu. - Niech mnie Dachau pochłonie, ale on jest szybki. Używaj tego szybkiego mózgu, a na pewno długo pożyjesz, przyjacielu.

- To znaczy - poprawił go Katz - jeśli umrze śmiercią naturalną.

- Oczywiście.

- A teraz - Katz spojrział na Dorna trzęsącego się po drugiej stronie biurka - weźmy się do roboty. Katz i ja jesteśmy z RSHA4-2A i chcielibyśmy porozmawiać z panem o rzeczach, które dzieją się w tym więzieniu.

- Rzeczach? Jakich rzeczach?

- O zamachu.

Schröder splunął głośno na podłogę i rozdeptał ślinę butem. „On nie jest dżentelmenem”, pomyślał Dorn bezradnie. „Żaden dżentelmen nie splunąłby na moją podłogę”.

- Gdzie on jest? - Zażądał nagle Katz.

Dorn zmusił się wreszcie do oderwania wzroku od ohydnych spektakli wcierania śliny w dywan przez Schrödera.

- Gdzie jest kto?

Katz pstryknął palcami.

- Szaleniec z Torgau... Wariat... Zamachowiec. Gdzie on jest?

Dorn spoglądał zaskoczony to na jednego, to na drugiego.

- Dobra - powiedział Katz cierpliwie. - Jeżeli to pytanie jest dla pana zbyt skomplikowane, to niech pan nie odpowiada. Proszę go tylko tu przysłać.

- Chcecie z nim mówić?

- Taki był plan. - Katz uśmiechnął się do Dorna bez cienia humoru i zrozumienia. - Nie żebyśmy nie czuli się świetnie w pańskim towarzystwie, ale niestety nie możemy spędzić całego dnia na przyjemnościach. Wiem, że jako niezwykle zajęty człowiek zrozumie pan nasz punkt widzenia. Więc proszę wezwać tu więźnia i skończmy z tym.

Dorn z trudnością przełknął ślinę. Jego wnętrza właśnie doznały gwałtownego

skurczu i Dorn poczuł się niezbyt dobrze.

- To nie... Niemożliwe...

- Co nie jest możliwe? - Spytał Katz słodko.

- Przestępca... On został postawiony przed plutonem egzekucyjnym dziś rano. - Dorn podniósł bezsilnie rękę. - Martwy i pogrzebany. Cała sprawa została już zamknięta.

Schröder podszedł szybko do Dorna.

- Czy to ma być pański dowcip?

- Ależ skąd. - Odparł Dorn. - Więzień został stracony.

Schröder wymienił się z Katzem spojrzeniami i głośno wypuścił powietrze.

- W takim razie, mój ty bardzo zajęty przyjacielu, muszę ci powiedzieć, że osobiście dopuściłeś się sabotażu dochodzenia w sprawie zbrodni popełnionej przeciwko Rzeszy i w tym samym czasie naruszyłeś paragraf 1019 kodeksu karnego. Domyślam się, że wiesz, co to oznacza?

Gruczoły potowe Dorna podwoiły swój wysiłek. Czuł się zimny, mokry i chory.

- Nie jestem za to odpowiedzialny. Nie wydaję tu rozkazów, tylko przygotowuję dokumentację.

- Dokładnie. Przygotowujesz dokumentację. - Schröder chwycił go za kołnierz munduru. - Ostrzegam cię, że jeśli nie stawi się tu morderca, to wkrótce sam staniesz przed plutonem egzekucyjnym. Ty przygotowałeś dokumenty, ty spisałeś zeznania, ty zebrałeś dowody, więc teraz dawaj tu mordercę. Każdy morderca jest dobry, ale musimy jednego mieć. Zrozumiałeś?

Dorn otworzył i zamknął usta bezgłośnie jak jakaś wielka ryba. Jego mózg był w stanie chaosu i strachu. Przed oczami tańczyły mu wizje egzekucji i frontu wschodniego. Wszystko było winą tego cholernego Gustawa Dürera. Jak żył, były z nim same kłopoty i jak zmarł, to samo. Co za ironia, że to właśnie on rekomendował, by przeniesiono go do tej sekcji!

Dorn wyprostował się nagle. Jeśli to był koniec, to w porządku, niech już będzie. Ale niech widzą, jak zachowuje się porządny hauptfeldwebel. Dostyc tej uległości wobec niższych od siebie. Wobec przełożonych zresztą też. Już za długo znosił więcej niż powinien. Od teraz będzie twardy, twardy jak stal z hut Kruppa. Schröder puścił kołnierz Dorna i pomachał mu przed nosem swym niezbyt czystym palcem.

- Mówię ci po raz ostatni: albo dasz nam tu zaraz mordercę, albo sam się uważaj za martwego.

Cisza. Dorn stał sztywno, jego ramię napięte z boku było twarde jak stal Kruppa.

Nagle ożywił się Katz.

- Siadaj - skinął uprzejmie na stołek stojący na środku pokoju. - Uważaj się za aresztowanego.

Nawet stal z fabryki Kruppa ugięłaby się pod tym ciosem. Serce Dorna przestało na moment pracować, by za chwilę zacząć bić dziko, krew tętniła mu w uszach. Koniec z miłymi dniami spędzonymi z cygarem majora i podniecającymi obrazkami. Zamiast tego widział, jak szoruje podłogi, czyści brud więziennych latryn, zamknięty w kłodzkiej celi jak zwykły kryminalista. A nawet - i to był największy horror - wsadzony do Torgau, gdzie więźniowie znali go jako hauptfeldwebela i gdzie poniżenie byłoby niemożliwe do zniesienia.

Katz włożył kartkę do maszyny do pisania.

- Nazwisko? Wiek? Wyznanie?

Wypisał długi raport pod czterema nagłówkami: sabotaż, działania nielegalne, zaniedbanie obowiązków, fałszowanie dokumentów. Kiedy już był zadowolony z rezultatu, wręczył Dornowi pióro do podpisu. Ten z przyzwyczajenia dodał „hauptfeldwebel” po swoim nazwisku. Katz wyrwał mu pióro i przekreślił to.

- Możesz o tym zapomnieć. Nie jesteś już hauptfeldweblem. Jesteś aresztowany, jesteś nikim!

W tym poniżającym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł oficer. Wzrostem nie imponował; za to prezencją był najbardziej zauważalnym mężczyzną w pokoju. Pułkownik nosił szary mundur oddziałów szturmowych udekorowany dwoma srebrnymi trupimi czaszkami, przepasany szerokim skórzanym pasem, do którego przytroczona była kabura, a w niej czarny pistolet P38. Na tak niepozornym mężczyźnie ten pistolet wyglądał niemal jak karabin maszynowy. Lewy rękaw pułkownika był pusty; na szyi widniał Żelazny Krzyż z Dębowymi Liśćmi. Wkroczył majestatycznie do pokoju, pewny siebie i swojej ważności. Dorn natychmiast zerwał się na baczność.

- Hauptfeldwebel Joa... - Zatrzymał się gwałtownie i poprawił. - Joachim Dorn, aresztowany, panie pułkownika.

Na twarzy pułkownika nie odmalowała się żadna emocja. Stał wyprostowany, oczy zimno wpatrzone w dwóch gestapowców. Katz i Schröder instynktownie także wstali. Już czuli się mniej pewnie, co do swojej wyższości. Dorn z trudem powstrzymywał swoje kolana, które zdawały się niezależne od jego woli. Zacisnął nogi i zadrżał. Zawsze czuł się nieswojo, gdy w pobliżu był pułkownik. Cisza przedłużała się nieznośnie. To pułkownik przemówił pierwszy.

- Ci ludzie - obrzucił zniesmaczonym spojrzeniem Katza i Schrödera - są z tajnej

policji, tak?

- Tak jest - potwierdził Katz niepewnie. Nie spodobało mu się określenie „tajna policja”. SS Stabscharführer Katz w asyście SS Oberscharführera Schrödera. Zostaliśmy tu przysłani, by spisać raport o wypadku, jaki miał miejsce wczoraj w drugiej sekcji tego więzienia, gdzie niejaki Gustaw Dürer został zamordowany przez jednego z waszych więźniów.

- Rozumiem, że zebraliście już wystarczającą ilość faktów, by spisać swój raport?

Pytanie pułkownika było bardziej stwierdzeniem, jego ton uprzejmy, ale groźny.

- Jeśli chodzi o hauptfeldwebela Dorna, mogę się dowiedzieć, czy okazało się, że jest zamieszany w tę zbrodnię?

- Nie, panie pułkowniku. Nie w samą zbrodnię.

- Ach tak? - Pułkownik uniósł lewą brew. Jego nozdrza zadrżały delikatnie jak psu, który trafił na właściwy ślad. - Mogę się, w takim razie, dowiedzieć, jaką sprawę panowie załatwiają w tym biurze?

Wyjął z kieszeni złoty zegarek i sprawdził go z wiszącym na ścianie.

- Jeśli mam dobre informacje - a nie mam powodu, by w nie wątpić - minęliście wartownię o 9.37. Teraz jest 17.14. Przebywacie na terenie więzienia 7 godzin i 37 minut, jednak aż do tej chwili nie miałem przyjemności panów poznać - i nawet teraz to ja muszę przyjść do was, co nie wydaje mi się zadowalającym stanem rzeczy. Katz otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz po chwili się rozmyślił. Pułkownik uniósł teraz prawą brew. - Być może nie zostaliście poinformowani, że to ja, a nie druga sekcja, sprawiłem, że zostaliście tu przysłani?

- Tak jest, panie pułkowniku - powiedział Schröder z niezbyt mądrym entuzjazmem. Powiedziano nam, że chciał pan zewnętrznego śledztwa w tej sprawie.

- Doprawdy? - Pułkownik pozwolił sobie na lodowaty uśmiech. W takim razie już doprawdy nie wiem, jak wytłumaczyć fakt, że nie zameldowaliście się u mnie po przybyciu?

Katz nie musiał odpowiadać na to zawstydzające pytanie. Drzwi się otworzyły i stanął w nich uśmiechnięty major Divalordy.

- Dzień dobry, dzień dobry! - Zaczął w swoim typowym, żartobliwym stylu. - I jak się dzisiaj...

Nagle zamilkł. Uśmiech zniknął z jego ust. Spojrzał na Dorna, na pułkownika, na dwóch agentów Gestapo. Jego twarz ogarnęła fala nerwowych tików. Nagle stał się centralnym punktem zainteresowania. Z ciszy, która zapadła, było oczywiste, że przerwał coś ważnego i czując, że musi coś powiedzieć, wykrztusił z siebie jakieś głupoty. Wszyscy

śluchali go ponuro, aż wreszcie urwał w środku zdania. Znowu zapadła nieprzyjemna cisza.

- Nic specjalnego do zameldowania, panie pułkowniku - dokończył major potulnie.

- Doprawdy? - Tym razem obie brwi pułkownika poszły w górę. - W całym tym zamieszaniu nie macie mi nic specjalnego do zameldowania? Rozumiem.

Major przestąpił z nogi na nogę. Wymamrotał coś o „nieszczęśliwym wypadku, który miał miejsce wczoraj”.

- Więcej niż nieszczęśliwym - przerwał mu pułkownik. - Powiedziałbym raczej katastrofalnym. Konsekwencje tego „nieszczęśliwego wypadku”, majorze, mogą być wyjątkowo nieprzyjemne.

- Z pewnością, panie pułkowniku - major przytaknął ochoczo. - Dokładnie tak samo myślałem. Wyjątkowo nieprzyjemne.

- Nie tak bardzo nieprzyjemne dla mnie - stwierdził pułkownik.

- Nie, panie pułkowniku?

- Nie, majorze. Nie tak bardzo nieprzyjemne dla mnie jak dla pana.

Major Divalordy połknął głośno powietrze. Czuł, jak na całym ciele pojawiają się bąbelki gorącego potu. Pułkownik spokojnie włożył sobie monokl na oko i wyciągnął rękę po dokumenty, które trzymał Katz. Ten przekazał mu je w milczeniu i razem z innymi stanął w ciszy na baczność.

Pułkownik przejrzał szybko pierwszą stronę, po czym rzucił je pogardliwie na biurko. Zdjął monokl i przyjrzał się najpierw Katzowi, potem Schröderowi.

- Celowo nie wykonaliście moich rozkazów. Mieliście się udać do Komendantury - czyli do mnie osobiście. Zamiast tego woleliście zabawić się w prywatnych detektywów w sekcji drugiej i osądzić jednego z moich hauptfeldwebli.

Katz i Schröder nie odezwali się ani słowem. Patrzyli przed siebie na zawieszone na ścianie zdjęcie Adolfa Hitlera, jakby tam szukając odwagi i inspiracji.

- Bardzo dobrze - powiedział pułkownik. - Przez wasze milczenie rozumiem, że akceptujecie zarzuty. Za parę minut zostaniecie wezwani przez mojego adiutanta. On sam poprowadził dochodzenie w tej sprawie i ma pewne dokumenty, które przedstawi wam do podpisu. Jesteście oczekiwani z powrotem w Berlinie dziś wieczorem. Stamtąd zostaniecie przeniesieni do innej sekcji - gdzieś na froncie wschodnim. Życzę wam, panowie, powodzenia w waszej nowej misji.

Bohaterowie Gestapo zostali odprawieni. Pułkownik odwrócił się do nich plecami, a oni wyszli bez słowa. Teraz na tortury miał zostać wzięty Dorn.

- Jesteś hauptfeldweblem już od dłuższego czasu - zaczął pułkownik zdradziecko

delikatnie. - Obserwuję cię już od dawna, Dorn, i wydaje mi się, że w ciągu ostatnich miesięcy twoje obowiązki sprawiały ci spore trudności. Męczyły cię? Irytowały? Wiem, że jesteś dobrym żołnierzem. Wyczuwam w tobie chęć skończenia z pracą biurową i zmierzenia się osobiście z wrogami Führera... Czy mam rację?

Dorn twierdząco skinął głową. Co jeszcze w takiej sytuacji mógłby zrobić?

- Twój talent marnuje się wśród tych papierów - kontynuował pułkownik niemal lirycznie. - Człowiek z tyloma umiejętnościami, z twoim zapałem, twoją gorącą lojalnością i oddaniem dla ojczyzny powinien być raczej zaangażowany w aktywne obowiązki. Gdzieś z ludźmi walczącymi na froncie... Byłeś bardzo cierpliwy przez te wszystkie lata, Dorn. Nie uszło to mojej uwadze. Teraz otrzymasz nagrodę: nadeszła chwila twojej szansy... - Ton głosu pułkownika stał się żywszy. - Twoje dokumenty zostały już przesłane. Bądź gotowy do drogi w ciągu godziny. *Bon voyage* i powodzenia.

Zszokowany i przerażony Dorn zasalutował i wymknął się z pokoju. Nic nie mogło być dalej od jego myśli czy marzeń niż to, by zmierzyć się osobiście z wrogami Führera - chyba że byłoby bezpiecznie zamknięci za kratami, tu w Torgau. Jego krew gotowała się w bezsilnej złości przeciw pułkownikowi. Wszystkie te lata oddanej służby i taką dostawał nagrodę! Wysłany na front, by umrzeć jak zwykły żołnierz! Gdyby Führer tylko wiedział, jak się traktuje jego najbardziej oddanych żołnierzy...

Drzwi zamknęły się za Dornem i z pułkownikiem został już tylko wciąż pocący się major Divalordy. Uśmiechnął się przymilająco, ale pułkownik nie odwzajemnił uśmiechu.

- Tak majorze, to bardzo niezadowolający ciąg wypadków... Kto, zastanawiam się, wpadł na absurdalny pomysł, by uczynić pana szefem tej sekcji? Ewidentnie nie nadajecie się do tej pracy. Pozwoliliście wodzić się za nos zwykłemu feldfweblowi i ja nie będę tolerował takiej sytuacji. Ktoś jest albo oficerem, albo zwykłym żołnierzem. Za kogo pan się uważa, majorze?

Major Divalordy gwałtownie przełknął ślinę.

- Za oficera, panie pułkowniku. Zamierzał powiedzieć to bardzo mężnie i dobitnie, ale zamiast tego jedynie to wyszeptał.

- Za oficera? Doprawdy? Pułkownik zastanawiał się nad tym przez chwilę. Interesuje mnie pan, majorze. Chciałbym dać panu szansę, by mógł pan to udowodnić i dlatego zadałem sobie trochę trudu w pańskiej sprawie. Będzie pan zadowolony słysząc, że znalazłem dla pana miejsce w pułku inżynieryjnym. Weźmie pan udział w wielu akcjach i będzie miał mnóstwo okazji, by pokazać, z czego jest pan naprawdę zrobiony. Osobiście uważam, że nie nadaje się pan na oficera, ale będę bardzo zadowolony, jeśli udowodni mi pan, że byłem w błędzie.

Ku przerażeniu majora, pułkownik Vogel wyciągnął formularz „Prośba o transfer” i rzucił go na biurko.

- Wiedziałem, że nie będzie pan chciał tracić czasu, więc wykonałem już wszystkie potrzebne czynności. Musi pan tylko podpisać ten formularz i przekazać go mojemu adiutantowi, a zobaczy pan, że transfer odbędzie się bez opóźnień... Panu także, majorze Divalordy, życzę *bon voyage* i powodzenia.

Pułkownik wyszedł z pokoju, a major Divalordy stał w miejscu jeszcze przez wiele minut, z rozpaczą zastanawiając się nad samobójstwem.

Zmarł na biegunkę w 1948 roku w obozie dla jeńców wojennych w Tobolsku.

Wszystkie wyroki uchwalane przez sądy wojskowe były przesyłane do zatwierdzenia przez Departament Sądownictwa Armii. Każda sprawa musiała otrzymać oficjalny podpis szefa departamentu, generała von Grabacha, zanim został wymierzony wyrok. General von Grabach znany był raczej z powodu swoich kosztownych nawyków niż prawniczej wiedzy. Znany był ze swoich upodobań do dziwek i butelek koniaku. Jego styl był dość swobodny; był bardziej przejęty stanem swojego munduru, połyskiem na swych wysokich butach i przytroczonymi do nich srebrnymi ostrogami niż jakimkolwiek aspektem wojskowego życia.

Upłynęło już wiele lat od momentu, kiedy po raz ostatni zadał sobie trud, by przeczytać jakieś dokumenty, na których tak beztrosko stawiał swój podpis. Wyroki śmierci czy dostawy parówek, było mu wszystko jedno.

Rozdział 9

Generał von Grabach chodził energicznie w tę i z powrotem po gęstym dywanie swojego biura, patrząc, ale nie widząc pięknego widoku Landwehr Kanal. Zamiast wody i drzew, miał przed sobą wizję Frau von Zirlitz w jej różowych jedwabnych majteczkach. Generał von Grabach uwielbiał róż: nawet on sam nosił różową bieliznę. Uwielbiał także Ebbę von Zirlitz, która była jego aktualną kochanką. Chodząc po pokoju spojrzął z niecierpliwością na zegarek, odliczając kolejne pięć minut od długich godzin dzielących go od przyjemności, które czekały go wieczorem. Zegarek był ze złota, podobnie jak gruba bransoleta, do której był przymocowany. Był to prezent od Rady Miejskiej Bukaresztu, gdzie stacjonował przez cztery wspaniałe miesiące. Bukareszt! To było niezłe i wygodne miejsce. Niekończące się dni pełne balów, imprez, darmowych drinków, darmowego tytoniu. Niekończące się noce swawoli i rozpusty. Patrząc wstecz na te błogie dni, wydawało mu się, że co druga kobieta spotkana w Bukareszcie była piękną nimfomanką.

Tu w Berlinie było inaczej. O kobiety trzeba było walczyć, i to walczyć zawzięcie. Ale najgorsze było to, że nie można się było nigdzie ruszyć, bo tylu było tu esesmanów, którzy panoszyli się po całym mieście. Ohydne typy. Nieokrzesany motłoch, na który, jego zdaniem, nie było miejsca w niemieckiej armii.

Von Grabach zrobił kwaśną minę na samą myśl o nich. Odwrócił się do okna i wyjrzał, obserwując astmatyczny holownik ciągnący za sobą sznur barek przez powolne wody kanału. Jego umysł oddał się przyjemnym rozmyśleniom o Frau von Zirlitz. Musi naprawdę pamiętać, by wysłać list do swojego przyjaciela, Generała dowodzącego dywizją, w której służył kapitan von Zirlitz. Nie może się zdarzyć, by dzielny kapitan wrócił nieoczekiwanie do domu. Mogłoby się to skończyć skandalem, a to już byłaby katastrofa, bo echo skandalu mogłoby dotrzeć nawet na Prinz Albrecht Strasse. Z pewnością żaden rozsądny człowiek nie mógł uważać za zbrodnię sypiania z żoną oficera, który walczył na froncie - przecież było to zupełnie naturalne i normalne zachowanie - ale niestety, niektórzy przywódcy Trzeciej Rzeszy nie byli w opinii generała rozsądni.

Odwrócił się od okna i znowu zaczął chodzić w tę i z powrotem po grubym dywanie. Biuro generała, jak przystało na jego stopień i rangę, bardziej przypominało elegancki salon niż miejsce pracy. To właśnie tu, przy misternie rzeźbionym biurku, podpisywał wyroki śmierci na więźniów osadzonych w Torgau. Ale w tym momencie jego myśli nie były skoncentrowane na wyrokach śmierci, lecz na Frau von Zirlitz w jej różowych, jedwabnych

majteczkach. Jego marzenia zostały przerwane pojawieniem się oficera sztabowego, który znacząco położył na biurku dwie teczki z dokumentami w kolorze różowym.

Przepraszam, że pana niepokoję, generale. To właśnie dotarło. Parę odwołań z Torgau. Jedną już widzieliśmy - feldwebel piechoty oskarżony o dezercję. Druga jest nowa - porucznik artylerii oskarżony o morderstwo.

Dziękuję ci, Walterze, zostaw je tutaj. Przejrzę je później, jeśli będę miał czas. Mogliby wreszcie przestać napastować nas tymi ciągłymi odwołaniami, wiedzą chyba dobrze, że nigdy ich nie przepuszczamy. - Zadowolony z siebie generał wyjął złotą papierośnicę. - Może inni tak, ale my jesteśmy zrobieni z twardszej gliny, Walterze. Twardszej gliny. Te nędzne kreatury nie zasługują na litość. Popelnili swoje zbrodnie i muszą za nie zapłacić. Żelazna dyscyplina, Walterze; robię dokładnie to, co mówię... Proszę, zapal sobie. Myślę, że będą ci smakowały, mamy je z Ameryki poprzez Czerwony Krzyż. - Roześmiał się wesoło. - Czego bym nie dał, żeby zobaczyć ich twarze w Waszyngtonie, gdyby się dowiedzieli, co się dzieje z ich cennymi papierosami!

- Dziękuję - powiedział Walter siląc się na uśmiech.

Stali obaj przy oknie patrząc na przechodzącą kompanię nowych rekrutów kawalerii krzepko coś śpiewających.

- Dobrzy chłopcy - mruknął generał. - Bardzo dobrzy chłopcy. Młodość Niemiec, Walterze. Młodość Niemiec... Niech ich Bóg błogosławi!

- Tak, oczywiście - stwierdził Walter przyłączając się do entuzjazmu generała. - Przyglądałem im się wczoraj podczas ćwiczeń. Serce się raduje, gdy widzi się takie zaangażowanie - każdy z nich gotowy umrzeć dla Führera.

- Hitler Jugend. - Von Grabach zaciągnął się z głęboką satysfakcją. - Zmieniając temat... Powiedz mi, Walterze: czy byłeś ostatnio w dzielnicy cygańskiej?

- Byłem tam wczoraj wieczorem, panie generale.

Generał wydał z siebie dziwny dźwięk oczekiwania na ciąg dalszy wywodu.

- Coś... Ciekawego? Kogokolwiek mógłbyś tam, hmm... Specjalnie polecieć?

- Raczej nie, panie generale.

Walter pokiwał głową smutno, a generał głośno westchnął.

- Nie brakuje tam kobiet, jeśli nie jest się zbyt wybrednym. Ale nie ma nikogo, kogo mógłbym panu osobiście rekomendować. Trochę nie pański standard, jeśli wie pan, o czym mówię.

- Szkoda. Ufam twej opinii w tych sprawach, Walterze... A przy okazji - czy na swoich wyprawach natknąłeś się kiedykolwiek na Ebbę von Zirlitz?

Było coś w tonie głosu generała, co powiedziało Walterowi, że to pytanie nie jest do końca takim zwykłym pytaniem. Zawahał się.

Ebba von Zirlitz? - Ostrożnie się nad nią zastanowił. - Raczej nie przypominam sobie nazwiska. Czy powinienem ją gdzieś spotkać?

- Raczej nie. Tak czy inaczej to nieważne - generał machnął w powietrzu papierosem. - Nieważne. Pytałem na prośbę kolegi. Ma słabość do tej pani.

Walter roześmiał się z generałem, choć w duszy śmiał się z niego. Co za stary dureń! Prawie każdy znał Ebbę von Zirlitz. On sam był z nią na imprezce parę miesięcy wcześniej i wiedział na sto procent, że co najmniej tuzin facetów już ją przeleciało.

- W porządku Walterze. To wszystko na teraz. Zawołam cię, jeśli będziesz mi potrzebny.

Generał odprawił go i odwrócił się do okna, wracając do swej cichej kontemplacji wizji Ebby w jej majtkach. Powoli i z wyrafinowaniem zaczął ją w myślach rozbierać, ale na szczęście opanował się, zanim zabrnął zbyt daleko. Dysząc z pożądania przez swój duży, siny nos, wrócił do biurka, podniósł jedną z różowych teczek, potem rzucił ją z powrotem nawet do niej nie zaglądając i chwycił za telefon.

- Ebba? Czy to ty, moje małe kochanie? Tu Claude... Liczę godziny, moja słodka, do naszego spotkania dziś wieczorem. Przesłał jej długi i głośny pocałunek. Ebba roześmiała się radośnie.

- Tylko nie zapomnij tego futra, które w swej zapalczywości mi obiecałeś!

- Będziesz je miała, kiciu. Bez obaw.

Przez następne trzy dni różowe teczki leżały nie ruszane i zapomniane na biurku generała von Grabacha. Doszły do nich inne teczki z innych więzień, aż wreszcie zebrała się tego spora kupka. Każda teczka reprezentowała skazanego człowieka, jego przyjaciół, rodzinę z niecierpliwością czekających na wieści. Każda teczka reprezentowała dni, tygodnie, może miesiące wysiłków i poświęceń - ciągłych wizyt w urzędach, niekończących się podróży pociągami z odległych miejsc, listów, telefonów, łez i poniżeń. Czyjaś siostra sprzedała swoje ciało, czyjś ojciec sprzedał duszę. Żony, matki i kochanki opuszczały swoje domy, podejmując pracę w berlińskich fabrykach, by być w pobliżu i móc z większą energią poświęcić się sprawie. Rodziny pozbywały się cennych pamiątek w nadziei, że tam gdzie nie udała się osobista prośba, uda się kogoś przekupić. To była długa i łamiąca serce bitwa, zanim zdobywało się prawo do odwołania i w końcu, gdy już je przyznano i pozostawiono decyzji tych na górze - co wtedy? Tylko czekanie. Dzień po dniu czekanie na wieści, które nigdy nie nadchodziły, wiedząc, że zrobiło się wszystko, co tylko było możliwe i że teraz sprawa nie

była już w twoich rękach.

Nie w twoich rękach, tylko generała von Grabacha. Ale generał był zajęтым człowiekiem i nie miał czasu na drobiazgi. Do jego drzwi przypięty był duży napis: ZAJĘTY. W ŻADNYM WYPADKU NIE PRZESZKADZAĆ. Nawet Walter widywał go jedynie przez kilka minut każdego dnia. Niekiedy miał jedynie czas, by powiedzieć „dzień dobry” lub „dobry wieczór”, gdy generał wpadał i wypadał ze swego biura. Prawda była taka, o czym Walter dobrze wiedział, że romans z Frau von Zirlitz zdecydowanie się rozwijał. Pomogło w tym przybycie obiecanej futry z soboli, dostarczonej przez głównego komisarza z zapasów skonfiskowanych podczas dochodzenia prowadzonego przez SS. Skonfiskowane futra były przeznaczone dla żołnierzy walczących na froncie wschodnim, ale żadne do nich nie docierało. W Berlinie wybierali je dla żon, dziewczyn i kochanek wyżsi oficerowie. Reszta docierała najwyżej do Polski, gdzie armia okupacyjna rozdzielala je między siebie. Żołnierze w okopach marzli dalej, ale kogo to martwiło? Główny komisarz jedno futro wziął dla siebie, a jedno dla swego przyjaciela - generała. Nie żywił wobec niego specjalnej sympatii, ale wierzył w utrzymywanie dobrych stosunków z tymi, którzy pewnego dnia mogą się jakoś przydać.

- Twoja praca musi być bardzo absorbująca? - Zaryzykował pytanie.

- Och, na swój sposób bardzo - zgodził się generał, bardziej zainteresowany czyszczeniem zębów srebrną wykałaczką niż omawianiem zawilosci swjej pracy. - Zawsze dzieje się coś nowego. Ciagle jest coś do roboty.

Rozparł się wygodnie w fotelu i z zadowoleniem sączył swój koniak. Główny komisarz miał jedno z najbardziej eleganckich biur w Berlinie; bardziej eleganckie nawet niż biuro generała.

- Wyśmienity koniak - skomentował.

- Niezły, prawda? - Zgodził się komisarz, zadowolony z siebie. - Został zarekwirowany we Francji na użytek szpitali... Wczoraj wysłałem jednego z moich feldwebli do Spandau. Złapałem go na kradzieży. - Spojrzał na Generała. - Mam nadzieję, że sąd polowy potraktuje tą sprawę tak poważnie jak ja. Powinniśmy na takich osobnikach dawać przykład. Moim zdaniem kara śmierci byłaby jak najbardziej na miejscu.

- Bądź spokojny. Załatwimy to. Osobiście będę miał na oku tego człowieka.

- Chciałbym, żeby tak było. Myślę, że do służby wkrada się ostatnio niezdrowe lekceważenie dyscypliny.

- Nie z mojej strony, to ci mogę obiecać. Żelazna dyscyplina to moje motto. Robię dokładnie to, co mówię... Za ledwie dzień wcześniej członek mojego sztabu wrócił z

przepustki z trzydniowym spóźnieniem. Próbował się jakoś tam tłumaczyć, ale ja nie stosuję półśrodków. Wszystko lub nic, to jedyny sposób. Kraj nie potrzebuje nierobów i pasożytów.

- I co zrobiłeś?

- Z miejsca wezwałem Żandarmerię Wojskową i kazałem go aresztować. Podejrzenie o dezercję. Zażądałem kary śmierci. Paragraf 1133, punkt 9.

Generał potarł ręce i z nadzieją podsunął swój pusty kieliszek w kierunku butelki.

- Co by się stało z tym krajem, gdybyśmy wszystkim pozwalali chodzić, gdzie chcą? Zanim byśmy się zorientowali, całe pułki by sobie maszerowały do domu, kiedy by tylko chciały.

- Dokładnie. Według mnie Kodeks Wojskowy jest zbyt łagodny. Ile razy słyszy się o zamianie kary śmierci i zamiast tego wysłaniu jakiegoś bezużytecznego obiboka, by przelenuchował resztę wojny w tzw. kompaniach karnych.

- Jeśli chodzi o mnie - powiedział von Grabach - to mogę ci powiedzieć, że bardzo rzadko rozpatruję prośby o łaskę. Właściwie mogę powiedzieć, że nigdy - podniósł swą drugą lampkę koniaku. - Na przykład w tym momencie mamy sprawę o nieprzestrzeganie dyscypliny i ignorowanie rozkazów. Młody kapitan z pułku piechoty. Facet ma dość wpływowych krewnych i w ten lub inny sposób przysparza nam nie lada kłopotów. Rozprawa odbędzie się za jakieś trzy tygodnie. Nie zamierzam jednak ulegać zewnętrznej presji. Wierzę głęboko w karanie śmiercią gdziekolwiek i kiedykolwiek są ku temu podstawy prawne. Przecież to wyśmiewanie się z całego konceptu dyscypliny, jeśli pozwala się tym ludziom na wymigiwanie się przed odpowiedzialnością... Jeśli mam być szczery, to w tej konkretnej sprawie przygotowałem już wszystkie potrzebne dokumenty.

- Przed rozprawą? - Komisarz przez moment wydawał się zszokowany. - Chcesz powiedzieć, że werdykt znany jest już wcześniej?

Generał von Grabach roześmiał się beztrasko.

- No, może nie aż tak - stwierdził z pewną dozą łaskawości w głosie. - Ale sąd polowy prawie zawsze wydaje wyroki, o jakie prosimy. Ci, którzy grzeszą przeciw państwu, muszą zostać ukarani niezależnie od tego, kim są ich krewni. Nikt mnie nie przekabaci. Wypełniam swoje obowiązki tak jak potrafię i nic nie sprawi, że zбочę z kursu - z wyjątkiem może samego Führera lub Heinricha Himmlera - dodał. - Ale mogę cię zapewnić, że obaj przestrzegają żelaznej dyscypliny. Jesteśmy z tej samej gliny. Jestem dumny z tego, jaki jestem... Widzisz ten krzyż? - Dotknął palcem medalu na szyi. - Wiesz dlaczego mi to dali, Generale Schroll? Ponieważ sprawnie wypełniam swoje obowiązki. Ponieważ w 99 przypadkach na sto domagam się kary śmierci. Sam feldmarszałek powiedział mi: „Na wojnie

potrzebni są twardzi ludzie i tacy ludzie będą nagradzani". Myślę, że zgodzisz się ze mną, że na froncie może walczyć każdy baran. Ale jeśli chodzi o moją pracę - potrząsnął głową, ciężko, jakby czasem ta odpowiedzialność mocno na nim ciążyła - taak, no to już jest zupełnie co innego. To nie tylko podpisywanie dokumentów. Potrzeba tu odpowiedniego przygotowania kulturowego. Dobrej znajomości psychologii. Znajomości natury ludzkiej. Doświadczenia całego życia w kontaktach międzyludzkich.

- Masz świętą rację, mój drogi generale. Twoja czy moja praca to nie bajka. Szczerze mówiąc, sam ostatnio kiepsko się czuję. To przepracowanie, sam rozumiesz. I ten stres... Lekarz zaleca co najmniej sześć tygodni w Baden-Baden, jeżeli chcę uniknąć kompletnego pogorszenia... Znasz tam może jakieś adresy?

Von Grabach zmarszczył oczy wpatrzony w dym cygara, wolno unoszący się pod sufit.

- Baden-Baden? - łyknął odrobinę koniaku i w zamyśleniu bawił się nim w ustach.

- Muszę stwierdzić, że masz doskonały gust, jeśli chodzi o cygara! Jeśli tylko kiedyś zdobędziesz ich więcej...

- Smakują ci? Jutro rano podeślę ci pięć kartoników.

- Naprawdę? Absolutnie wspaniale! Bardzo ładnie z twojej strony - pusta lampka ponownie została popchnięta z nadzieją w stronę butelki.

- Baden-Baden. Niech pomyślę... Znam jeden lub dwa adresy, które mogę ci polecić. Jutro przyślę ci kogoś z listą.

- Będę ci bardzo zobowiązany. A tak między nami - generał Schroll podniósł butelkę koniaku nachylając się poufnie - czy słyszałeś plotki, które krążą po Berlinie? Nasi żołnierze zostali ponoć rozbici na Kaukazie. Jeśli to prawda, to z pewnością można się zastanawiać, czy ostateczne zwycięstwo osiągnięte zostanie tak szybko jak... Przerwał, bo generał von Grabach wyprostował się nagle w fotelu i uderzył szklanką w stół.

- Chyba się przesłyszałem? Nie wierzę własnym uszom! Czy to ma oznaczać, że masz jakieś wątpliwości, co do ostatecznego wyniku tej wojny?

- Ależ skąd! - Krzyknął komisarz, jego kark robił się coraz bardziej czerwony nad kołnierzem munduru.

- Mój drogi generale, dziwi mnie, że w ogóle sugerujesz coś takiego...

- Tak się złożyło - kontynuował improwizując desperacko - że mamy tutaj oberfeldwebela, który jest zbyt wielkim pesymistą. Osobiście niejedną raz słyszałem, jak opowiadał jakieś defetystyczne bzdury. Brzydzą mnie takie zachowania jak sam wiesz. Ta plotka o Kaukazie była kropką nad i. Postanowiłem wtedy, że muszę się go pozbyć.

- Ale chyba - mruknął von Grabach z zainteresowaniem wpatrując się w żarzącą się końcówkę cygara - jest tu, myślę, w dobrych rękach? Jestem pewny, że właśnie ty wiesz, jak się rozprawiać z takimi zdrajcami.

Schroll czerwieniał coraz bardziej. Wymamrotał parę niezrozumiałych słów i chwycił się desperacko pierwszego wyjścia, jakie przyszło mu do głowy: telefonu.

- Przepraszam cię, drogi generale! Właśnie sobie przypomniałem o niezwykle ważnej sprawie.

Przez chwilę rozmawiał gorączkowo z oberstintendantem Schmidtem, szefem działu zaopatrzenia.

- I jeszcze jedno - zakończył - bądź tak dobry i przyślij mi osiem kartonów cygar i sześć butelek szampana najszybciej jak możesz. Te same cygara, które miałem parę dni temu. Możesz tego dopilnować? Dziękuję... Aha, jest jeszcze twoja sprawa, Schmidt. Myślę, że możesz się o nią nie martwić. Załatwię ci to. - Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się już bardziej pewny siebie. Cygara już załatwione. Jutro będziesz je miał. Myślę też, że nie pogniwasz się na skrzynkę szampana? Właśnie mi się przypomniało, że mieliśmy dostawę z Francji. Uścisnęli sobie dłonie po przyjacielsku. W drzwiach von Grabach się odwrócił.

- Przyślij mi dokładny raport o twoim zdrajcy.

- Moim zdrajcy?

- Już zapomniałeś? Twój obertfeldwebel, który rozповіда o klęsce... Jak tylko będę miał twój raport, to zajmę się tą sprawą osobiście. Dostaliśmy rozkaz, by takie rzeczy tępić z całą bezwzględnością.

Jeden generał opuścił pokój, a drugi pozostał, cały spocony. Von Grabach dobrze wiedział, że w rzeczywistości nie było żadnego zdrajcy. Komisarz też wiedział, że nikogo nie oszukał swoją pośpieszną improwizacją. Po prostu popełnił taktyczny błąd. Niepotrzebnie zaczął paplać, a von Grabach postanowił to wykorzystać. Cygara i szampan nie wystarczyły, chciał przykręcić śrubę i sprawdzić, co się stanie. Kogoś trzeba będzie zwyczajnie poświęcić. Schroll wezwał swojego adiutanta i rozsiadł się w fotelu myśląc o odpowiedniej owieczce na ofiarę.

Stabsintendant Brandt, adiutant generała, był przed wojną urzędnikiem. Był wzorem posłuszeństwa i dyskrecji, nie mając przy tym żadnych własnych oryginalnych pomysłów.

- Słuchaj Brandt - powiedział generał. - Mamy tu pewnego oberfeldwebela przydzielonego do Komisariatu - gada ciągle o strategicznych odwrotach i tym podobnych. Wiesz, kogo mam na myśli? Brandt zmarszczył swoje gładkie czoło w zamyśleniu.

- Chyba tak, panie generale.

- Dobrze. W takim razie chcę, żeby go natychmiast aresztowano.

Brandt wytrzeszczył oczy w zdumieniu.

- Aresztować, panie Generale? Za co?

- Za defetystyczne gadanie. Podminowywanie morale naszych żołnierzy. Tacy ludzie stanowią groźbę dla całej Armii Niemieckiej.

- Ależ panie Generale, nie wierzę, że rozmawiał o tym z żołnierzami. Mam na myśli klęskę. Nigdy nie słyszałem, żeby z kimkolwiek rozmawiał o klęsce.

- A strategiczny odwrót?

- To przecież nie to samo - zaprotestował Brandt.

- Może tobie tak się wydaje, Brandt. Dla mnie to to samo. I tak jest odbierane. To jest jak propaganda, która płynie z Londynu czy Moskwy.

Brandt zmarszczył czoło. Nie chodziło o to, żeby sprzeczać się z generałem o pryncypia; po prostu miał uporządkowany i dobrze zorganizowany umysł, wszystko było na swoim miejscu, a tu nagle miał do czynienia z kilkoma faktami, które definitywnie nie były na swoim miejscu.

- Proszę mi wybaczyć, panie generale - powiedział stanowczym, ale zachowującym respekt tonem, jak urzędnik, który zauważył błąd w arytmetycznych obliczeniach swego szefa - ale chciałem tylko przypomnieć, że pan także sądził, iż lepiej byłoby zarządzić strategiczny odwrót. Było to w czasie...

- To było coś zupełnie innego. - Schroll zmarszczył brwi. - Sytuacja była inna, czas był inny. To była zupełnie inna faza wojny.

- Rozumiem, panie generale.

Brandt zamilkł. Był bardzo daleki od zrozumienia, ale w końcu to nie on miał coś rozumieć. On powinien zauważać błędy i nieścisłości, a nie je interpretować.

- Tego oberfeldwebela - ciągnął Schroll - wziął ktoś na widelec i nie wróży to nic dobrego. Ani dla niego, ani dla nas. Zastanawiając się nad tym sądzę, że najlepiej byłoby, gdyby nagle zniknął. Jego dokumenty także oczywiście.

Brandt zeszywniał.

- Proszę mi wybaczyć, panie generale, ale to absolutnie niemożliwe. To wbrew wszelkim przepisom. Nie można się tak po prostu pozbyć dokumentów. Dokumenty są niezbędne do funkcjonowania całej armii. Gdzie byśmy bez nich byli? W niezłym bałaganie! Może pan nie zdaje sobie z tego sprawy, ale...

- Do ciężkiej cholery! - Wrzasnął Schroll tracąc cierpliwość. - Myślisz, że kim ty jesteś, Brandt, że mnie tu pouczasz? Rób, co ci każę i to lepiej zaraz, jeśli sam nie chcesz

znaleźć się w okopach!

Generał i adiutant stali naprzeciw siebie buntowniczo. Gładka, lśniąca twarz Brandta wyrażała głęboką dezaprobatę.

- Zabierz się do tego! - Krzyknął Schroll odwracając się plecami. - Chcę, żeby ten cholerny oberfeldwebel zniknął z Berlina i był gdzieś w drodze w przeciagu godziny!

- Dobrze, panie generale. Myślę, że mogę zaaranżować szybki transfer do jednostki piechoty w Grecji.

- Grecji? - Schroll wydarł się pogardliwie. - To nic nie da, cholerny kretynie! Jedyne miejsce, gdzie można go wysłać, to front wschodni. Jak ci mówię, że masz się go pozbyć, to znaczy, że masz się go pozbyć... Może do Finlandii na przykład. Gdziekolwiek, gdzie już nam nie zaszkodzi. Jeśli chodzi o jego papiery, to zrób z nimi, co ci się podoba. Spal je, wsadź do komina albo gdzie chcesz. Zostawiam ci wolny wybór, ale te papiery muszą zniknąć.

- Tak jest, panie generale - powiedział Brandt cicho.

Jego bezpieczny, uregulowany świat segregatorów i kopii dokumentów przeżył właśnie trzęsienie ziemi. Wystawić fałszywe dokumenty! Spalić papiery! Nigdy wcześniej w swoim życiu nie zrobił czegoś takiego. Papiery i dokumenty to zapis historii, a historia to krwiobieg cywilizacji. Brandt czuł się jakby miał oszaleć.

Wyszedł z pokoju chwiejnym krokiem, a na jego miejsce generał posłał po oficera sztabowego, młodego porucznika piechoty, który bardzo się odznaczył na polu walki i w konsekwencji stracił nogę. Schroll wskazał mu krzesło.

- Siadaj, Brücker. Rozgość się. Cygaro?

Brücker zapadł się w fotelu, przyglądając się, jak Schroll chodzi po pokoju w tę i z powrotem, stukając we wnętrze lewej dłoni linijką.

- Jest bardzo trudno iść prostym kursem przez wzburzone wody tego świata... Nie sądzi pan, poruczniku?

Brücker roześmiał się swobodnie.

- Może niezbyt odpowiada mi pańska metafora, generale, ale... Tak, w zasadzie się z panem zgadzam.

Generał przyspieszył kroku. Brücker zmrużył oczy. Co ten stary diabeł kombinował w tym jego małym mózdzku? Cokolwiek by to było, to nie mógł zaszkodzić Brückerowi. Porucznik miał wpływowego brata w SS. Prędzej Brücker mógł zaszkodzić generałowi.

- Mój adiutant - powiedział Schroll gwałtownie. - Jest niezwykle leniwy.

- Ten człowiek to kretyn - stwierdził Brücker.

- Kretyn! Trafił pan w dziesiątkę, poruczniku - Schroll odwrócił się do Brückera.

Zastanawiałem się, czy mógłby się pan go dla mnie pozbyć? Bez zbędnego hałasu i zamieszania. Nie chciałbym być o to posądzony. Chciałbym, żeby to wyglądało, że bardzo starałem się go przy sobie zatrzymać... Rozumie mnie pan?

Brücker spojrział na niego zimno. Schroll zadrżał nerwowo i zaczął myć ręce w powietrzu.

- Ten facet działa mi na nerwy. Nie mogę przy nim normalnie pracować. Ja...

- Więcej nie muszę nic wiedzieć, generale. Wiem, co należy zrobić. Jest pewna jednostka SS na Ukrainie...

- Doskonale! Właśnie o to chodzi! Jeśli będzie to załatwione, to, drogi chłopcze, obaj na tym skorzystamy. Nie ominie pana awans przed końcem miesiąca, to mogę obiecać.

- Dziękuję panu.

Brücker opuszczał biuro zamyślony. Awans wcale go nie interesował: miał własne sposoby na uzyskanie awansu i to właściwie w każdej chwili. Nie wzruszało go także, co się stanie z adiutantem: gość był idiotą i zasłużył na to, co dostawał. Ale ciekawie byłoby się dowiedzieć, co takiego wiedział o generale. Musiało to być coś groźnego. Coś, co warto by wiedzieć.

Cztery godziny później nadeszła telegraficzna depesza nakazująca transfer stabsintendanta Brandta do specjalnej jednostki na Ukrainie. Generał Schroll, udając oburzenie, spędził dwadzieścia minut próbując poruszyć niebo i ziemię, by zatrzymać swojego adiutanta w Berlinie. Kiedy otrzymał odpowiedź, że rozkaz przyszedł „z góry” i kiedy okazało się, z jakiej góry - dokładnie spod samego spowitego w chmurach wierzchołka, wyżej niż on sam marzył, że się kiedyś dostanie - zaprzestał swoich wysiłków, usiadł w fotelu i ocierając pot z czoła myślał z niezadowoleniem, jakie to wpływy musi mieć ów młody porucznik.

Jakiś czas potem, o oberfeldwebla, który (jak się teraz już wydawało generałowi Schrollowi) zaczął całe to zamieszanie, wypytywał von Grabach.

- Przeniesiony? - Mruknął słysząc wieści. - Pański adiutant także? Bardzo to nagle wszystko!

- Mieszają tam na górze - stwierdził wymijająco komisarz. - Oczywiście, sędzę, że moglibyśmy spróbować ściągnąć go tu z powrotem, jeśli sądzi pan, że warto dalej prowadzić tę sprawę?

Generał von Grabach uśmiechnął się tylko i w myślach docenił swego kolegę. Trzeba było przyznać, że facet był szybki. Później, tego samego dnia, von Grabach otrzymał dwie skrzynki koniaku, które przysłano z Komisariatu. Generał Schroll wyjechał na zasłużony

odpoczynek do Baden-Baden.

Koniak dotarł na krótko przed obiadem. O czwartej po południu, w stanie kompletnej euforii, von Grabach przyjął gościa: niejakiego radnego Bernera. Gdyby nie chmurki w kolorze koniaku, które go otaczały, Generał zapewne nie zgodziłby się go nawet zobaczyć. Rozumiał, trochę niewyraźnie, że syn radnego Bernera znajduje się obecnie w Torgau i oczekuje rozstrzelania przez pluton egzekucyjny. Radny Berner był, co wydaje się zupełnie naturalne, bardzo zainteresowany zachowaniem życia swojego syna. Przyszedł więc osobiście, przynosząc ze sobą listę nazwisk kilku wpływowych krewnych, którzy także przyłączali się do prośby o łaskę.

Generał słuchał prośby radnego Bernera nieporuszony. Potem wysłuchał nazwisk z listy wpływowych krewnych i z niechęcią przyznał, że może coś by się dało zrobić. Skinął poważnie głową z wyżyn Olimpu swej władzy.

- Postaram się dla pana zrobić, co tylko będę w stanie, ale proszę zrozumieć, że ta sprawa nie leży tylko w moich rękach. Tak jak każdy, otrzymuję rozkazy z góry... Gdyby to ode mnie zależało, to oczywiście nie wahałbym się przychylić do pańskiej prośby. Osobiście brzydzę się przemocą i brutalnością. Gdybym mógł, to w ogóle zniósłbym karę śmierci. Jednakże - wzruszył ramionami - dyscyplina jest dyscypliną i myślę, że się pan ze mną zgodzi. Możemy jedynie wypełniać nasze rozkazy.

Radny mówiąc, nieświadomie grał w powietrzu na pianinie.

- Panie generale, zbrodnia mojego syna nie została popełniona przeciwko Rzeszy. To była zbrodnia namiętności. Dziewczyna go zachęciła. On nie był w pełni świadomy, kiedy to robił... Jest dobrym żołnierzem. Nie możemy sobie pozwolić na pozbywanie się takich ludzi. Proszę tylko uratować jego życie i dać mu szansę na udowodnienie swojej lojalności. Nawet jeśli to oznacza konieczność posłania go na front wschodni, to przynajmniej proszę mu dać tę szansę...

- Tak, tak. Zrobię, co będę mógł, zapewniam pana.

- Czy mogę na pana liczyć, generale?

- Daję panu słowo - powiedział von Grabach, jego jaźń rozmyta była już przez koniak.

- Życie pańskiego syna zostanie ocalone.

Tego wieczoru w domu Bernerów zapanowała świąteczna atmosfera. Lał się szampan i bez przerwy dzwonił telefon. Radny mówił wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że Niemcy powinni być dumni ze swoich generałów: byli mądrzy i ludzcy i nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Jeszcze tej nocy napisał do syna list, przesyłając mu dobrą nowinę, a jego serce wypełniała wdzięczność.

Ten konkretny przykład mądrego i ludzkiego generała zapalił właśnie cygaro, nalał sobie sporą lampkę koniaku i rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu. Wszystko było w najlepszym porządku, w ograniczonym, lecz kosztownym świetle von Grabacha. Spędził właśnie noc fantazji i podniecenia z Ebbą von Zirlitz, a jeszcze tego samego ranka dowiedział się, że przyznano mu długi urlop w Berchtesgaden. Życie było dla niego łaskawe. Może powinien wysilić się choć troszkę i spojrzeć na leżące przed nim teczki w różowym kolorze. Pomiędzy dwoma dymkami z cygara wyciągnął rękę i chwycił pierwszą z nich.

Porucznik Heinz Berner, zdegradowany do stopnia szeregowca. Więzień, Sekcja 2, cela 476, Torgau, Saksonia. Skazany na śmierć. Generał przeglądał anemicznie strony teczki. Jego oczy przesuwaly się po słowach, ale mózg nie absorbował informacji. Jedna różowa teczka była taka sama jak druga, a w swojej karierze widział ich już bardzo wiele. Odrzucił Heinza Bernera i podniósł Paula-Nicolasa Grūna. Identyczna. Von Grabach nie wiedział i nie obchodziło go, jakie zbrodnie zawiodły ich do Torgau. Byli więźniami, byli skazani na śmierć i jeśli o niego chodziło, to tyle mu wystarczy.

Przełknął resztkę koniaku. Spojrzał na zegarek. Czas iść i dopilnować pakowania, jeśli ma zdążyć wyjechać do Berchtesgaden jeszcze dziś. Wziął do ręki pióro i niedbale złożył swój podpis na dwóch teczkach.

Heinz Berner i Paul-Nicolas Grün zostali ostatecznie skazani. I tylko sam Bóg mógł im teraz pomóc. Rosjanie mogli sobie stać pod bramą Torgau, a Berner i Grün i tak musieliby stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Żelazna dyscyplina. Rozkaz to rozkaz. Generał von Grabach ułożył dokładnie teczki, jedna na drugiej, jak ktoś, kto kończy dobrze przepracowany dzień. Przez moment odczuł lekki niepokój, który zidentyfikował, dużo później w Berchtesgaden, jako mający związek z radnym Bernerem i kilkoma niesfornymi godzinami spędzonymi z butelką koniaku. Gdy już rozpoznał źródło swego niepokoju, ten natychmiast ustąpił i został zamieniony na rozdrażnienie. Jakim prawem ten Berner miesza się do spraw wojskowych? Wyciągnął od generała fałszywą obietnicę, wykorzystując jego chwilową niedyspozycję. Każdy znał zasady generała.

Każdy wiedział, że był on zwolennikiem żelaznej dyscypliny, który nigdy nie podważał dochodzenia sądu polowego. Obrzydliwy był sam pomysł odwołania się od wyroku. Tak czy inaczej, nie było ważne, co powiedział radnemu pod wpływem koniaku, bo i tak było już za późno, by zatrzymać naturalny bieg wypadków, który następował po zatwierdzeniu przez niego wyroku śmierci. Wojna była wojną, inni oprócz radnego także ponosili jej koszt.

Von Grabach zdecydował, że wykona jeden łaskawy gest: pozwoli rodzicom na

ostatnią wizytę u syna przed jego egzekucją. To było więcej niż na to zasłużyli, ale nie był przecież nieludzki i niesprawiedliwy. Odda im tę ostatnią przysługę, choć zapewne nie usłyszy nawet słowa dziękuję. Wysłał więc depezę do Berlina i zapomniał o całej sprawie. Jego sny wypełniały marzenia, nigdy koszmary, a jego sumienie było czyste.

To Frau Berner otworzyła urzędowy list z Berlina:

„Jeśli pragną państwo złożyć ostatnią wizytę więźniowi Heinzowi Bernerowi, którego egzekucja zaplanowana jest na godzinę 5.00, 24 maja, powinni się państwo stawić w komendanturze więzienia w Torgau o godzinie 18.00, 23 maja. Autoryzacja ta wystawiona jest na cztery osoby. Czas odwiedzin ograniczony jest do dziesięciu minut". Frau Berner, nie mając nikogo obok, kto wsparłby ją w momencie kryzysu, wydała z siebie rozdzierający serce okrzyk i upadła na podłogę. Z kolei Frau Grün, matka drugiego ze skazanych więźniów, nie mogła pozwolić sobie na zemdlenie, ponieważ była w trakcie swojej dwunastogodzinnej zmiany jako pokojówka w hotelu Graf Moltke. Zniosła tę wiadomość dzielnie, choć łóżka tego dnia nie były dobrze zaścielone, a podłogi porządnie zamiecione. Zagrożono jej zgłoszeniem do Inspektora Departamentu Pracy, co wiązałoby się z natychmiastowym przeniesieniem do fabryki zbrojeniowej. Frau Grün wzruszyła ramionami sprawiając wrażenie, jakby nie zależało jej, dokąd ją odesła. Trzy miesiące później zabiła się, rzucając się pod pociąg na stacji St. Paul.

W Torgau wszyscy czytaliśmy list lub słyszeliśmy wieści i byliśmy przekonani, że Heinz Berner jakimś cudem uniknął kary śmierci.

- A to ci historia! - Powiedział Heide. - Nigdy nie sądziłem, że dożyję czegoś takiego. Jesteś kawałem szczęściarza, Heinz. Heinz Berner nie posiadał się ze szczęścia. Biegał po celi jak młody żrebak, a my siedzieliśmy na jego łóżku dyskutując o tym cudzie.

- No to przynajmniej jesteś teraz jednym z nas - stwierdził Mały z zadowoleniem. I tak też będzie ci lepiej. Kto chce być jakimś pieprzonym oficerkiem?

Jedynie Stary pozostał sceptykiem.

- To za dobre, żeby było prawdziwe - powiedział, kiedy wyszliśmy już z celi i Heinz nie mógł nas usłyszeć. - Nie za bardzo wiem, jak jego ojciec mógłby coś wiedzieć, kiedy my jeszcze o niczym nie słyszeliśmy. Powinniśmy mieć już telegram.

- Wszystko jest możliwe - powiedział Legionista. - Niezbadane są ścieżki Allacha. Ja już widziałem takie historie. Gdy byłem w Legii Cudzoziemskiej. Jeden z chłopaków uratował się w ostatnim momencie. Jego ułaskawienie przyszło dosłownie parę sekund przed jego rozstrzelaniem. Stary pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to. Po prostu nie podoba. Można się tylko modlić, żeby ktoś nie

okazał się sadystą robiącym sobie z chłopca jaj.

- Będzie dobrze - powiedział Porta. - Założymy się?

- Nie chciałbym się zakładać o czyjeś życie - stwierdził Stary z powagą.

To Barcelona przyniósł nam złe wieści. Przybiegł z sekretariatu, biały jak duch, prawie nie mogąc mówić. Zabrało nam kilka sekund, zanim coś z niego wydusiliśmy.

- Jutro, o piątej rano, rozstrzelają go!!!

Dosłownie nas замуrowało.

- Kogo? - Spytałem, choć wszyscy wiedzieliśmy, że chodzi o Heinza.

- To niemożliwe! - Krzyknął Porta. - Nie mogliby mu wyciąć takiego numeru!

- Widziałem papiery - powiedział Barcelona. - Są podpisane przez generała. Wszystko jest ustalone na jutro rano. Ponownie nieprzyjemna cisza. Spojrzeliśmy po sobie z przerażeniem.

- Biedny chłopak - szepnął Stary. - Chciałbym tylko, żeby nigdy nie dostał tego listu od ojca.

- Ale przecież on musiał dowiedzieć się od kogoś z góry. Nie byłby takim idiotą...

- A myślał, że jutro go wypuszczą.

- Nie mówiłbyś komuś czegoś takiego, jeśli nie byłbyś pewien.

- No to teraz już wszystko wiemy. Kto mu to powie?

- Ja - zaofiarował Mały niespodziewanie. - Czuję się jakby za niego trochę odpowiedzialny. Jakoś tak. Zawsze nie cierpiałem takich oficerów, nienawidziłem skurwysynów. On jest pierwszym, którego zaakceptowałem. Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie dzień, gdy jednego z nich będę żałował.

- To jeszcze dzieciak - powiedział Porta.

Odwróciłem się i spojrzałem na Barcelonę.

- Kto ma go zastrzelić? - Zapytałem bez ogródek.

Odpowiedź była równie bezpośrednia i brutalna.

- My - odparł Barcelona.

- Chryste! - Porta spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Ale nam dzisiaj dają!

Legionista wyciągnął kilka papierosów i wręczył je Małemu.

- Trzymaj. Daj mu to. Szczypta opium jeszcze nikomu nie zaszkodziła, jak już przychodzi co do czego. I spróbuję mu też załatwić jakiś zastrzyk.

- Coś wam powiem! - Krzyknął nagle Porta. - Kiedy już będzie ta cholerna rewolucja i przyjdzie nasza kolej, by do nich strzelać, to ułaskawię każdego skurwysyna, a potem, w ostatnim momencie, zmienię zdanie. Niech cierpią sukinsyny. Tak ich zakręcę...

- Dobra. Już cię słyszeliśmy - powiedział Stary zmęczonym głosem. - Nie musisz bez końca o tym mówić.

Mały odmaszerował dzielnie, by zobaczyć się z Heinzem. Chłopak czytał książkę, spokojny i szczęśliwy, pierwszy raz od przybycia do Torgau. Uniósł głowę i uśmiechnął się, gdy Mały otworzył drzwi do jego celi.

- Cześć! Przyszedłeś już mnie wypuścić?

Mały w milczeniu potrząsnął głową. Wyciągnął papierosa, a Heinz się roześmiał.

- Co ci się stało? Wyglądasz jak skazaniec! Zaciągnął się głęboko papierosem i patrzył na wypuszczany nosem dym.

- Jak sądzisz, jak szybko przeniosą mnie do kompanii karnej? Myślisz, że już jutro?

- Nie - powiedział Mały. - Nie sądzę.

Odwrócił głowę i spojrzał na małe okienko wysoko na ścianie. Nie było sensu wdawać się w jakieś przedwstępne potyczki słowne. Miał tu zadanie do wykonania i im dłużej to odkładał, tym trudniej będzie jemu i Heinzowi. Odwrócił się do niego, zdeterminowany, by powiedzieć wszystko od razu. Nagle Heinz wstał i uderzył go przyjacielsko w pierś.

- Zabawny z ciebie facet, Mały! Kiedy tu przyszedłem, to nie mogłem na ciebie patrzeć. A teraz - chociaż nie mogę się już doczekać! - Sądzę, że będę za tobą tęsknił. Diabli wiedzą dlaczego, ale tak już jest.

- Nie będziesz za mną tęsknił - powiedział Mały ostro. - Za mną nie warto tęsknić. Będziesz już poza tym wszystkim. Daję słowo.

Uśmiech Bernera zanikł powoli.

- Co się stało? - Zażądał. - Co cię nagle ugryzło?

- Siadaj, to ci powiem.

Głos Małego był ostry i szorstki, ale nie mógł ukryć sympatii. Berner usiadł posłusznie na łóżku, jego ciało nagle zeszywniało z wrażenia.

- O co chodzi?

- Po prostu: nie wypuszczą cię jutro. Ani w jakikolwiek inny dzień.

- Co? Berner instynktownie stanął na nogi.

- Chcesz powiedzieć, że jednak odrzucili apelację?

- Nigdy nic innego nie zrobili. To była pomyłka.

- Nie! Nie wierzę ci, kłamiesz! Nabierasz mnie! - Berner dziko potrząsał głową. - Pomyliłeś się, prawda? Prawda?

- Nie pomyliłem się, Heinz. Ktoś musiał ci to powiedzieć. Ja się zgodziłem.

- Oszalałeś! - Krzyknął Heinz. - Mam to tutaj czarno na białym! - Sięgnął pod posłanie

i wyciągnął list od ojca. - Zobacz! Przeczytaj, co pisze - „udało się nam załatwić ci zawieszenie wyroku i organizuję twój transfer do kompanii karnej”. Chyba nie sądzisz, że mój ojciec napisałby coś takiego, gdyby to nie była prawda, co? Jest radnym, wie co robi. To tobie się coś pomieszało! Musi być ktoś jeszcze z takim samym nazwiskiem!

- Przykro mi - powiedział Mały. - Musisz to po prostu zaakceptować, Heinz. Nie wiem, skąd twój ojciec wziął te informacje, ale rozkaz egzekucji już przyszedł i wszystko jest przygotowane na jutro. Nie chcę tego robić, ale...

Berner usłyszał tylko kilka słów. Zanim Mały skończył mówić, osunął się nieprzytomny na ziemię.

Zanim chłopak doszedł do siebie, do celi przyszedł ksiądz. Był to młody człowiek w stopniu oberleutnanta. Na sobie miał szary mundur z niemieckim orłem i swastyką na piersi i krzyżykiem na szyi. Zawahał się wchodząc i spojrzął w oczy Małemu. Przekaz niechęci i wrogości był jasny i czytelny. Ksiądz spojrzął na chwilę na skazańca, potem pochylił głowę i odszedł, pozostawiając dwóch mężczyzn samych.

Berner chwycił Małego za rękę.

- Kiedy to ma się stać?

- Jutro rano. O piątej.

- Rozumiem... Kto to zrobi?

- My.

Berner puścił go gwałtownie. Chłopak zwałił się u jego stóp, obejmując ramionami nogi Małego.

- Pomóż mi! Pomóż mi, na Boga! Teraz jest gorzej niż było. Nie zniosę tego, musisz mi pomóc!

- Weź mój pistolet - powiedział Mały cicho. - Walnij mnie w łeb i - wykonał gest. - Wierz mi, że tak będzie i szybciej, i lepiej.

Berner usiadł w kucki.

- Mam się zastrzelić? Nie dałbym rady. Nie mam na tyle odwagi. Ty zrób to dla mnie Mały. Wpakuj mi kulkę. Możesz powiedzieć, że próbowałem uciekać.

Mały pokiwał głową.

- Z chęcią bym to zrobił w chwili, gdy tu przyszedłeś. Ale nie mogę zabić przyjaciela z zimną krwią. Nawet jutro nie będę do ciebie strzelał, ani zresztą Porta. Nigdy tego nie robimy.

- Ale co się stanie, jeśli nikt inny do mnie nie strzeli?

- Strzelą. Strzelają prosto i nie pudłują. Będzie po wszystkim, zanim się zorientujesz...

Nie miałyby sensu, żeby wszyscy odmówili. Sami byśmy stanęli przed plutonem egzekucyjnym, a i tak kogoś by znaleźli na nasze miejsce... Słuchaj, może pogadaj z Julusem? On się strasznie boi przełożonych i jakby tu był, to od razu by Cię zastrzelił, gdybyś próbował zwać. Julius to dupek. Zrobi wszystko, byleby tylko nie podpaść. Ale mnie nie prosz. Nie mógłbym... Rozumiesz? Po prostu bym nie mógł.

Berner płakał cicho, kryjąc twarz w dłoniach.

- Przyślę do ciebie Starego. On z tobą pogada. Zrobi to lepiej ode mnie. Mały rozejrzał się z desperacją, jakby szukając pomocy. Jego twarz nagle się rozjaśniła.

- Wiesz co, Heinz? Może jutro pięć po piątej będziesz w lepszym miejscu niż teraz. Wszystko, co gadają o tym niebie, to może być prawda.

Wydawało się, że Heinz nie słyszy tych słów pocieszenia. Mały spróbował więc czegoś innego.

- To nie sama śmierć jest problemem, tylko sposób, w jaki się umiera. Weź na przykład takiego raka. Wszyscy się tego boją. Albo paraliż. Albo gaz. Albo coś w tym stylu. Ale rozstrzelanie? - Machnął ręką. - To pestka, stary! Nic nie poczujesz, obiecuję. Jak już powiedziałem, Julius to dupek, ale jedno mu trzeba przyznać: daj mu do ręki broń, a on nigdy nie spudłuje.

I te słowa nie wywołały żadnego odzewu. Mały wyciągnął papierosy i zapalki i rzucił je na łóżko. Taki gest, gdyby został odkryty, kosztowałby go sześć miesięcy ciężkich robót.

- Muszę już iść, Heinz. Powinienem być na służbie... Wypal te fajki, ja bym tak zrobił. Jest tam kilka z opium. Dmuchnij sobie rano, to ci pomoże... Użyj dzwonka, jeżeli będziesz potrzebował czegoś specjalnego. Ktoś z nas podejdzie... Dobra?

Berner nic nie powiedział wciąż cicho płacząc. Mały stał jeszcze przez chwilę patrząc na niego i wyszedł. Na korytarzu dostał ataku nagiego gniewu i z całej siły kopnął stojące wiadro wody. Rozległ się głośny huk, gdy wiadro potoczyło się po kamiennej podłodze, odbijając się od ścian. Potem cisza. Nagle dał się słyszeć wściekły głos Heidego dochodzący z piętra niżej:

- Co tam się, kurwa, dzieje?

- Odpierdol się i zajmij się sobą! - Odwrzasnął Mały.

Heide rozsądnie nie kontynuował dialogu. Byłoby głupotą zaczepiać Małego, gdy był w takim nastroju. Mały snuł się bezcelowo po więzieniu przez jakieś pół godziny, trafiając w końcu do wartowni i stając przed Starym.

- Musisz iść i porozmawiać z Heinzem. Obiecałem mu, że przyjdiesz. Nie idzie mi zbyt dobrze wyjaśnianie. On potrzebuje kogoś takiego jak ty. Stary spojrzał uważnie na

Małego.

- Co mam mu powiedzieć?

- Nie wiem... Co uznasz za stosowne. Coś o Jezusie i życiu pozagrobowym i inne takie gówna.

- On jest wierzący? - Spytał Barcelona zdumiony. - Nie słyszałem, żeby kiedyś prosił o kapelana.

- Nie wiem czy jest, ale potrzebuje kogoś, żeby z nim pogadał - upierał się Mały.

- I tylko dlatego, że w coś nie wierzysz, nie znaczy, że nie chcesz o tym słyszeć, zanim będzie po tobie - dodał Porta. - W razie gdyby to okazało się prawdą.

Barcelona zwrócił się do Legionisty.

- A może ty byś do niego poszedł? Mógłbyś mu opowiedzieć o Allachu i jego magicznym ogrodzie.

Legionista odwrócił się gwałtownie, ewidentnie nie będąc pewnym, czy Barcelona mówi poważnie, czy prosi się o bójkę. Zanim podjął decyzję, Stary już zapinał pas i sięgał po czapkę.

- Dobra, ja pójdę. Nie jestem gorszy od księdza, ale chcę, żeby kilku z was pilnowało, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

- Ma się rozumieć - obiecał Porta.

Stary spędził trzy godziny w celi skazanego chłopca. Nikt nigdy się nie dowiedział, co Stary mu powiedział, ale Heinz był później zdecydowanie spokojniejszy. Może po prostu przyzwyczajał się już do myśli o swojej śmierci, a może były to czyste umiejętności Starego, tak czy inaczej wszystko było w porządku aż do wieczora i wizyty rodziców.

Siedzieli obok siebie, odgradzeni od syna małym stolikiem. Na prawo od nich, pod ścianą, stał strażnik próbujący wkomponować się w kamienne tło. Jego obecność była prawie niezauważalna, tak dobrze mu się to udawało. Słuchał, choć nic nie rozumiał. Dla radnego Bernera prawie niemożliwe było patrzenie synowi prosto w oczy. Frau Berner siedziała szlochając w chusteczkę.

- Heinz. - Wyciągnęła do niego rękę. - Heinz, wszyscy musimy być dzielni. Oczy kamiennego strażnika drgnęły śledząc ruch kobiecej ręki: czy chciała coś przekazać więźniowi?

- Heinz - wyszeptała jego imię. - Heinz, mój biedny chłopcze...

- Proszę mówić głośno i wyraźnie - zaintonował strażnik mechanicznym głosem.

- Ojczy, czy to prawda? - Heinz nachylił się do Herr Bernera, jego oczy płonęły jeszcze ostatnią nadzieją. - Czy rzeczywiście odrzucili prośbę? Jego ojciec powoli skinął

głową.

- To prawda, Heinz.... Jak mówi twoja matka: wszyscy musimy być dzielni. Pamiętaj jedną rzecz, synku: gdzieś, kiedyś znowu będziemy wszyscy razem. Trzymaj się tej myśli. Nie zapomnij.

- Tak się boję - powiedział Heinz płaczliwym głosem.

Dolna warga radnego zadrżała. On także się bał. Heinz zaczął nagle wylewać z siebie potok niezwiązanych ze sobą zdań, których rodzice słuchali z rosnącym przerażeniem.

- Przejście z celi na plac jest najgorsze... Julius to dupek, ale daj mu broń, a on nigdy nie spudłuje - będzie po wszystkim, zanim się zorientujesz... To inaczej niż z rakiem. Wszyscy się boją raka... Albo gazu. A to pestka... Jutro pięć po piątej będę w lepszym miejscu, zobaczysz.

„Boże, stracił rozum”, pomyślał radny.

- Heinz - powiedziała Frau Berner delikatnie o czym ty mówisz?

Heinz spojrzał na matkę pustym wzrokiem.

- Tak mi powiedzieli.

- Powiedzieli? Kto?

- Moi przyjaciele.

- Masz na myśli innych więźniów?

Heinz zaprzeczył głową.

- Nie. Strażnicy. Mały, Stary i cała reszta.

- Oni są twoimi przyjaciółmi?

- Tak - po policzku chłopca spłynęła łza. - A jutro o świcie mnie zastrzelą.

Frau Berner pobladła śmiertelnie. Zachwiała się lekko i cicho straciła przytomność, osuwając się na podłogę. Jej mąż, próbujący ją podnieść, zastanawiał się, czy naprawdę jego syn nie stracił zmysłów. Jak ktokolwiek mógłby nazwać swoimi przyjaciółmi ludzi, którzy mieli go zabić? Strażnik oderwał się od ściany.

- Koniec widzenia.

Heinz i jego ojciec spojrzeli na siebie. Wstali. Chwila była nie do zniesienia, nie było nic do powiedzenia. Heinz rzucił się w ramiona Herr Bernera. Objęli się po raz pierwszy od czasu, gdy Heinz stał się dorosły. Dotarła do nich pełna groza ostatecznej rozłąki i potrzeba było aż dwóch strażników, by ich rozdzielić. Radny i jego żona zostali wyrzuceni na korytarz jak worki mąki. Heinz został odprowadzony do celi. Jak tylko zrobiło się cicho, zabraliśmy go do wartowni, gdzie napoiłiśmy go wódką i na wpół przytomnego odstawiliśmy z powrotem. Tej nocy miałem służbę razem z Barceloną. Inni wyszli do miasta i wrócili o

północy, pijani w sztok. Mały jak zwykle był hałaśliwy, przejawiając tendencję do rzucania meblami i rozbijania pięścią szyb. Porucznik Ohlsen przyszedł ze swojej kwatery każąc mu się zamknąć, ale okazało się, że sam nie był w dużo lepszym stanie. Widać było, że wypił co najmniej tyle, co Mały i to ja z Barceloną musieliśmy się z nimi uporać.

Niedaleko więzienia, w gospodzie „Czerwony Huzar”, noc spędzał Herr Berner z żoną. Oboje nie spali i nawet nie próbowali zasypiać. Siedzieli obok siebie na łóżku, patrząc w dal nic nie widzącym wzrokiem, słuchając jak tyka zegar odmierzający ostatnie kilka godzin życia ich syna.

W swojej celi, Heinz Berner chodził tam i z powrotem, czasem się zatrzymując i waląc pięściami w drzwi i krzycząc przeraźliwie w desperacji krzykiem tonącego na środku pustego oceanu.

Obudzili nas o czwartej - tych z nas, którzy spali. Legionista został wysłany do zbrojowni. O czwartej trzydzieści przyszedł Major z garnizonu, sprawdzając czy jesteśmy gotowi. Złożył też ostatnią wizytę więźniowi.

- Staraj się mocno trzymać. Pamiętaj swój oficerski trening. Wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Twoim obowiązkiem jest stawić czoło śmierci w dzielny sposób. Upewnij się, że wypełnisz ten obowiązek.

Z tymi słowami wsparcia, zamknął za sobą drzwi celi, zostawiając Heinza Bernera, by w samotności oczekiwał swego przeznaczenia. W wartowni pojawił się dość nieswojo wyglądający porucznik Ohlsen. Jego stalowy hełm lśnił, jego guziki i sprzączki błyszcząły jak diamenty, ale sam mężczyzna wyglądał na zgaszonego. Stary podszedł do niego i zasalutował.

- Wszystko gotowe, panie poruczniku.

Porucznik Ohlsen kiwnął głową nic nie mówiąc. Odwrócił się i poprowadził nas korytarzem do celi Bernera. Heinz czekał na nas, leżąc na łóżku i patrząc w sufit. Porucznik położył mu rękę na ramieniu.

- Już czas, Heinz. Staraj się być dzielny. Postaramy się to zakończyć tak szybko, jak to tylko możliwe.

Chłopak usiadł jak duch, postawił nogi na podłodze i wstał, słaniając się.

- Muszę skrępować ci dłonie - powiedział Ohlsen przepaszającym tonem.

Wyciągnął nowy, biały sznurek, a Heinz, potulnie jak dziecko, któremu się zakłada rękawiczki, złożył razem dłonie i wyciągnął je przed siebie. Jego oczy już były martwe. Porucznik owinał sznurek dookoła nadgarstków, ale zanim zdążył go zawiązać, chłopiec zemdłał. Upadł tak nagle, że zaskoczył nas wszystkich. Staliśmy patrząc się na niego

głupkowato i sędzę, że każdy z nas miał wtedy nadzieję, że może jest to atak serca.

Niektórzy ludzie umierają z łatwością, ale nie taka śmierć była dana Heinzowi Bernerowi. Porucznik Ohlsen razem ze Starym postawili go na nogi. Prawie natychmiast odzyskał przytomność. Jego usta zadrżały. Nagle zaczął wyć i krzyczeć przeklinając nas, przekonując i błagając nas o życie. Nie mogliśmy nic zrobić. Stracił zupełnie kontrolę nad sobą i nawet Stary nie był w stanie do niego dotrzeć. I co można powiedzieć dwudziestoletniemu chłopcu, który ma za chwilę stanąć przed plutonem egzekucyjnym? Zwłaszcza jeśli samemu ma się być jednym z członków tego plutonu.

Musieliśmy wlec go siłą przez korytarze na dziedziniec. Przez całą drogę krzyczał i kopał. Zrzucił Porcie hełm, Heide zgubił karabin, a ja dostałem w żebra. Dla nas wszystkich było to ostateczne poniżenie człowieczeństwa.

Ze wszystkich stron dochodziły do nas wrogie okrzyki i przekleństwa. Więźniowie kopali drzwi swoich cel, gwizdali, tupali, rzucali meblami i krzyczeli.

- Mordercy!

- Faszystowskie świnię!

- Mordercy!

- Pierdoleni mordercy!

Na dziedzińcu właśnie wstał świeży i jasny świt. Powietrze było czyste i słodkie, niebo klarowne. Był to dzień, w którym człowiek cieszy się, że żyje. Zastanawiałem się, czy lepiej się umiera w taki dzień i pomyślałem sobie, że jeśli chodzi o mnie, to wolałbym taką dobrą pogodę na swój ostatni dzień niż tę smutną szarą mżawkę, która była ostatnim pożegnaniem Lindenbergga.

Gdy ciągnęliśmy go tak po bruku, wydawało się, że Berner stracił resztę swoich zmysłów. Przewracał oczami, toczył pianę z ust. Był teraz szaleńcem, który wił się i krzyczał. Dawał nam wspomnienia i zmuszał do przeżywania koszmaru, którego nikt z nas nie będzie mógł zapomnieć. Ale czy ktoś miał prawo wymagać od niego, by umierał taką śmiercią z godnością? Nagły wstrząs przeszedł przez ciało naszego więźnia i nieoczekiwanie uwolnił swoje ręce. Zanim ktokolwiek wykonał jakiś ruch, ten rzucił się na Starego, oplatając go swymi ramionami i nogami, czepiając się go i krzycząc, krzycząc, aż myślałem, że sam zacznę wyć.

- Nie chcę umierać! Nie chcę umierać! Proszę, błagam, proszę, pomóż mi!

Porucznik Ohlsen stał w pobliżu, zszokowany i blady jak trup. Nigdy nie widziałem go tak wstrząśniętego. Cały się trząsał, łzy spływały mu swobodnie po policzkach, wyglądało na to, że jest w niewiele lepszym stanie od więźnia. Stary siłował się z chłopcem, nie mogąc go

od siebie oderwać, nie mogąc go uspokoić. Potrzeba było nas czterech, by go odciągnąć, a w trakcie tej szamotaniny nagle zwymiotowałem.

- Ty brudna pierdolona świni! - Wrzasnął Porta. - Patrz, co zrobiłeś z moimi butami!

Mały, prawie oszalały, odwrócił się i walnął Portę w bok głowy. Porta natychmiast mu oddał. Były to sceny wyjęte żywcem z domu wariatów.

Po przeciwległej stronie dziedzińca pojawiła się reszta plutonu egzekucyjnego. W środku, między dwoma strażnikami, maszerował spokojnie feldwebel Grün, trzymając związane dłonie przed sobą. To on przyszedł nam z odsieczą. Zatrzymał się przed nami, z powagą przyglądając się naszemu więźniowi.

- Nie bój się - powiedział. - Nie jesteś sam. Razem im pokażemy, jak się odchodzi w ogniu chwały, co?

Sądzę, że bardziej niż cokolwiek innego to zaskoczenie sprawiło, że Berner się opamiętał. W każdym razie uciszył się i byliśmy mu za to wdzięczni.

Szliśmy dalej przez dziedziniec. Dołączył do nas kapelan więzienny, idąc za nami prosił głośno Boga o wybaczenie za nasze winy. Słońce wstało, wypełniając blady dziedziniec dziwnym karmazynowym światłem. Gdzieś w oddali odezwał się kos, a zewsząd zlatywały się mewy. Był to piękny dzień na umieranie.

Heide i Legionista podprowadzili Bernera do zakrwawionego słupa, gdzie tyłu już stało czekając na swą śmierć. Zacisnęli pasek wokół jego piersi. Stary podszedł do słupa.

- Czy mam ci zakryć oczy?

- Tylko mi pomóż - wyszeptał Berner. - Proszę, pomóż mi. Ja nie chcę umierać.

Porucznik Ohlsen przygryzł wargę i odwrócił się. Widziałem, jak Mały zakrywa twarz dłonią. Patrzyłem jednak w dal, obserwując mewy, słuchając ich przejmujących krzyków i zastanawiałem się, po co tu przyleciały, czemu nie są nad morzem. Kiedy odwróciłem wreszcie wzrok, Stary skończył właśnie wiązać opaskę na oczach więźnia i wrócił do szeregu.

Feldwebel Grün, przywiązany do drugiego zakrwawionego słupa, odmówił pozbawiania go ostatniego widoku tego świata. Stał wyprostowany i gotowy, przyglądając się przygotowaniom do swojej własnej śmierci.

- Proszę, pomóżcie mi! - Krzyknął Berner.

Był to okrzyk dziecka w desperacji. Dziecka, które wiedziało, że krzyczy nadaremnie, które od dawna nie miało już żadnej nadziei, ale które i tak próbowało, wierząc może, że ludzie nie mogą go bez końca ignorować. Teraz porucznik Ohlsen nie wytrzymał presji. Nagle zasłonił sobie usta dłonią, wydał z siebie dziwny dźwięk, jakby się krztusił i odbiegł na drugą stronę dziedzińca. Nikt z nas go nie winił. To on musiał wydać rozkaz otworzenia

ognia. Raczej doceniliśmy, że nie jest w stanie tego zrobić.

Jego miejsce zajął, po kilku chwilach zwłoki, nieznan nam porucznik z jednego ze zmotoryzowanych pułków. Jego prawy rękaw był pusty - podobno stracił rękę pod Stalingradem. Miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, a na jego piersi lśniło mnóstwo gwiazd i wstążek. Znienawidziliśmy go od razu. Zdawało nam się, że się wtrąca i że nie ma prawa, by uczestniczyć w tej rytualnej kaźni. To był nasz ból, który dzieliliśmy z naszą ofiarą, a on nie ma nic do tego.

Porucznik albo zapomniał, albo celowo pominął tradycyjny zwyczaj „ostatniego papierosa”. Może było to mądre. Przedłużyłoby tylko agonię o kolejne dziesięć minut, nie spełniając żadnego praktycznego celu.

- Pierwsza grupa, w prawo, zwrot!

Wykonaliśmy manewr z automatyczną wojskową precyzją. Stary przyjrzał się nam krytycznie, nie znajdując jednak błędu. Staliśmy w perfekcyjnie prostej linii.

- Przed siebie, patrz!

Moje oczy same skierowały się instynktownie na punkt wyznaczający serce Heinza Bernera. Byłem gotowy wypełnić swój obowiązek.

W pokoju w „Czerwonym Huzarze” dwie pary oczu wpatrywały się w zegar. Za minutę piąta. Jeszcze jedna minuta.

Porucznik spojrzał spokojnie na zegar na więziennej wieży. Nieznaczny ruch luf karabinów Porty i Małego uszedł jego uwadze. Nawet gdyby go dostrzegł, to pewnie przypisałby to nerwom i trzęsącym się dłoniom. W każdym razie nie miało to znaczenia. Na cel ustawionych było dziesięć innych karabinów. Zegar wybił piątą. W powietrzu zabrzmiała komenda.

- Ognia!

Dwanaście strzałów zlało się w jeden dźwięk. Długi okrzyk zamienił się w ciszę i krew. Ciało Heinza Bernera zwisło bezwładnie. Był to koniec kolejnej egzekucji i wszystkie mewy odleciały nad morze.

Oczywiście wszystko skończyło się naszym przeniesieniem z Torgau z powrotem na linię frontu. To była wina Porty i Małego; ich i skazańca, któremu udało się uciec.

Podczas pospiesznego dochodzenia odkryto, że więzień użył narzędzi, które z całą pewnością dostarczone mu zostały z zewnątrz: nożyczki, nóż, pilnik. Wyłamał zamek w swojej celi i wydostał się na dach. Z dachu uciekł przez zewnętrzny mur przy pomocy mocnego więziennego sznura. Zaledwie trzy dni później miał zostać powieszony.

Mały i Porta, którzy byli wtedy na warcie - albo raczej powinni być na warcie - zostali natychmiast aresztowani i przesłuchani. Byli niezwykle uparci w swojej głupocie i absolutnie niezdolni do wyjaśnienia okoliczności ucieczki. Po czternastu dniach zbiega wciąż nie schwytano i niechętnie przerwano dochodzenie.

Pułkownik Vogel wyładował się na nas wszystkich. Nie było to przyjemne doświadczenie nawet dla takich twardych weteranów wojennych jak my.

Zanim zostaliśmy ostatecznie odesłani z Torgau, pułkownik przyszedł, by się zwyczajowo pożegnać. Uścisnął dłoń tylko jednemu z nas, a był to Mały. Porta przysięgał, że gdy pułkownik już się od nas odwrócił, na jego twarzy malował się uśmiech.

Rozdział 10

TIESTNANOYNA. Małe miasteczko nad Morzem Czarnym w pobliżu granicy rumuńskiej. Kiedyś musiało być pełne ludzi, sklepy wypełnione towarami na sprzedaż, równe alejki pobielonych domów skąpanych w słońcu. Teraz było opuszczone przez większość dawnych mieszkańców, zmienione w kupę ruin przez ciągłe bombardowania. Na początku wojny był to węzeł kolejowy, a przez centrum prowadziła główna droga na Velkov. Teraz było to zapomniane miejsce; miejsce bez znaczenia. Prawie jakby nigdy nie istniało. Pewnego dnia mieliśmy okazję, by wejść do jednego z pustych domów i zobaczyliśmy, z jakim panicznym pośpiechem musieli opuszczać miasto jego mieszkańcy. W zlewie wciąż były niepozmywane naczynia, stół w kuchni był nakryty i przygotowany na posiłek. Szafy pootwierane, niepościelone łóżka. W jednym z pokoi znaleźliśmy pojedynczego buta, leżącego smutno na środku dywanu. Na schodach potknęliśmy się o żółtego pluszowego misia. Staliśmy patrząc na niego przez chwilę, każdy na swój sposób wyobrażając sobie scenę rodzinnej ucieczki.

- Co za cholerna wojna! - Nie wytrzymał wreszcie Stary. - Nawet cholernych dzieciaków nie mogą zostawić w spokoju!

- Niby czemu? - Spytał Mały, przybierając maskę cynika, by ukryć własne emocje. - Kto ma z nich jakiś pożytek? Nie mogą strzelać z broni czy prowadzić czołgu. Z pogardą kopnął misia, który przeleciał przez barierki i wylądował głucho na dole. - Kto się przejmuje tym, co się stanie z jakąś bandą szczeniaków?

To był pierwszy raz, gdy zobaczyłem, jak Stary traci kontrolę nad sobą. Odwrócił się gwałtownie do Małego, jego dłoń spoczęła na rękojeści pistoletu.

- Zamknij swój wredny pysk! Mówię ci teraz, że jeśli kiedykolwiek cię złapię, jak robisz coś dziecku, to cię zabiję! Bóg mi świadkiem, że cię zabiję!

Rzucając tę groźbę, Stary zbiegł ze schodów i wyszedł wzburzony na zewnątrz. Mały odwrócił się do nas z szeroko otwartymi i zdziwionymi oczami.

- Co go ugryzło?

- Myślę, że trafiłeś w jego czułe miejsce - mruknął Porta.

- Ale on wie, że nigdy bym nie dotknął dzieciaka! - Wrzasnął Mały.

Porta wrzucił obojętnie ramionami. Wszyscy mieliśmy swoje momenty wściekłości lub paniki; kompletnej utraty samokontroli. Przydarzyło się to każdemu z nas, a teraz przyszła kolej na Starego. Mały wiedział o tym tak jak każdy, ale i tak atak Starego go zabolął.

- Jestem ostatnią osobą, która by skrzywdziła dzieciaka... TY o tym wiesz! Ile razy pakowałem się w kłopoty po to tylko, żeby jakiemuś pomóc? A ten dzieciak w Ługańsku? A ten transport w Majdanku? Kto ryzykował życiem strzelając do strażników, żeby tylko szczeniaki mogły prysnąć? A co - wspominał z zadowoleniem - z tym esesmanem, którym nakarmiłem psy?

Wszyscy się skrzywili na samo wspomnienie tego incydentu.

- No, wtedy już przesadziłeś - sprzeciwił się Porta. - Powiedziałem to wtedy, mówię i teraz.

Tamtej nocy w Polsce nigdy nie zapomnimy. W towarzystwie dziewięciu polskich partyzantów trafiliśmy nieoczekiwanie na transport żydowskich dzieci, odebranych rodzicom, wyciągniętych z domów, wiezionych Bóg wie gdzie i Bóg wie po co. Mały strasznie się wściekł i jeden z partyzantów, przerażony jego zachowaniem, podjął daremny wysiłek uspokojenia go. Poinformował nas jak jakiś waśniak, że jest polskim oficerem, wyciągając na dowód fotografię siebie w mundurze. My z kolei poinformowaliśmy go, nie zadając sobie specjalnego trudu, by przedstawić jakieś dowody, że jesteśmy generałami armii niemieckiej. Prawie na pewno w to nie uwierzył, wrzucił ramionami i prysnął do lasu, a z nim sześciu innych partyzantów i te dzieci, którym udało się uciec. Pozwoliło nam to zająć się w spokoju oficerem SS, którego Mały zastrzelił. Dwóch partyzantów także zostało. Nie jestem pewien, czy to nie od nich pochodził pomysł wyrwania trupowi serca, ale tak czy inaczej Mały i partyzanci zabrali się z wigorem do pracy, a my staliśmy patrząc przerażeni i jednocześnie niezaprzeczalnie zafascynowani. Kiedy skończyli, powiesili zbezczeszczone zwłoki za kostki na gałęzi drzewa. Mały zawsze twierdził, że serce zostało zjedzone przez lokalne psy i może miał rację.

W opuszczonym miasteczku znaleźliśmy opuszczoną willę i zajęliśmy ją na nasze tymczasowe koszary. Była wspaniała, położona wysoko na wzgórzu z widokiem na Morze Czarne. Pierwsze i drugie piętro roziło się od sypialni, musiały być ich tuziny, wszystkie w różu lub błękicie, bardzo frywolne i kobiece, pełne dużych i bogatych luster. Zainstalowaliśmy się w salonie na dole, rozwalając się na fotelach i sofach, nasze ciężkie wojskowe buty gniotące puszyste pastelowe dywany i zostawiające na nich czarne ślady.

- Niech Bóg ma w opiece Rumunię! - Krzyknął Mały, podniecony subtelnymi zapachami i koronkową bielizną, której pełno było w domu. - Chyba tu zostanę!

Porta przetoczył się przez pokój i otworzył francuskie okna na taras wychodzący na niezwykle niebieską taflę wody tak zwanego Morza Czarnego. Gdzieś daleko trwała wojna; ale nas na moment to nie obchodziło.

Później, tego samego dnia, Mały, snując się po domu, natknął się na niezwykle grubą kobietę, która wyciągała z szafy jakieś rzeczy. Jak sam się przyznał, cholernie się przestraszył, ale szybko doszedł do siebie i wezwał nas na pomoc. Kiedy przybyliśmy, on i kobieta siłowali się ze sobą w milczeniu. Trudno było powiedzieć, kto wygrywa.

- Co tu się dzieje? - Zapytał Stary. - Kto to jest? Czego tu chce?

Sapiąc i dysząc, kobieta kopnęła Małego w goleń. Wyjąc z bólu, Mały zacisnął swoje potężne dłonie na jej szyi.

- Puść ją! - Rozkazał Stary robiąc krok do przodu.

Niechętnie Mały rozluźnił swój zacisk. Grubaska wpadła do szafy, jej obfity biust unosił się i drżał.

- Kim jesteś? - Powtórzył Stary. - I czego tu chcesz?

- Przyszłam po pewne rzeczy. Ja tu nie mieszkam, ale ten dom należy do mnie. - Potrzebuję trochę więcej pościeli... Moja rodzina ma tyfus. Na dźwięk tego słowa instynktownie zrobiliśmy krok w tył. Kobieta wykorzystała okazję. Mruczając przeprosiny, wzięła stertę prześcieradeł oraz koców i wyszła. Legionista obserwował jej odejście czujnym wzrokiem.

- Jest coś nie tak z tą kupą chodzącego tłuszczu.

- Myślisz, że to kurwa? - Spytał Mały ochoczo.

- Raczej burdelmama. Znam ten typ... Chodźmy się jej lepiej przyjrzeć. Legionista założył swoją czapkę, uzbroił się w pistolet i nóż, który wsunął sobie do buta, i ruszył w kierunku drzwi.

- Ktoś idzie ze mną?

Nikt z nas nie był raczej zainteresowany kobietą - oprócz Małego, ale jego nawet końmi nie można by było teraz wyciągnąć z willi. Podczas samotnej włączki po mieście znalazł masę zapasów zgromadzonych w opuszczonej Komendanturze i teraz jego pokój w willi mógłby wytrzymać roczne oblężenie. Cygara były ułożone wysoko na stoliku obok łóżka. Cały pułk butelek maszerował wzdłuż ścian, whisky, wódka, francuski koniak. Zaprosił nas, byśmy podziwiali jego dzieło i żebyśmy brali, co chcemy, w granicach rozsądku oczywiście.

- A to co? - Spytał Barcelona, podnosząc duży porcelanowy garnek stojący przy łóżku.

- To mój nocnik - powiedział Mały, wrywając mu go zazdrośnie. - Różowe i niebieskie kwiatki i złote amorki... Myślę, że to bardzo pasuje i mogę go wylewać prosto do morza, jak się zapełni.

- Co stanie się już wkrótce - mruknął Barcelona spoglądając na zbiór butelek.

Wkrótce wrócił Legionista pełen dobrego humoru i kipiący nowinami. Zainstalował się w sypialni Małego, siadając po turecku na łóżku z butelką koniaku w jednej i z cygarem w drugiej dłoni. Tylko on i Stary lubili cygara, ale każdy z nas zdecydował się wypalić choć jedno dla towarzystwa. Heide już dwukrotnie rzygał, ale było to raczej spowodowane butelką wódki niż cygarami.

- No i? - Zapytaliśmy wszyscy. - Czego się dowiedziałeś?

Legionista roześmiał się triumfalnie i wlał w siebie prawie pół butelki koniaku bez zmrużenia oka.

- Czy wiecie, co to za miejsce?

- Nie - odpowiedział Mały brzmiąc jak komik kabaretowy. - Co to za miejsce?

- Będziecie bardzo zadowoleni, jak się dowiecie - powiedział Legionista z roześmianą miną.

- Streszczaj się! - Pogonił go Mały.

- No dobra. Ujmując rzecz krótko - jak wszystko jest normalne, to nad naszymi frontowymi drzwiami pali się czerwone światełko.

Ci z nas, którzy akurat pili, prawie zakrzusili się na śmierć; twarze tych, którzy palili, stały się niebieskie. Mały był zbyt zszokowany, żeby wykrztusić choć słowo.

- Masz na myśli, że mieszkamy w burdelu? - Wyszeptał Porta, nie mogąc uwierzyć w tak dobrą wiadomość.

- Jesteśmy dokładnie w domu publicznym - zapewnił go Legionista z lekko współczującym uśmiechem. Legionista niezbyt przepadał za takimi miejscami.

- Ale gdzie są wszystkie kobiety?

- Kobiety!

- Mały wydał nagle głośny okrzyk zadowolenia. Na naszych zdumionych oczach wykonał szybki striptiz, zostawiając na sobie tylko buty, pas z kaburą i stary melonik. - Nie będę tego potrzebował przez długi, długi czas - oświadczył wrzucając mundur do szafy.

- A co z butami? - Spytał Stary lekko zde gustowany.

- Pozbyć się majtek to jedno. Łazić bez butów to inna para kaloszy. Bądź gotowy, to moje motto. Tak czy inaczej - machnął ręką wskazując na swój strój lub jego brak - jestem teraz gotowy na każdą ewentualność.

Porta także przygotowywał się energicznie do nadchodzących wydarzeń. Jego ciuchy powędrowały do szafy w ślad za rzeczami Małego i paradował teraz przed nami nago, wrzeszcząc jak demon i waląc głośno w podłogę swymi buciorami.

- Ubrani do akcji! Gdzie są kurwy? Gdzie jest burdelmama?

- Już poznaliście tę damę - powiedział rozbawiony Legionista. - Mieszka na tej ulicy, w domu, przy którym ten wygląda na schron przeciwlotniczy. Ona jest śmierdzącą starą maciorą, która każdego dnia oblewa się litrami perfum, by zakryć smród swojego potu i uniknąć konieczności mycia. Ale muszę przyznać, że miejsce, które prowadzi, zdecydowanie warte byłoby wizyty, dla tych, oczywiście, którzy lubią te rzeczy. Mały przekręcił głowę.

- Byłoby? Jak to, BYŁOBY?

- I tu macie pecha - wyznał Legionista z westchnieniem. - Maciora twierdzi, że wszystkie dziewczynki dały nogę, gdyż sądziły, że nadchodzi wujek Stalin... Prysły gdzieś na zachód i teraz pewnie dają dupy w jakimś miejscu, w którym jest większe zapotrzebowanie na ich usługi niż tu.

Mały wrzasnął w desperacji i opadł na sofę.

- Nie ma miejsca, gdzie zapotrzebowanie na ich usługi jest większe niż tu! - Zadeklarował gniewnie Barcelona. - Jestem tak napalony, że przeleciałbym cokolwiek!

- To może starą maciorę? - Zastanawiał się Porta. - Lepsze to niż nic.

Legionista potrząsnął głową.

- Nie radzę. Pewnie ma dziurę jak stodoła... Jak się zgubisz w środku, to nie znajdziesz wyjścia.

- Mnie teraz tylko wejście obchodzi! - Odparował Porta.

- Jak sobie życzysz - stwierdził Legionista, wzruszając ramionami. - Sądzę, że ona nie będzie miała nic przeciwko... Ma na imię Olga - dodał, wymawiając jej imię z wyraźnym niesmakiem.

- Olga - powiedział Mały, testując brzmienie imienia. - Nie mogę powiedzieć, że mam ochotę na kogoś, kto ma na imię Olga.

- A ja bym zerznął wszystko - od Olgi po butelkę od mleka - oświadczył Barcelona.

- Czemu jej tu nie przyprowadziłeś, na Boga?

- Zaczekajcie chwilę. - Porta odwrócił się do nas z powagą. - Nie sądzicie przypadkiem, że ta stara kurwa robi nas w jajo?

- Niby jak?

- No - mówiąc nam, że dziewczynki spierdoliły, tylko dlatego, że jej się nie podoba, jak wyglądamy. Nie jesteśmy jakimiś ślicznymi żołnierzami, nie?

- To jest możliwe. Ale gdzie, do diabła, mogłaby je schować?

- Gdziekolwiek to jest, już ja je znajdę! - Obiecał Mały.

- A jeśli stara rura nas okłamała, to pożałuje.

- Nie rób nic głupiego - błagał Stary. - Taka baba musi mieć niezłe układy z policją.

Jak ją zaczniesz walić po łbie, to napytasz sobie biedy.

- Gównu, dupa - powiedział Porta. Porwał swoje spodnie i szybko się w nie wcisnął. - Chodźcie, pogadamy sobie z nią.

Z Legionistą na czele ruszyliśmy w kierunku domu Madame Olgi. W zamieszaniu i podnieceniu Mały kompletnie zapomniał o swoim braku odzieży. Teraz nic by go nie powstrzymało od opuszczenia willi. Pozostawił swój skarbiec cygar i alkoholu, ruszając na poszukiwania nieuchwytnych prostytutek. Sunął więc nago ulicą, a my mu dopingowaliśmy.

- To tu.

Legionista skręcił w bramę prowadzącą do eklektycznej, śnieżnobiałej willi, która zdawała się być zawieszona w powietrzu jak weselny tort na chmurce z kwiatów. Legionista wprowadził nas dziarsko, ignorując napis na drzwiach proszący o stukanie przed wejściem. Wmaszerowaliśmy sześciu obok siebie, potężnym holem wykładanym marmurem, prosto do salonu, gdzie Madame Olga siedziała przy eleganckim biurku, jej biust wypięty był jak fale przyływu. Na dźwięk naszych kroków odwróciła się zaniepokojona. Musieliśmy sprawiać wrażenie, jakby maszerowała cała armia w tym wielkim pomieszczeniu.

- Czego chcecie? - Powiedziała i dostrzegłem, że pod jej gęstym makijażem jak trądzik pojawiły się wielkie krople potu.

- *Mamma mia!* - Westchnął Porta, gapiąc się w zdumieniu na jej tłuste ciało, które w tym luksusowym wnętrzu wydawało się jeszcze potężniejsze. - Tyle sadła, że można by wyżywić przez miesiąc cały pułk!

Madame Olga była ubrana w kilka warstw różu, więc nie dało się zobaczyć, czy zbladła, ale można to było wyczuć.

- Pytałam was - powtórzyła - czego chcecie?

- Dziewczynek - powiedział Mały szorstko.

- Dziewczynek? Jakich dziewczynek? Jeśli macie na myśli moje dziewczęta, to obawiam się, że ich tutaj nie ma. Była wyraźnie wzburzona.

Nikt z nas nie wierzył w ani jedno jej słowo.

- Poczekaj aż przyjdzie Iwan - powiedział Mały groźnie. - Oni nie będą tacy mili i grzeczni, zobaczysz. My się domagamy, a oni po prostu sobie wezmą.

- Drogi młody człowieku, czyżbyś postradał zmysły? Tutaj nie ma NIC do zabierania.

Mały zrobił tylko jeden krok w jej stronę z pięścią uniesioną do ciosu. Madame Olga cofała się krzycząc.

- Jeszcze raz skłamię, ty stara kupo gówna...

- Zostaw ją, Mały. Sądzę, że chce coś nam powiedzieć.

Legionista położył rękę na ramieniu Małego i Olga przesłała mu odpychający uśmiech pełen żółtych zębów i przymilnych spojrzeń.

- Bardzo dziękuję, panie obergefreiter. Myślę, że może pan i ja...

Madame Olga przerwała gwałtownie na odgłos trzaskających drzwi i kolejnych armii maszerujących jej holem. Stała przed nami całkowicie przerażona. Odwróciliśmy się w kierunku drzwi, by się bronić, ale nie było takiej potrzeby. Żołnierze, którzy wdarli się do pokoju, byli Rumunami, a obiektem ich zainteresowania była wyłącznie Olga. Podeszli do niej od razu, krzycząc gniewnie, podnieśli ją i zaczęli przerzucać między sobą. Olga poszybowała najpierw w górę, waląc głową w sufit; potem na podłogę, lądując ciężko na swym gigantycznym tyłku przy kominku. Jej krzyk mieszał się zgrzytliwie z wrzaskami Rumunów. Porta wyjął swój flet i zaczął tańczyć na obrzeżach kotłowaniny. Stary przyglądał się temu marszcząc brwi, a my dolewaliśmy oliwy do ognia krzycząc „Brawo!”, kiedy Olga trafiała w sufit, i „Buuu!”, gdy spadała na podłogę.

- To cię nauczy, stara szmato! - Darł się rumuński kapral, gdy w końcu dali jej spokój, zostawiając ją w potoku łez i czarnych jedwabnych halek na środku dywanu. - Ostrzegałem cię, że tu wrócimy!

- Po co przyszliście? - Spytał Legionista z ciekawością.

- Po to samo co i wy! A po cóż jeszcze?

- Tak się tylko zastanawiałem.

- Rosjanie już wracają. Naszym obowiązkiem jest obrona tego miejsca... Ale musiałbym być pierdolnięty, żeby bronić burdelu bez kurew! Gdzie one są, ty ohydna stara kurwo, obmierzła, zasrana kiło? Gdzie???

Rzucili się na nią ponownie. Mały znalazł jakąś niedźwiedzią skórę i zaczął się w nią szybko zawijać. Rzucił się w tłum, gryząc i drapiąc nogi kobiety. Heide i Porta także dołączyli do kłębowiska. Wkrótce Madame Olga była ciągnięta po całym domu, na górę i w dół, raz za włosy, raz za ramiona, raz za nogi. Mały tańczył dziko za tłuszczą ze skórą niedźwiedzia powiewającą u pasa. Meble były przewracane, porcelana bita, a cały ten kocioł mógł być słyszalny na kilka kilometrów i pewnie zresztą słyszeli go nawet zbliżający się Rosjanie. Kiedy już znudzili się zabawą, wrzucili nieszczęsną kobietę pod fortepian by nie była na widoku i wydawało mi się, że jest już bardziej martwa niż żywa. Nie, żebym w jakiś sposób jej żałował, to nie był rodzaj kobiety, dla której czuje się litość; ale i tak wydawało się to trochę barbarzyństwem.

Mały znalazł gdzieś w okolicy kuchni dużą beczkę piwa. On i rumuński szeregowy wtoczyli ją do salonu, zmiotli ze stołu kolekcję cennych kryształów, ustawili tam beczkę i

odkręcili kurek.

- Tylko testuję - wyjaśnił Mały, gdy strumień brązowego płynu chlusnął pod ciśnieniem na dywan. Piliśmy z wazonów i mis do owoców, ale wszyscy uznali to za słabiznę w porównaniu do zbioru alkoholi w sypialni Małego.

- Spróbujcie tylko tego! - Krzyknął jeden z Rumunów, wchodząc do pokoju objuczony stertą butelek.

Czerwone i białe wino, wódka, koniak i gin zostały wlane do piwa, a całość mocno wstrząśnięta. W ciągu tego radosnego zamieszania Madame Olga bezmyślnie odzyskała przytomność i zaczęła się wyczołgiwać spod pianina. Horda natychmiast rzuciła się na nią ponownie. Rumuński sierżant upadł przy niej i zaczął szczekać jak pies. Ktoś inny zebrał garść pierza z rozdartej poduszki i próbował wcisnąć jej do ust i nosa, ale tak szybko jak jej to wepchnął, tak szybko ona kichała tym z powrotem. Heide wlał jej cały wazon piwa za sukienkę, a Mały siedział w swojej skórze na jej nogach, czkając i warcząc na przemian.

- Gdzie są dziewczynki? - Domagał się rumuński sierżant, nagle przestając już być szczekającym psem. - Gdzie one są, ty wredna zjełczała słonino?

Madame Olga potrząsnęła swą zmaltretowaną, zakrwawioną głową.

- Zlitujcie się nade mną - zapiszczała. - Nie ma ich tutaj. Są w drodze do Sabiny.

- Sabiny? Po co pojechały do Sabiny?

- Bo się was bały.

Rumuni popatrzyli po sobie, ewidentnie niepewni czy wierzyć jej słowom. Porta nie miał takiego problemu. Przetoczył się przez pokój stając groźnie nad jej ciałem, które wciąż leżało bezwładnie na podłodze.

- Koniec z twoimi kłamstwami, stara ropucho! Gdzie je ukryłaś?

Madame Olga zaczęła płakać, a zwały jej tłuszczu unosiły się i opadały na przemian.

- Pojechały do Konstancy...

- Tak? Teraz do Konstancy, co? Myślałem że do Sabiny?

- Nie, nie. Do Konstancy. Tak im rozkazano. Nie miały wyboru.

- Ty stara, kłamliwa zdziro! - Rozdarł się Porta, uderzając nogą o centymetr od jej twarzy. - Lepiej je tu cofnij i to zaraz!

Mały ściągnął swoją skórę i zaczął nią okładać Olgę. Rumuni mruczeli coś buntowniczo między sobą. Heide porwał nóż Legionisty i przyłożył go do gardła kobiety.

- Słuchaj, ty nędzna kupo gówna, albo nam powiesz, gdzie są te twoje dziewczynki, albo poderżnę ci to pierdolone gardło od ucha do ucha... A więc? GDZIE ONE SĄ?

Gdyby nie to, że w tym właśnie momencie na jeden z kwietników na zewnątrz nie

wjechały dwie ciężarówki, to Heide pewnie spełniłby swoją groźbę. Teraz jednak powstrzymał go pisk hamulców i trzask zamykanych drzwi i tak jak my wszyscy rzucił się do drzwi wejściowych.

- Chyba oszaleję! - Piszczal Porta. Chwycił mnie w talii i zaczął tańczyć w holu. - Czy widzisz to, co ja widzę? Chyba oszaleję!

- Ja też to widzę! - Wykrztusiłem z siebie, próbując się go pozbyć.

Mały był najwyraźniej kolejnym, który dostrzegł tę wizję.

- To kurwy! - Krzyczał na cały głos. - Całe dwie ciężarówki!

Rumuński sierżant machnął ręką nad głową, wrzeszcząc coś we własnym języku. Krzyząc ze szczęścia, jego ludzie pobiegli za nim ścieżką w kierunku samochodów. Mały i Porta ruszyli w ślad za nimi. Mały miał lekki problem ze swą niedźwiedzią skórą. Stary usiadł obok Legionisty na oknie i zaczął spokojnie skręcać papierosa.

- Niech Bóg nas chroni przed Rosjanami dziś wieczorem - mruknął. - Możemy z nimi walczyć po pijaku lub na trzeźwo... Ale jak, do diabła, mamy walczyć, gdy będziemy ruhać?

Legionista wzruszył ramionami.

- A kogo to, kurwa, obchodzi? - Powiedział. - Ja bym się tym zbytnio nie przejmował.

Z ogrodu dochodziły piski dziewczyn i przekleństwa Rumunów. Mały galopował dookoła całej gromady, usiłując bezskutecznie schwytać kogoś na łąso ze swojej niedźwiedziej skóry. Porta wprowadził całą hałastrę do środka. Patrzyliśmy w zdumieniu, jak z trzaskiem otwierają się podwójne drzwi wejściowe i tanecznym krokiem wtacza się Porta, grając na swoim flecie jak bohater dziecięcych bajek. Tyle tylko, że zamiast dzieci prowadził kurwy. Kilka tuzinów kurew. Niektóre były w pełni ubrane; inne, czy to z wyboru, czy też dlatego, że zostały zmuszone, miały na sobie tylko majtki i staniki. Mały porzucił swoją skórę jako zbędny dodatek, a Porta pozbył się spodni gdzieś wśród kwiatów na zewnątrz. Barcelona wykonał striptiz w takim tempie, że byłem pod wielkim wrażeniem. Heide wyrzucił swoje spodnie przez otwarte okno, gdzie porwał je wiatr i zawiesił na słupie ulicznym. Przez kilka sekund powiewały tam odważnie na wietrze obok niemieckiej flagi, po czym powoli opadły na ziemię. Jakiś czas później zostały znalezione przez głodną świnię, która wałęsała się po ulicach w poszukiwaniu pożywienia. Skonsumowała je całkowicie, będąc najwyraźniej z tego faktu zadowolona, choć wtedy już Heide dawno przekroczył punkt, w którym martwiłby się stratą pary spodni.

Barcelona dzielił sofę z parą dziewczyn i rumuńskim żołnierzem. Wydawali się być mieszaniną rąk i nóg jeszcze nie podzieloną na dwie różne pary. Ktoś krzyknął z góry, że Steiner wpadł do wanny z wodą. Sprowadzono go na dół do zabawy w salonie, całkowicie

mokrego i na wpół utopionego, ale szybko doszedł do siebie, gdy dano mu do ręki pół butelki wódki, a już kilka sekund później ruszył w pogoń za pewną Greczynką. Oboje wyskoczyli przez okno i Steiner na długo zniknął wszystkim z oczu. Madame Olga odczołgała się w róg pokoju i teraz siedziała, trzęsąc się, na krawędzi krzesła. Legionista podszedł do niej roześmiany, pełen szczęścia i dobrej woli.

- To naprawdę bardzo miłe z pani strony, Madame, że pozwala nam na swobodne skorzystanie ze swojego domu. Wspaniałe miejsce na dobrą zabawę. Beknął, szybko zakrywając sobie usta ręką i spoglądając na nią zza dłoni. Najmocniej przepraszam, Madame.

Madame Olga obdarzyła go łaskawym uśmiechem.

- Pan przynajmniej jest dżentelmenem. Przypuszczam, że Francuz?

Dokładnie tak, Madame. Jestem kapralem Francuskiej Legii Cudzoziemskiej... Caporal? La Legion etrangere. A votre service, Madame.

- Spójrz tylko na to! - Mały szturchnął Portę w żebra, wskazując głową na Legionistę.
- Jesteśmy faktycznie w miejscu z klasą...

Porta nie przejawiał zainteresowania. Był zbyt zajęty zapasami ze stawiającą opór jugosłowiańską dziwką. Mały wzruszył ramionami, zacisnął pas na swoim nagim ciele i rzucił się w pościg za smakowitą blondyneczką, ubraną w łososiowe majtki wykończone zieloną koronką i jaskrawo czerwony pas do pończoch. Uciekając zderzyła się czołowo w drzwiach z rumuńskim kapralem wnoszącym na tacy kieliszki z drinkami. Kieliszki i ich zawartość pofrunęły pod sufit. Blondyna upadła chichocząc głupkowato, a Mały zwałił się prosto na nią. Rumun przeklął soczyście. Jedna z dziewcząt - Ania z Hanoweru, takie imię podała - przysunęła się do mnie i objąłem ją ramieniem.

- Nie wiem, skąd wy chłopcy jesteście - zamruczała - ale to ciekawa zmiana!

- Ciesz się, że to nie Rosjanie dotarli tu pierwsi - powiedziałem.

Porta przemknął obok ze swoją Jugosłowianką. Przetoczyli się przez cały pokój i gdy znowu pojawili się w mym polu widzenia, Jugosłowianka już się tak nie opierała. Porta trzymał ją, niezbyt delikatnie, za biust. Dziewczyna nie okazywała jakiegoś specjalnego niezadowolenia z tego powodu.

- Cześć Sven! - Zatrzymali się przed grupą złożoną ze Starego, mnie i Ani z Hanoweru. - Wciąż zamierzasz spisać swoje wspomnienia po wojnie? W to, co tu się dzieje, chyba nikt ci nie uwierzy! - Odwrócił się do swojej dziewczyny i wypiął pierś. - Chcesz posłuchać o niektórych rzeczach, które robiliśmy? - Zaczął wyliczać na palcach.

Przeszliśmy przez Wołgę, pływaliliśmy w Morzu Śródziemnym, szliśmy po lodzie w Zatoce Botnickiej. Byliśmy wszędzie i wszystko robiliśmy... Raz się tak upiliśmy, że przez

kilka tygodni leczyliśmy kaca... Możemy skakać na spadochronach, możemy wysadzać mosty, możemy prowadzić czołgi albo pociągi, możemy kraść i zabijać, szpiegować i fałszować dokumenty. Wymień coś, a na pewno to robiliśmy... Raz się kąpałem w szampanie... Co o tym sądzisz?

- Niewiele - powiedział Stary. - A powinienem?

- Odpierdol się! - Stwierdził Porta. - Nie mówiłem do ciebie.

Odwrócił się i pociągnął swoją dziewczynę w kierunku pianina, gdzie zdegradowany i zhańbiony rumuński porucznik grał muzykę swego kraju. Grał wolno i marzycielsko, bez wątplenia widząc się w przedwojennej Rumunii, mając na sobie swój oficcerski mundur i grając w eleganckim salonie dla równych sobie stopniem i ich dam. W jego muzyce słychać było odgłosy końskich kopyt na kamienistych ścieżkach, skrzypienia skóry, dzwoneczki; trąbki i nawoływania; pluton ślicznych błękitnych huzarów galopujących w kierunku jeziora... Zamiast tego biedak siedział rozczarowany w zniszczonym salonie, otoczony przez niższych stopniem twardzieli, którzy myśleli tylko o chlaniu i seksie. Eksporucznik zaczął śpiewać smutnym głosem. Poruszająca, nostalgiczna piosenka o miłości. Mały zatoczył się do fortepianu i włączył do środka wazon, diabli wiedzą czego.

- Ej ty! - Pochylił się do przodu i wykrzywił usta w cynicznym grymasie, jego twarz zaledwie kilka centymetrów od Rumuna. - Jesteś teraz jednym z nas, chłopie. Byłeś sobie porucznikiem, ale już nie jesteś. Jesteś jednym z nas - a my mamy w dupie takie gówna, które grasz. Daj nam coś co skumamy, kapujesz? Porucznik uśmiechnął się lekko i raczej szydęrczo.

- Coś, co skumacie? Masz na myśli cycki, dupy i tym podobne?

- O właśnie, coś w tym stylu - zgodził się ochotczo Mały.

Porucznik pokiwał tylko głową. Barcelona zatoczył się na niego. Był totalnie zalany.

- Mój drogi poruczniku - mój kochany, najdroższy poruczniku - chciałbym zżzebyś zaszpiewał piosenke o żżżmierci. Oparł się o Małego i sam spróbował kliknąć kilka razy w klawiaturę, po czym zaczął zawodzić swoją piosenkę.

Działa zawodzą już swą ostatnią modlitwę,

Przyjdź słodka śmierci,

Skończ już tę gonitwę.

Odrzucił w tył głowę i roześmiał się długo i chrapliwie. Przez moment spoglądał mętnym wzrokiem na posrebrzone morze, przez które przebijały promienie zachodzącego

słońca. Zmarszczył czoło.

- Słyszeliście to?

W pokoju zapadła chwilowa cisza. W oddali usłyszeliśmy odległe salwy ciężkiej artylerii.

- Stukają do drzwi - powiedział Barcelona poważnie.

- Bum-bum, wpuścić mnie... A co nas to obchodzi? Mówię wam: mamy ich wszystkich głęboko w dupie! Jutro umrzemy! A w międzyczasie pieprzcie się i radujcie!

Barcelona zwałił się na podłogę. Mały przeszedł nad nim spokojnie, zanurzył głowę w dużej donicy wypełnionej piwem i wódką i napił się głęboko jak koń. Odwrócił się i splunął w kierunku Madame Olgi, a gdy ta bezczelnie zaprotestowała, zdjął ze ściany duży portret Adolfa Hitlera i nabił go jej na głowę. Zawisł na jej ramionach jak staromodny kołnierz.

- To - zadeklarował Mały - jest właściwe miejsce dla obscenicznych obrazów. Nie wiedziałaś, że prawo zakazuje trzymać w domu pornografię?

- Pójdzie do piekła razem z Führerem i całą resztą tych śmieci - stwierdził Porta, beznamiętnie wylewając jej na głowę butelkę koniaku.

- Czy nie chciałbyś pójść ze mną na górę? - Spytała Madame Olga słodkim tonem. Nikt nam tam nie będzie przeszkadzał...

- Kto by chciał gdziekolwiek z Tobą iść, stara raszplu? Uważaj lepiej na to, co do mnie mówisz. - Porta stanął na baczność. - Ja, Madame, jestem kręgosłupem armii. Odszedł zataczając się i zostawiając Madame Olgę z Hitlerem na szyi.

- Już nie mogę na ciebie patrzeć - powiedział Mały. - W tym pierdolonym pokoju jest za widno.

Wyciągnął rękę i wyrwał żarówkę z oprawy. Z triumfalnym okrzykiem wyrzucił ją przez okno na taras. Na moment wybuchła panika. Ktoś krzyknął, że nadeszli Rosjanie. Dziewczęta zaczęły krzyczeć i biegać dookoła, jeden z Rumunów wyciągnął swój rewolwer i bez specjalnego powodu strzelił ośmiokrotnie w podłogę. Mały zwijał się ze śmiechu. Porucznik grał na fortepianie, Barcelona leżał na podłodze i śpiewał o śmierci. W środku całego tego zamieszania Madame Olga odkryła, że znikła jej niedźwiedzia skóra. Zerwała Hitlera z szyi, stanęła na nogach i zaczęła walić Małego pięściami w klatkę.

- Gdzie jest mój chodnik? Mój chodnik z niedźwiedziej skóry? Co z nim zrobiłeś, ty złodzieju? Dostałam ten chodnik od chińskiego żołnierza!

- A TERAZ podciera nim sobie dupę niemiecki żołnierz! - Wrzasnął Mały, uderzając ją mocno w tłusty tyłek. - Zamknij się rurowo, bo cię zamknę w szafie.

Madame Olga odpuściła, zagryzając wargi. Była rzeczywiście starą krową, ale z

pewnością jej sytuacja zasługiwała na odrobinę sympatii.

Bała się strasznie, że dziewczyny zbyt się upiją i zaczną za dużo gadać. Madame Olga miała swoje ciemne sekrety, jak ma je każdy z nas. I nie uszedł jej uwadze fakt, że na naszych lewych ramionach nosiliśmy czarną tasiemkę z dwoma trupimi czaszkami i napisem „Sonderabteilung”; pułk śmierci. Pułk złożony z ekswieźniów, złodziei, zabójców, rewolucjonistów, przestępców przeciw państwu; desperatów, którym dano do wyboru pierwszą linię frontu lub pluton egzekucyjny i którzy wybrali front jako ostatnią, choć bardzo nikłą szansę. Żaden z nas nie dbał o konwenanse. Jak moglibyśmy po tym, co przeżyliśmy i po tym, co widzieliśmy? Byliśmy jednymi z najlepszych żołnierzy na świecie, ale byliśmy też niedyscyplinowaną bandą: grupą chuliganów, którzy napawali strachem swoich wrogów i właściwie każdego, kogo spotkaliśmy na swej drodze.

Olga stała trzęsąc się i wpatrując w Małego. Czy to możliwe, żeby Mały był tylko takim samym mężczyzną jak inni? Czy można było uwierzyć, że ten obleśny, zadowolony z siebie potwór miał kiedyś rodzinę, ojca, matkę? Że miał te same emocje co inni ludzie? Już czterokrotnie tego wieczora straszył, że ją udusi. Gdyby odkrył jej sekret, to z pewnością by to zrobił. Mógłby udusić słonia tymi gigantycznymi owłosionymi łapskami. Olga zdecydowała, że będzie prowadzić politykę pojednania i uśmiechnęła się słodko. Heine, który przechodził obok, zatrzymał się i spojrzał uważniej.

- Och, jak czarująco! - Powiedział.

Madame Olga odwróciła się momentalnie i uśmiechnęła do niego. Heide chwycił Małego za łokieć.

- Ciekawe jak stara beka wyglądałaby na golasa? Ściągnijmy z niej te ła chy i popatrzmy.

Drobna, ciemna dziewczyna, siedząca na szafie, na której wcześniej zaparkował ją Mały, usłyszała sugestię Heidego.

- Lepiej ją obwiążcie w niedźwiedzią skórę - doradziła. - Wygląda ohydnie bez ciuchów.

Olga spojrzała na dziewczynę i zadrżały jej usta. Droga Nelly. Droga mała Nelly z Belgii. Była głupia, że ją zostawiła. Powinna się jej pozbyć już miesiące temu. Olga przesłała dziewczynie udawany uśmiech.

- Nie krzycz tak dziecko. Nikt nie jest zainteresowany tym, co masz do powiedzenia.

- Czyżby? - Pisnęła dziewczyna. - Nie liczyłabym na to.

- Zeskoczyła z szafy, podbiegła do Małego i wyszeptala mu coś do ucha. Mały zaniósł się tubalnym śmiechem. - Naprawdę? Ściągaj gacie, starucho, ale już! Zawsze chciałem

zobaczyć taką dupę jak twoja... Ściągaj, ściągaj! A teraz... Przed Państwem... Najgrubsza dupa na świecie!!!

Wszyscy podchwycili okrzyk. Ludzie schodzili się z najdalszych zakątków pokoju, by zobaczyć na własne oczy nagi tyłek Madame Olgi. Ta, zapominając o polityce pojednania, walczyła jak dzika kotka. Nikt nie sądził, że w takim starym grubym cielsku jest tyle ducha. Dorównywała w walce Małemu. Porucznik grał na fortepianie żywe melodie, a tłum stał, raz dopingując, to znów wyzywając. Nagle Madame Olga wyleciała w powietrze i spadła nam na głowy. Ktoś wrzasnął wściekle, podniósł ją i rzucił z mocą przez tłum. Przeleciała przez pokój jak rakieta, przewracając po drodze Juliusa Heide, dwie dziewczyny i trzy krzesła. W końcu zatrzymała się na fortepianie, obok Barcelony, który uśmiechnął się do niej pijacko... Porucznik bez chwili wahania zaczął grać walca.

Po chwili tłum zaczął się rozchodzić. Mały i Ania z Hanoweru siedzieli w kucki, grając w kości z kilkoma Rumunami. Ania miała na szyi żeglarski kołnierz zamiast biustonosza. Od pewnego czasu z drugiego krańca pokoju przyglądał jej się zdenerwowany Profesor. W końcu zebrał odwagę i podszedł do niej, jego blada twarz stawała się purpurowa z wysiłku.

- Przepraszam bardzo, wiem, że jestem dość bezpośredni, ale czy zechciałybyś... czy chciałybyś - to znaczy czy mogłybyś... Zastanawiałem się, czy ty...

Mały spojrzał na niego.

- Jeśli chcesz, to ją bierz. Jeśli nie, to spierdalaj.

Ania przełknęła pół szklanki wódki i roześmiała się Profesorowi w twarz.

- A więc? - Spytała.

Profesor odwrócił się i uciekł. Nie widzieliśmy go przez następne kilka godzin.

Usiadłem w fotelu z pijaną i cichą dziewczyną na mych kolanach, przyglądałem się wydarzeniom i czułem się przyjemnie nawalony. Widziałem, jak Barcelona dotoczył się do okna i wyrzygał na taras. Widziałem, jak Porta obmacuje swoją Jugosłowiankę. Zauważyłem, jak mała Belgijka, Nelly, usiadła na kanapie pomiędzy Starym i Legionistą. Wyglądało na to, że nie poszła tam po seks, tylko pogadać. Obaj mężczyźni, zwłaszcza Legionista, słuchali wnikliwie tego, co ma do powiedzenia. Jego oczy się zwężyły i pokazały się iskierki, co zawsze wróżyło komuś źle. Stary zapalił swoją fajkę i zawzięcie pykał. Rozejrzałem się po pokoju i zauważyłem, że Madame Olga przygląda się całej trójce z niepokojem. Najwyraźniej Nelly była niedyskretna - i to z Legionistą. Był to niebezpieczny człowiek i jeśli udało jej się zdobyć jego uwagę, to znaczy, że miała coś ciekawego do opowiedzenia, gdyż Legionista z zasady nie dbał o żeńskie towarzystwo i zwykle ignorował kobiety. Madame Olga przesunęła

się cicho w stronę drzwi, ale zanim tam dotarła, na jej drodze stanął Porta, blokując jej wyjście.

- Droga Madame, chyba nie zamierza nas pani opuścić? Chwycił ją za ramię i zaciągnął na środek pokoju.

Mały krzyknął zachęcająco, a kilka par rąk zaklaskało ochoczo.

- Panie i panowie, zbierzcie się w krąg, by zobaczyć największe widowisko na ziemi! Przed wami najgrubsza stara maciora zdejmie swoje łachy! Przyglądajcie się uważnie, bo za chwilę zobaczycie kolor jej majtek!

- Hurra! - Wrzasnął bardzo pijany Heine, stojący za nim.

Madame Olga próbowała się wyrwać, ale nadeszła jej godzina. Tłum znowu się zacieśniał, śmiejąc się i klaszcząc.

- Spódnica! - Krzyknął Mały.

Zerwał ją z niej i wyrzucił przez okno, by dołączyła do spodni Heidego na lampie.

- Podtrzymywacz cycków! Co ja mówię, CYCÓW!

Potężny biustonosz poszybował w ślad za spódnicą.

- Ściskacz tłuszczu! - Wrzasnął Heide radośnie, zdzierając z niej gorset i grając na nim jak na harmonii. Oryginalny, pancerny Ściskacz tłuszczu!

- Dalej, ściągnijcie z niej wszystko i dajcie starej wiedźmie to, na co zasłużyła! - Krzyczała Nelly z tapczanu.

- Cierpliwości - powiedział Legionista, który przyglądał się tej scenie zimnym, nieruchomym wzrokiem. - Niech się najpierw zabawią. Dostanie, co się jej należy, już ty się nie martw.

W końcu ukazał się trzęsący jak galareta ogrom cielska Madame Olgi w całej okazałości - nagie jak dżdżownica, tłuste jak robak. Tłum zastygł, wciągając głęboko oddech i trudno było powiedzieć, czy z przerażenia, czy podziwu. Ja sam byłem jednocześnie zafascynowany i zdegustowany tym widokiem.

- O kurwa - szepnął Mały, ściskając razem dłonie i przechylając na bok głowę. - Ale widok!

- Gdzie jest niedźwiedzia skóra? - Wrzasnął

Porta ze swego miejsca na widowni. Podchwycono okrzyk.

- Gdzie jest niedźwiedzia skóra? Dawać ją tutaj!

W ciągu paru sekund wszyscy rozbiegli się po pokoju w poszukiwaniu skóry. Powywracano krzesła i stoły. Co jeszcze zostało ze szkła, teraz zostało radośnie rozbite. Rozdarto poduszki, zerwano zasłony. Jeden z Rumunów przytaszczył kosz na śmieci, który

został opróżniony na środku dywanu.

- Gdzie jest skóra?

- Znajdźcie skórę!

- Znajdźcie tę skórę! - Wołał Barcelona, chodząc na czworakach po podłodze.

Nagle ktoś strzelił trzykrotnie. Wszyscy obrócili się w tym kierunku. Był to Porta. Schował się za przewróconym fotelem i strzelał z karabinu w miejsce nad szafą.

- Tam jest! - Krzyknął.

Mały przeciągnął Barcelonę przez pokój trzymając go za kołnierz, wspiął mu się na plecy i zerknął na górę szafy.

- Tak. To ten pierdolony niedźwiedź! Choć lepiej się upewnię!

Wyciągnął swój nóż i wykonał w powietrzu kilka dzikich pchnięć. Madame Olga krzyknęła. Nagle skóra zsunęła się z szafy i spadając na głowę Barcelony, kompletnie zakryła mu oczy. Ten zaczął czołgać się dookoła, krzycząc, by ktoś ocalił go przed atakiem dzikiego zwierza. Gdy wreszcie wrócił jakiś rodzaj ładu, gdy Madame Olga owinęła się gniewnie w swój zrujnowany chodnik z niedźwiedziej skóry, a Barcelonę posadzono przy kominku, do akcji wkroczył Legionista. Z czapką zsuniętą na tył głowy, papierosem przyklejonym do dolnej wargi, podszedł arogancko do Madame Olgi.

- Musimy o czymś pogadać. Ty i ja. Spojrzała na niego oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

Za Legionistą stał Stary i Nelly. Madame Olga wiedziała, że źle zrobiła nie uciekając z miasta z resztą mieszkańców. Trzeba było zostawić dziewczyny na pastwę losu. Zatrzymała ją chciwość. Najpierw była Armia Rumuńska, później Armia Niemiecka; z pewnością wkrótce nadejdzie Armia Czerwona. Biznes zapowiadał się dobrze. Na jej nieszczęście okazał się nawet zbyt dobry.

- Olga - powiedział Legionista cicho - jak ci idzie z Gestapo?

- Gestapo? - Wydukała Olga. - Co ja wiem o Gestapo? Nigdy nie miałam z nimi do czynienia.

- Naprawdę? - Mruknął Legionista bawiący się w zamyśleniu swoim nożem. - Widzisz to, Olga? Widzisz ten nóż? Miałem go ze sobą przez cały czas, gdy byłem w Legii. - Roześmiał się jakby do swoich prywatnych wspomnień. - Straciłem rachubę co do ludzi, na których go użyłem.

Olga postanowiła zagrać vabanque. Wyprostowała się, tracąc swoje skórzane okrycie, ale próbując okazać godną postawę.

- Po co mi to mówisz? - Powiedziała. - To nie moja sprawa, ilu ludzi zabiłeś.

- Ale wkrótce może być twoja - zasugerował Legionista. - Kiedy będziesz następna na liście.

- Przestań gadać, tylko weź się za nią! - Zachęcała Nelly. - Zasługuje na to.

- Zasługuje na więcej! - Krzyknęła inna dziewczyna.

Przepchała się przez zbierający się tłum i stanęła przed nami.

- Wiecie, jak to się stało, że została właścicielką tego miejsca? Gestapo ją tu wsadziło! I to nie wszystko: ma jeszcze miejsca w Bukareszcie i Sarajewie. - A jak myślicie, skąd my się tu wzięłyśmy? Myślicie, że jesteśmy zwykłymi wyhodowanymi dziwkami? Nie jesteśmy. Zaciągnęło nas tu Gestapo. Nie dano nam żadnego wyboru.

- Chyba że byłyśmy Żydówkami - dodała inna z goryczą. - Będąc Żydówką można było wybierać pomiędzy burdelem a komorą gazową.

- A ta gruba krowa miała nas pilnować. Uważać, żebyśmy nie gadały za dużo...

Ze wszystkich stron posypały się zarzuty.

- Zaledwie miesiąc temu wysłała pięć dziewcząt do Ravensbrück, bo jedna z nich poskarżyła się pewnemu oficerowi, który tu przyszedł...

- A co z Desą? Udusiła Desę własnymi rękami.

- Idzie ręka w rękę z Gestapo. Każdego wieczoru, przez cały miesiąc, przychodził do niej na kolację hauptsturmführer Nehri...

Porta rzucił się na szyję Madame z wściekłym krzykiem. Rumuński porucznik zaczął grać z pasją na fortepianie. W jakiś sposób Madame Olga uwolniła się z uścisku Porty. Zanurkowała pod jego ramieniem, z desperacką zręcznością ominęła wyjący tłum dziewcząt i starając się być jak najdalej od Legionisty, który obserwował całą scenę z sardonicznym uśmiechem, pobiegła nago w kierunku Starego. Był z nas najstarszy; na pewno najbardziej rozsądny i ludzki. Był prawdopodobnie jedyną osobą w pokoju, która mogła się nad nią zlitować i Olga z miejsca to wyczuła. Rzuciła mu się do stóp, bełkocąc coś i błagając niezrozumiale. Tak długo jak Stary był gotowy jej słuchać, trzymaliśmy się z boku. Stary stał nad nią i patrzył z kamienną twarzą. Wyciągnął fajkę, nabił, zapalił, powoli pokręcił głową; po chwili się odwrócił i wyszedł z pokoju. Wyglądało na to, że los Madame został przesądzony.

Otoczyliśmy ją ciasnym kołem, mężczyźni i kobiety razem. Był to dziwny widok. Większość z nas była półnaga, ale wciąż trzymaliśmy pistolety. Legionista był jedynym, który był w pełni ubrany i może z tego powodu wyglądał dziwniej niż ktokolwiek z nas.

- Zabij ją! - Darła się Nelly - zabij ją tak jak ona zabiła Desę!

- I Margaret Rosę! Zastrzeliło ją Gestapo na jej prośbę!

Ponownie posypały się zarzuty. Yvonne i Lisa zostały wysłane do obozów koncentracyjnych. Zginęły na drutach kolczastych podczas próby ucieczki. Madame Olga wielokrotnie straszyla tym inne dziewczyny. W końcu była też Silva, która opowiedziała odwiedzającemu porucznikowi o tym, jak znalazła się w burdelu. Została za to krwawo pobita pejcem i wrzucona do piwnicy, by tam zdechła.

- Zabierała nam wszystkie pieniądze. Co do grosza.

- Codziennie nas rozbierała i przeszukiwała. - Była...

Legionista podniósł rękę.

- Dobra, myślę, że usłyszeliśmy już wystarczająco dużo. Ale musimy zrobić to właściwie - musi być sąd, trzeba zbadać dowody, wydać właściwy wyrok.

Podniósł połamane krzesło i postawił je z hukiem wewnątrz kręgu widzów.

- To dla Yvonne - powiedział. - A to dla lisy, to dla Desy - Margaret Rose i Silvy. A to...

- To dla Lone! - Krzyknęła jedna z dziewcząt.

- Powiesili ją w Tichilesti.

Porta wystawił krzesło.

- Proszę bardzo. To jest Gerda. Zastrzelili ją tu w ogrodzie, bo rzuciła butelką w starą wiedźmę. - I nie zapomnij o Monice.

- I Soni.

- Dobra, tyle wystarczy. - Legionista machnął ręką w kierunku krzesel. - Dziewięciu członków ławy przysięgłych. W teorii powinno być dwunastu, ale...

Zanim skończył mówić, posypały się kolejne imiona. Alicja, Cecylia, Gola.

- W porządku - powiedział Legionista. - Mamy już dwunastu. Dwanaście krzesel, dwanaście martwych dziewcząt. A więc - przywołał Nelly - ty będziesz sędzią. Ja będę oskarżycielem. Nie ma sensu wzywać obrony, bo ona nie ma czym się bronić.

- Ja też chcę być sędzią - oświadczył Mały.

Legionista wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz. Chodź, Sorka, ty możesz być trzecia. - Skinął na Jugosłowiankę Porty, która siadła na podłodze obok Nelly i Małego z cierpkim uśmiechem na ustach. W swoim czasie przeszła przez dziewięć państwowych burdeli i było jasne, że nie ma w sobie litości.

- Weź to - Mały podał jej swój pistolet. - Możesz go użyć jako młotka, gdyby ludzie za bardzo hałasowali. Potrzebujemy spokoju, by rozpatrzyć tę sprawę.

- Jasne - Sorka stuknęła kilkakrotnie kolbą w podłogę. - Cisza w sądzie! Wprowadzić

więźnia!

Olga została wypchnięta do przodu, w czym pomógł jej ostry koniec bagnetu Porty skierowany w jeden z jej nagich pośladków.

- Nie macie prawa mnie sądzić. Nic nie zrobiła, rząd ustanawia prawa, a nie ja. Ja robię tylko, co mi każą. Nie możecie winić mnie bardziej niż kogokolwiek innego.

- Stul pysk! - Powiedział Legionista. - Ława przysięgłych orzeknie, czy jesteś winna, czy nie.

- Oczywiście, że jest winna! - Wybuchnął Mały pijąc wódkę w sądzie.

- O co jest oskarżona? - Spytała Nelly.

Legionista odwrócił się do dwunastu pustych krzeseł.

- Panie przysięgłe, w imieniu ludzkości oskarżam Olgę Geiss o następujące zbrodnie: morderstwa, niewolnictwo, tortury i zdradę.

Mały spojrzał się groźnie na więźnia.

- Słyszałaś to? Co powiesz na swoje usprawiedliwienie? Winna czy niewinna?

- Niewinna - wyszeptała Olga.

Sorka zastukała swoim pistoletem.

- Oskarżona może usiąść. Jaki jest werdykt ławy przysięgłych? Legionista ponownie zwrócił się do pustych krzeseł.

- Panie przysięgłe, czy uznajecie oskarżoną Olgę Geiss za winną, czy niewinną zarzucanych jej zbrodni?

Nasłuchiwał przez moment, po czym odwrócił się do trzech sędziów.

- Ława przysięgłych uznała oskarżoną za winną.

- Oczywiście, że jest winna! - Powtórzył Mały. - My musimy tylko wydać wyrok. Osobiście sędzę, że powinna umrzeć przez powolne wieszanie... Z zapaloną świeczką w dupie.

- Olga krzyknęła głośno i rzuciła się na podłogę. W tym samym momencie, od drzwi prowadzących do głównego holu dobiegł donośny głos.

- Co tu się dzieje?

Byliśmy tak pochłonięci toczącym się procesem, że nikt nie usłyszał kroków na marmurowej posadzce. W drzwiach stało trzech lokalnych policjantów. To oberfeldwebel zabrał głos. Gdy odwróciliśmy się do nich wszyscy, ten nagle otworzył ogień. Ktoś krzyknął i za moment Ania z Hanoweru, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia, osunęła się powoli na podłogę, a z jej ust połała się krew.

- Uratujcie mnie! - Wrzasnęła Olga zza pleców tłumu. - Będą mnie tortuować!

- Cisza! - Powiedział oberfeldwebel. - Proszę zostawić to nam. Wiemy, co mamy robić.

Zrobił krok do przodu. W tej samej chwili za jego prawym ramieniem błysnęła stal i nóż Legionisty utkwił w jednym z policjantów. Oberfeldwebel odwrócił się gwałtownie. Ranny mężczyzna spojrział na niego z niedowierzaniem - nóż tkwił głęboko w klatce piersiowej - po czym bardzo powoli osunął się na ziemię i znieruchomiał. Upadł akurat obok Barcelony, który przez ostatnie pół godziny leżał kompletnie zalany i lewa ręka trupa spadła na jego twarz. Pistolet wypadł z drugiej ręki policjanta, a Barcelona, działając jedynie na zasadzie pijackiego instynktu, chwycił go i błyskawicznie wycelował w naszych nowych gości. Oczywiście nie miał kompletnie pojęcia kim są, co tu robią albo nawet co on robi i dlaczego to robi, ale ten moment wystarczył, by Heide rzucił się na oberfeldwebla i powalił go na ziemię. Legionista spokojnie wyciągnął z ciała swój nóż i wytarł go do czysta w mundur. Rumuński porucznik wrócił do fortepianu i zaczął grać coś w rodzaju marsza pogrzebowego.

- Zanim wrócimy do procesu - powiedział Legionista - sądzę, że byłoby lepiej zamknąć drzwi. Sven, czy mógłbyś?

Kiedy po kilku chwilach wróciłem do pokoju, zdawało się, że proces dobiega końca. Z twarzy Madame Olgi zniknął triumfalny uśmiech i siedziała teraz płacząc i załamując ręce.

- W imieniu ludzkości - zaintonowała Sorka bezlitośnie - ty, Olgo Geiss, zostajesz skazana na śmierć przez powieszenie. Jeden z sędziów zażądał także, byś została poddana torturom, a twoje ciało zostało rzucone psom na pożarcie.

- To ja wymyśliłem - wyjaśnił Mały, tak jakbyśmy nie mogli sami zgadnąć. - Myślę, że zasłużyła sobie na to.

- Bardzo prawdopodobnie - zgodził się Legionista. Odwrócił się do Madame Olgi. - Słyszałaś to, starucho? Czy masz coś do powiedzenia, zanim zostanie wykonany wyrok?

Czy miała coś do powiedzenia, czy też nie, nie dano jej już żadnej szansy. Porta zerwał aksamitne zasłony i wyrwał gruby sznur, na którym były zawieszona. Mały znalazł parę pończoch i zawiązał usta swojej ofiary. Jeden z Rumunów związał jej ręce czerwonym jedwabnym biustonoszem. Madame Olga nie chciała umierać bez walki. Wyrwała się, wiła, kopała i atakowała łokciami, ale dziewczyny rzuciły się na nią i był to cud, że nie rozerwały jej na strzępy, zanim doprowadziliśmy ją na szubienicę.

Jeden koniec sznura od zasłon został przymocowany wysoko do masztu od flagi na zewnątrz budynku. Drugi koniec zawiązano w pętlę ze swobodnym węzłem. Wciąż dyszące i kapiące, olbrzymie ciało zostało wtedy pochwycone przez wiele rąk i zanesione do okna na

najwyższym piętrze domu. Na szyję Madame Olgi założono pętlę.

- Skacz - rozkazał Mały.

Madame Olga balansowała karkołomnie na krawędzi parapetu, całe jej tłuste, białe cielsko trzęsło się i pulsowało, grożąc utratą równowagi.

- Skacz! - Wrzasnął Mały ponownie.

W końcu skoczyła, lub upadła; lub została wypchnięta. Jej ciało zawinęło się dookoła masztu, wisząc na końcu sznura. Jej podbródki napęczniały jak balony, a po chwili jej szyja wyciągnęła się i stała się długa i chuda.

Na górze zapadła cisza. Niektórzy z nas się odwrócili. Niektórzy wychylili z okna i patrzyli wytrzeszczonymi oczami, zahipnotyzowani horrorem widoku tego monstrualnie tłustego ciała kołyszącego się tam i z powrotem na końcu liny.

- Dziwka - stwierdziła Nelly. - Myślę, że i tak jej się upiekło.

Wróciliśmy na dół w milczeniu, pchając przed sobą dwóch policjantów. Rumuński porucznik wciąż grał delikatnie swój marsz pogrzebowy. Barcelona zwymiotował na podłogę i wydawał się być trochę mniej pijany.

- Dobra - Legionista zwrócił się do oberfeldwebela i jego towarzysza. - Który z was dwóch zabił dziewczynę? Spojrzeliśmy na Anię z Hanoweru leżącą na podłodze w kałuży z własnej krwi.

Oberfeldwebel spurpurowiał.

- Ja... Ja sądzę, że to ja. Mój palec... To znaczy, pociągnąłem za spust przez przypadek. Nie chciałem nikogo ranić. - Jestem pewien, że nie chciałeś - zgodził się uspokajająco Legionista. Ale tak czy inaczej jesteś zbyt niebezpieczny, żebyś tak sobie chodził ulicami. Ktoś mógłby na ciebie trafić, a ty byś go zastrzelił przez przypadek - skinął głową Heidemu. - Zabierz go na zewnątrz i pozbądź się go.

- Z przyjemnością! - Powiedział Heide z błyskiem w oku.

Zniknęli. Słyszeliśmy ich kroki na marmurowej posadzce holu, otwierane i zamykane drzwi. Potem cisza. Wszyscy staliśmy nasłuchując. Dłonie porucznika odpoczywały na klawiaturze fortepianu. Dziewczęta wyglądały z okien. W powietrzu czuło się napięcie wyczekiwania, nawet Mały i Porta milczeli. Wreszcie usłyszeliśmy odgłos, na który wszyscy czekali: klekot karabinu maszynowego i pojedynczy strzał z P38.

- Już po wszystkim - powiedział Porta.

Legionista chwycił butelkę koniaku i z powagą uniósł ją do ust.

- W takim razie bawmy się dalej - zasugerował.

Wszystkim spodobał się ten pomysł.

Rozdział 11

Zabawa i picie trwały dalej. Prawie zapomnieliśmy, że gdzieś na północnym zachodzie toczy się wojna i byliśmy niemile zaskoczeni, gdy pojawiły się pierwsze cofające się armie. Wydawało się, że Rosjanie przebili się dosłownie wszędzie, że kompletnie załamała się cała linia frontu i że nasi żołnierze byli w stanie paniki i chaosu. Tyle dowiedzieliśmy się od tych, którzy mieli trochę czasu, by się zatrzymać i nas oświecić podczas swojej szalonej ucieczki z frontu w kierunku przełęczy Kunduk. Mieszanina żołnierzy ze wszystkich pułków gnała teraz przed siebie na łeb, na szyję. Artylerzyści, saperzy, czołgiści, wszyscy chcieli być jak najdalej od szybko posuwających się Rosjan. Ktoś krzyknął, że wróg przełamał wszystkie punkty obrony i jest zaledwie o kilometr od wioski. Ktoś inny dodał, że za rzeką odcięto kilka naszych dywizji. Wyglądało na to, że kto tylko mógł, ten biegł, nawet ci świeżutcy i jeszcze niedawno chętni do walki, przysłani jako nasze odwody.

My byliśmy teraz przydzieleni do Trzeciej Armii Rumuńskiej i otrzymaliśmy rozkazy, by stać i utrzymać naszą pozycję. Wszyscy, my i Rumuni, a nawet dziewczyny zauważyliśmy bezsens tej sytuacji: cała armia, osiem dywizji walczących żołnierzy uciekała, a od nas, małej grupy mieszanych narodowości, oczekiwano powstrzymania natarcia wroga. Patrzyliśmy przez okno na cofające się hordy i śmialiśmy się do łez. Nic więcej nie mogliśmy zrobić.

W jaki sposób w ogóle wybuchła ta panika? Niestety, w dość typowy sposób. Wyglądało na to, że na początku, by podbudować swoje kiepskie morale, Rosjanie wysłali niewielką ilość T34 z nadzieją, że uda im się przełamać niemieckie linie. Niemcy zostali zaskoczeni i czołgi sunęły prawie bez przeszkód, waląc z dział na prawo i lewo i zostawiając za sobą histerię i zamieszanie. Jakiś idiota wysłał wtedy wiadomość, że zostali otoczeni, że Rosjanie prą naprzód i jedynym ratunkiem jest odwrót. Inni podchwycili tę wiadomość i przekazywali dalej jak papugi, także wkrótce wszyscy mówili już tylko o odwrocie. Zaczęła się panika. W głowach była tylko jedna myśl: uciekać jak najszybciej, zanim czołgi ich okrążą i schwytają w pułapkę.

Wiadomości, które się przedostawały, były coraz bardziej alarmujące. Te kilka T34 urosło w rozgorączkowanej wyobraźni żołnierzy do rozmiaru całego batalionu, całego pułku, kilku dywizji. Kapitan oświadczył nam poważnym tonem, że przełamała się cała Rosyjska Piąta Armia i już ku nam pędzi - informacja, o której wiedzieliśmy, że była fałszywa, bo większość dywizji pancernych lizała swoje rany po drugiej stronie Kertz. Był to ten sam kapitan, który wydał rozkaz, by spalić wszystkie tajne dokumenty i by zniszczyć wszystkie

pojazdy - oprócz jednego, który zachował dla siebie - tak by nie wpadły w ręce nacierającej Piątej Armii.

Ileś lat później ten sam kapitan opisał historię strategicznego odwrotu z Tabar Bunary. Książka ta jest dziś jednym ze standardowych podręczników na ten temat i jest w ciągłym użyciu w szkołach wojskowych. Kapitan został odznaczony za swój chlubny udział w tym odwrocie i awansowany na pułkownika.

Załogi T34, które spowodowały ten zamęt, nie mogły uwierzyć w swoje szczęście. Zasuwały jeden za drugim po głównej szosie, pchając przed sobą na zachód rzesze na wpół oszalałych żołnierzy. Tych kilku, którzy nie stracili zimnej krwi, trzymając się wojskowego zdrowego rozsądku, wkrótce zniknęło w morzu ogólnej paniki. Jeden starszy generał-major, który po raz trzeci wsiąkł w tłum, wy dostał się wreszcie na powierzchnię broniąc się walecznie, ale znalazł się na szarym końcu z chorymi i rannymi. Major krzyczał, wrzeszczał i groził, ale główna część armii przeszła odważnie obok niego i znikła z oczu. Pozostał wśród maruderów, wylewając łzy wstydu i poniżenia. Niestety, same łzy nie mogły powstrzymać nacierających czołgów, które powoli doganiały uciekających. Salwy wystrzałów z ciężkich dział ryły drogę z każdej ich strony. Major mógł uciekać. Zamiast tego zerwał swój kołnierzyk z przypiętym do niego lśniącym żelaznym krzyżem, chwycił kilka granatów i ruszył w stronę pierwszego ze zbliżających się czołgów. Był tylko kilka metrów od niego, gdy potknął się i upadł. Granaty wpadły bezużytecznie do rowu. Przez moment major się zawahał. Leżał na drodze tam, gdzie upadł, a czołg był już nad nim. Szukając punktu zaczepienia sięgnął do jednej z rur wydechowych, skąd buchały płomienie. Jego ręka spłonęła na węgiel, zanim mózg zdążył zareagować. Kawalek jego peleryny dostał się między jedną z gąsienic i jego ciało zostało wciągnięte i zgniecione przez koła. W czołgu usłyszano krzyk. Porucznik wyjrzał przez otwór i roześmiał się widząc wystające ramię w parodii salutu. Ciało majora zostało błyskawicznie pocięte na wstążeczki. To, co pozostało, zostało totalnie zmiażdżone przez kolejne czołgi i wkrótce widoczny był tylko pas krwi i krążąca nad nim chmara much.

Trzy miesiące później, w Niemczech, wdowa po majorze dowiedziała się o jego śmierci: padł w walce prowadząc swoich żołnierzy do ataku na mocno ufortyfikowane pozycje Rosjan. Nikt nigdy nie ginął podczas odwrotu. Pojęcie „odwrot” nie istniało w Niemieckiej Armii. W Kicie, po drugiej stronie granicy, w ratuszu toczyła się rozprawa sądu polowego. Nikt jeszcze nie pomyślał o tym, by poinformować ich o sytuacji, a tymczasem był to dla nich wymarzony czas: mieli tylu dezertersów, ile tylko każdy sąd polowy mógł sobie życzyć i skazywali wszystkich na śmierć jak leci, bez zmrużenia oka. W tym samym

momencie gdy linia T34 przejeżdżała przez wschodnią bramę Kity, sąd polowy skazywał młodego człowieka, który porzucił swoją broń na wieść o zbliżającym się wrogu. Przewodniczący rozprawie pułkownik był w swoim żywiole. Znał prawo do ostatniej litery; ostatniej kropki i przecinka. Zagubił się w morzu krasomówstwa, rozwlekł prawnicze zdania płynęły i płynęły z jego ust. Nieodwołalnym werdyktem była śmierć. Największym marzeniem i nadzieją pułkownika było to, że po podpisaniu dwusetnego wyroku śmierci zostanie awansowany na generała i odwołany do Berlina, by tam zasiadać w Radzie Sądowniczej Rzeszy. W tym momencie był to zaledwie wyrok numer sto trzydzieści siedem, ale jeszcze kilka takich dni jak dziś i wkrótce uda mu się wypełnić zamierzoną normę. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się podpisać swój dwusetny wyrok, nigdy nawet nie widząc egzekucji. Pułkownik brzydził się przemocą. Z jego punktu widzenia te sto trzydzieści siedem osób to nie tyle ludzie, co materiał dla maszyny sądowniczej, który on miał przygotować, a potem zużyć. Jeśli zdarzyło mu się kiedykolwiek myśleć o tych ludziach, to jedynie w kategoriach ofiary koniecznej dla ostatecznego zwycięstwa.

Wyprostował się i spojrzał na swą ostatnią ofiarę, młodego szeregowca, który miał zostać skazany jako przykład dla innych. Żandarm wojskowy położył chłopakowi rękę na ramieniu.

- Chodź, chłopcze. Czas już na nas. Dla ciebie jest już po wszystkim.

Chłopak słuchał podsumowania pułkownika nie okazując emocji. Nie wykonał żadnego ruchu, gdy odczytano wyrok śmierci. Jednak te proste słowa: „dla ciebie jest już po wszystkim”, ukłuły go nagle w serce. Odwrócił się do sądu, rozłożył szeroko ramiona, krzycząc i protestując. Żandarm zrzucił maskę ojcowskiej troski i uderzył chłopca w ucho. Za moment wypychał go siłą z sali rozpraw napierając kolanem na jego plecy.

Gdy otworzono główne drzwi, dał się słyszeć odgłos wybuchów. Sekundę wcześniej panowała cisza; teraz powietrze wypełniał hałas, dudnienie ciężkiej artylerii, świst pocisków, eksplozje i stukot karabinów maszynowych. Sala sądowa zadrżała przez moment, po czym z sufitu delikatnie opadła chmura tynku i pyłu.

- Co się tu dzieje, u diabła? - Krzyknął pułkownik, otrzepując rękaw swego nieskazitelnego, perłowszarego munduru.

Jeden z sędziów, kapitan Laub z Siódmego Pułku Zmotoryzowanego, opuścił swoje krzesło i podszedł do okna. Wyrzał swobodnie i natychmiast się odwrócił, kompletnie błądy.

- Rosjanie!

- Niech to piekło pochłonie! Rosjanie są daleko! Weź się w garść, człowieku! Próbujesz szerzyć plotki?

- Nie, panie pułkowniku - kapitan stał wyprostowany. - Może zechce pan sam spojrzeć?

Zanim pułkownik mógł dotrzeć do okna, do kapitana Lauba podszedł oskarżyciel, major Blank, potwierdzając wiadomość.

- Obawiam się, że on ma rację, panie pułkowniku. To są Rosjanie.

- Jak, u diabła, dostali się tak daleko?

- Bóg jeden wie, ale im się udało.

Żandarm automatycznie puścił więźnia. Stali blisko siebie, jakby dla osłony, pokryci białym pyłem, który wciąż spadał z sufitu. Nagle skazany żołnierz odwrócił się i zaczął biec. Pędził przez opustoszałe korytarze budynku i wydostając się na zewnątrz wpadł prosto w ramiona olbrzyma ubranego w skórzaną kurtkę i futrzaną czapę, który właśnie wchodził po schodach do ratusza. Olbrzym złapał żołnierza za kurtkę i krzyknął coś po rosyjsku. Żołnierz, zbyt przerażony, by się odezwać, wywinął się z jego uścisku i od razu otrzymał dwa strzały w potylicę. Z tak niewielkiej odległości praktycznie roztrzaskały mu czaszkę.

- Widzicie - jakby powiedział Dr Goebbels - nawet ci, których skazaliśmy na śmierć, wciąż są gotowi walczyć za Rzeszę!

Ale nawet Dr Goebbels nie mógłby przewidzieć, co się stanie z tym konkretnym żołnierzem. Ciało leżało krótko na stopniach ratusza aż dowódca rosyjskiego czołgu, biorąc zwłoki za żywego żołnierza udającego trupa, a być może czekający tylko na okazję, by ulżyć sobie paroma granatami w nacierających żołnierzy, rzucił je, a wybuch wyrwał ciału ręce i nogi. To, co pozostało, uległo zmieleniu na miazgę przez pozostałe czołgi. Miazga została z pewnością odkryta i wykorzystana przez jakiegoś głodnego psa lub kota, których pełno snuło się po ulicach. Taki był koniec szeregowego Wulffa. Przez długi czas figurował w aktach jako zaginiony, traktowany jako dezertor. Jego krewni i przyjaciele w Niemczech byli poddani intensywnemu śledztwu; jego matkę aresztowano pod zarzutem przechowywania syna. Nikt nigdy nie dowiedział się prawdy. Olbrzym w futrzanej czapie krzyknął rozkaz i pół tuzina ubranych na brązowo Syberyjczyków wbiegło po schodach do ratusza. Pułkownik podniósł głowę znad swojego biurka, patrząc na nich zdziwionym wzrokiem. Kapitan Laub wyjął pistolet, ale zanim zdołał go użyć, otrzymał serię z karabinu maszynowego w brzuch. Osunął się wolno na podłogę, z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Pułkownik odwrócił się, by zaprotestować do rosyjskiego kaprała, który jak się wydawało dowodził tą grupą.

- Protestuję przeciw takiej brutalności! Uspokójcie się na miłość boską i zachowujcie jak prawdziwi żołnierze!

Kapral Balama splunął na podłogę i uniosł swój karabin. Pułkownik cofnął się o krok.

- Nie bronimy się. Walka jest bezsensowna w tej sytuacji. Jeśli o nas chodzi, nasz los jest w waszych rękach... Opuść ten karabin, człowieku!

- Żołnierze wybuchnęli śmiechem.

- Stój!

Kapral odwrócił się i zdzielił w brzuch kolbą karabinu wciąż skulonego w kącie żandarma. Mężczyzna krzyknął, bardziej ze strachu niż z bólu, przemknął po podłodze i padł do nóg pułkownikowi, mamrocząc coś pod nosem. Pułkownik kopnął go, ale nie mógł się uwolnić. Uniósł się zapach niemytego ciała, zjeżdżały i cuchnący, prawie się nim zakrztusił. Był to jeden z najgorszych momentów podczas całej wojny.

- *Dawaj, dawaj!* - Rozkazywał kapral.

Ponownie żołnierze zanieśli się śmiechem. Powtarzali swoje „Dawaj, dawaj” i spędzali członków sądu razem do jednego rogu pokoju. Feldwebel artylerii, który był głównym świadkiem przeciw jednemu z oskarżonych, otrzymał cios bagnetem w tył szyi. Urzędnik sądowy pozostawił wdowę i trójkę dzieci, choć wdowa miała dwóch kochanków, by wypełnić czymś czas i dla niej śmierć męża była pewnie radosnym wyzwoleniem.

Do sali wszedł rosyjski komisarz wydając nowe rozkazy. Brzmiał szorstko i nieprzyjaźnie. Ci, którzy przetrwali rozprawę numer 4/6 306, zostali szybko wyprowadzeni i stłoczeni razem z tyłu T34, któremu skończyła się amunicja i który wracał teraz do bazy z ładunkiem więźniów.

Mały i Barcelona Blum, którzy ukrywali się za linią drzew, usłyszeli czołg, gdy ten był jeszcze daleko. Kierowca puł naprzód z prędkością nieodpowiednią do warunków, ale był starym wygą i jego instynkt z pewnością ostrzegał go o ukrytym niebezpieczeństwie. Komisarz także czuł się nieswojo. Cały czas przeklinał bez powodu i wrzeszczał na kierowcę, kiedy tylko silnik krztusił się i charczał. Mały położył się na brzuchu, oparł brodę na dłoniach i patrzył w zamyśleniu na T34 wspinające się drogą w ich kierunku.

- Ten kretyn na dole sam się prosi o kłopoty - zauważył.

Odwrócił się do Barcelony.

- Nie chciałbyś się zabawić? Oslaniaj mnie, a ja zejdem i przyloze w nich.

- Niech sobie przejadą - odpowiedział niedbale Barcelona.

- Jak to, niech sobie przejadą? - Mały wydawał się być oburzony. - Chyba mieliśmy bronić burdelu, prawda? Nie dopuszczać Rusków? A ty masz zamiar siedzieć na swojej tłustej dupie i nie ruszyć palcem, jak pojawia się taka okazja?

- Zamknij się, do cholery, bo rozboli mnie głowa... Co, u diabła, wskóra pojedynczy czołg? Nie może zjechać z drogi, bo po obu stronach ma bagna. Jeśli tylko zrobią jakiś krok

w tą stronę, to po nich. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

- I co z tego? Wciąż mamy pozwolić mu tak sobie przejechać?

- Ale z ciebie tępak! A jak myślisz, dokąd oni tędy dojadą? Przecież ta droga prowadzi tylko nad morze i wkrótce będą musieli tędy wracać. A kiedy się pojawią, to będzie na nich czekało śliczne łóżeczko z min na powitanie.

- Pewnie dupki pomylili drogi albo coś...

Mały odwrócił się w kierunku drogi przyglądając się przejeżdżającemu czołgowi. Nagle usiadł i wskazał na niego ręką.

- Hej, popatrz tylko! Jest pełen naszych

- Raczej rannych bohaterów wracających do Moskwy.

- Założymy się?

W tym momencie zgasł silnik. Czołg zatrzymał się niezgrabnie. Nastąpiło kilka nieudanych prób ponownego odpalenia, potem do uszu naszych dwóch ukrytych obserwatorów doszły rozgniewane głosy. Mały wyszczerzył zęby. Podniósł swoje MG, oparł na ramieniu, przesunął czapkę na tył głowy i wycelował.

- Nie bądź takim cholernym idiotą! - Fuknął na niego Barcelona. - Nie po to tu przyszliśmy. Stary nie kazał nam tu siedzieć i bawić się w strzelnicę.

- Pierdol się - odparł spokojnie Mały.

Pierwszy zginął komisarz. W swojej wściekłości wyszedł z czołgu i groził kierowcy stojąc na drodze.

- Wiesz, co się z tobą stanie? To skandal, to ewidentne złamanie...

- Czego? Dyscypliny?

Kierowca nigdy się nie dowiedział, pewnie też nic go to nie obchodziło. Padł strzał i nagle komisarz pochylił się w pół zdania i zwałił równo na ziemię.

- Co się dzieje? - Odezwał się głos z wnętrza czołgu.

Cisza. Żadnego dźwięku, tylko wiatr szumiący w konarach drzew, stękające i skrzypiące gałęzie. Żadnej wypowiedzi, gdzie jest ukryty snajper. Wtedy odezwały się żaby na bagnach, jakby komentując swoim kumkaniem i rechotem wydarzenie, które miało miejsce. Był to sygnał dla więźniów skulonych z tyłu czołgu, którzy podnieśli głowy i zaczęli szeptać między sobą.- Co to było? Jeden z naszych?

- Nie mam pojęcia.

- To musiał być jeden z naszych.

- Pewnie tak.

- Kto jeszcze miałby do nas strzelać?

- Cholera wie.

- Ale skąd strzelał?

Nikt nie odpowiedział, bo nikt nie wiedział. Martwy komisarz leżał na drodze tam, gdzie upadł, z rozpostartymi ramionami i przekrzywioną głową w kałuży krwi.

Wróciła martwa cisza. Nagle z wieżyczki wyskoczył kanonier, podbiegł do przodu czołgu i rozglądał się niespokojnie dookoła. Za nim, niechętnie i nerwowo, wyszło jego dwóch towarzyszy, trzymając się razem dla bezpieczeństwa.

Na górze, w gęstwinie drzew, Mały uśmiechnął się cicho do siebie. Ponownie wycelował. Jeszcze raz jego palec zawinął się na spuście karabinu.

- Ty, daj sobie spokój, co? - Barcelona był już nieźle rozgniewany. - Nie jesteśmy tu po to, żeby bawić się w gry, mamy dużo ważniejsze sprawy na głowie.

- Co może być ważniejszego od zabijania wroga? - Zapytał Mały. - Nie codziennie znajduje się ludzi wystarczająco głupich, by wyjść z T34 i zabawić się na środku drogi... Daj mi teraz spokój, zanim naprawdę się wkurwię.

Posypały się strzały, jeden po drugim, szybko i dokładnie. Żaby przestały się odzywać i uciekły po cichu głębiej na bagna. Jeden z niemieckich więźniów nagle wstał i zaczął machać rękoma.

- *Towariszcz! Towariszcz!* Jestem twoim przyjacielem - nie strzelaj!

Mały patrzył na niego zdumiony.

- Popatrz tylko na to małe gównno.

- Co za pokaz! - Barcelona splunął z pogardą. - Patrz na nich, jak się razem skulili jak stado cholernych owiec... Aż dziwne, że Iwan od razu ich nie zastrzelił. Ja bym tak zrobił na ich miejscu. Po co im takie dupki w Moskwie?

- Co z nimi zrobimy?

- Nie wiem... Chyba weźmiemy ze sobą.

Barcelona podniósł się na kolanie i pomachał do niemieckich więźniów. Powoli i niepewnie zaczęli schodzić z czołgu i iść w kierunku gęstwiny wąską ścieżką z gałązek i chrustu ułożoną wśród bagien. Przywitało ich dwóch zwykłych żołnierzy, obaj brudni i niechlujni.

- Co, u diabła - zaczął pułkownik, gdy Barcelona bezceremonialnie chwycił go za ramię wskazując na ziemię.

- Nie tak głośno! - Zasyczał Barcelona poirytowany. - Nie wiem, czy zauważyłeś, ale trwa wojna. Chcesz, żeby ci odstrzelili łeb?

Pułkownik wyprostował się dumnie.

- Muszę cię pouczyć...

- Zamknij ryj! - Warknął Mały zakrywając swoją potężną i brudną łapą usta pułkownika.

W tym momencie zza ich pleców rozległa się seria strzałów.

- Co to? - Spytał major Blank, rzucając się szybko do bagna dla osłony. - Kto do nas strzela?

- A jak myślisz? - Powiedział Barcelona obserwując z uśmiechem, jak nieskalany major jest teraz umorusany błotem aż po pas.

- Rosjanie? Gdzie oni są?

Barcelona potrząsnął głową obojętnie.

- Gdzieś tam... Sugeruję, żebyśmy się ruszyli, dopóki mamy jeszcze czas. Trzymajcie się za mną i miejcie gęby na kłódkę.

- Czy mogę zapytać...

- Nie. - Mały szturchnął pułkownika w tyłek kolbą swojego MG. - Ruszaj i trzymaj gębę na kłódkę, tak jak on powiedział. Pierwszy, który się odezwie, dostanie serię w bebechy.

Ruszyli przez krzaki, przechodząc przez inną część bagien dotarli do gęsto zalesionego zbocza. Barcelona zatrzymał pochód i zaczął konferować z Małym.

- Co sądzisz? Pchamy się dalej czy czekamy tu aż się ściemni?

Mały się nachmurzył.

- Jak wychodziliśmy, to nie mieliśmy takich problemów. Iwan się wtedy nie czepiał, a teraz tylko dlatego, że ciągniemy to gówno za sobą. - Dobra, to poczekajmy na razie.

- Mnie pasuje.

Mały rzucił swoje MG na ziemię i sam klapnął obok. Barcelona machnął ręką w kierunku grupy, którą prowadził.

- Dobra, słuchajcie, można odpocząć przez chwilę.

Pułkownik chrząknął i spróbował ponownie przywrócić swój autorytet.

- Sądzę, że lepiej byłoby bezzwłocznie ruszać dalej.

- Jasne. Czemu nie?

Barcelona usiadł obok Małego, wyciągnął poobijaną puszkę tytoniu i zaczął skręcać parę papierosów.

- Ja cię nie zatrzymuję. Jak chcesz, to idź.

Major Blank wciągnął głośno powietrze. Czekał, aż pułkownik coś zrobi albo powie. Dwóch zwykłych żołnierzy, siedząc obok siebie na wilgotnej ziemi pod drzewem, spoglądało na niego beczelnie. Ich oczy świeciły w nieogolonych twarzach ozdobionych kilkudniowym

brudem. Nowa seria strzałów wstrząsnęła ziemią. Pułkownik rzucił się na mokrą glebę i zakrył głowę dłońmi.

- Nie trzeba aż tak - powiedział Barcelona uprzejmie. - Przyzwyczajasz się do tego. Oni nie mają nic złego na myśli, tylko chcą nam dać znać, że tu są.

- Ale mi się to nie podoba! - Warknął major Blank pomagając pułkownikowi wstać.

- Zgodzę się - stwierdził próbując zachować twarz - że znacie teren lepiej niż ja, ale wydaje mi się bezsensowne siedzenie tutaj w zasięgu ich ognia.

- Posłuchaj - powiedział Barcelona tonem kogoś, kto próbuje coś wytłumaczyć upośledzonemu psychicznie dziecku - jeśli chcesz zginąć, to wystarczy, że pójdziesz w tamtą stronę jakieś dziesięć metrów. Mówię śmiertelnie poważnie, żebyś zrozumiał... Tam jest wzniesienie. Na stoku leżą ciała tych gości, którzy sądzili, że da się tamtędy przejść w ciągu dnia. Jedyłą szansą na nasz powrót do burdelu w jednym kawałku jest zaczekać parę godzin do zmroku.

Major otworzył swoje usta i po chwili je zamknął. To pułkownik w końcu zadał pytanie.

- Na powrót - powrót, dokąd powiedziałaś? - Do burdelu. - Masz na myśli waszą bazę? - Dokładnie.

- Dlaczego ona... Dlaczego ty... - Pułkownik machnął ręką i Mały pospieszył mu z odsieczą.

- To jest najprawdziwszy burdel - poinformował oburzonego oficera. - Dziwki i tak dalej. Tak jak i wy, my też chcemy się tam dostać jak najszybciej, ale widzi mi się, że nie ma co nadstawiać karku. Nawet dla kurwy. Tu jesteśmy bezpieczni. Tam - wskazał kciukiem za siebie - wciąż walczą. Mogą ci odstrzelić łeb w try miga. Nie warto.

Barcelona podał mu papierosa. Dwóch zwykłych żołnierzy oparło się o pień drzewa w chmurze paskudnie cuchnącego dymu. Pułkownik wzdrygnął się i odszedł na bok.

- Brudna świnia - mruknął pod nosem.

Przez około pół godziny w małym lasku panował relatywny spokój. Nagle, gdzieś na południowym zachodzie, dyrygent podniósł pałeczkę i pełna orkiestra rozpoczęła swą wojenną uwerturę. Lasek zadrżał i zatrzęsł się, a dźwięk poniosło przez wzgórza i bagniska. Tym razem to Mały i Barcelona byli pierwszymi, którzy rzucili się na ziemię. To nie była zwykła potyczka. Wydawało się, że eksplodował cały front. Nieskalany major tarzał się w błocie kopiąc i rozpychając je dłońmi, jakby chciał wykopać sobie tunel, w którym się schowa. Pierwsze uderzenie podrzuciło pułkownika w powietrze. Sekundę później spadł na Małego i leżał tak trzymając się go kurczowo do końca bombardowania, nie zauważając

niezaprzeczalnego smrodu niemytych stóp i pach, który towarzyszył Małemu jak druga skóra. Mały z kolei kręcił nosem, czując zapach wątlých perfum dolatujący z wypielęgowanej i pełnej białych włosów głowy pułkownika. Podniósł głowę, by napomknąć o zapachu, ale jego wzrok spotkał się ze wzrokiem pułkownika, a w jego wyblakłych niebieskich oczach widać było tylko śmiertelnie przerażonego starego człowieka i po raz pierwszy w swoim życiu Mały znalazł w sobie siłę, by nic nie powiedzieć. W promieniu kilku kilometrów wzgórze i bagna były płonącym piekłem. Ludzie, konie, pojazdy, ciężkie działa były siłą eksplozji wyrzucane w górę jak geizery. Cały batalion piechoty został wybity w niecałe dziesięć minut. Skład amunicji wyleciał w powietrze w ryczącej masie dymu i płomieni. Niebo było jaskrawoczerwone od tysięcy ogni i wypełnione wirującą masą szrapneli. Nie widzieli tego ukryci w lasku. Leżeli płasko na brzuchach, z twarzami mocno wciśniętymi w ziemię, pokryci od stóp do głów błotem. Barcelona był pierwszym, który się podniósł.

- Tyle, jeśli chodzi o pierdolonego Goebbelsa i jego bajki o tym, jak Iwan się już nie liczy w tej cholerniej wojnie - zauważył gorzko.

Mały odepchnął od siebie pułkownika, usiadł i wypłuł z ust ziemię i liście. Spojrzał na członków sądu polowego wciąż leżących na ziemi. Dwóch z nich nie żyło. Trzech leżało trzęsąc się.

- Dobrze pieski! - Krzyknął do nich zachęcająco. - Szukaj, szukaj!

Major Blank podniósł ostrożnie głowę.

- Chodźcie, cholerni bohaterowie! - Ryknął Barcelona szturchając najbliższego. - Wojna wciąż trwa!

Major stanął na nogi z resztkami swojej godności. Zdjął mokry liść z końcówki swojego nosa i wyprostował klapy przemoczonego munduru. Spojrzał na Barcelonę lodowatym wzrokiem.

- Jak tylko dojdziemy do waszej jednostki, porozmawiam o was z waszym dowódcą. Barcelona wzruszył tylko ramionami.

- Jeśli myślisz, że będzie zainteresowany.

- Zapewniam cię, że będzie. - Major dramatycznie wycelował w Małego i Barcelonę trzęsący się palec. - W minutę po powrocie zostaniecie aresztowani! Staniecie przed sądem polowym, każę was rozstrzelać!

- Jak sobie życzysz - zgodził się Barcelona.

Major Blank kompletnie spurpurowiał. Sięgnął po swój pistolet, przypominając sobie zbyt późno, że Rosjanie mu go odebrali. Barcelona i Mały wymienili między sobą spojrzenia pełne politowania.

- Może byśmy już poszli? - Zasugerował Mały.

Opuścili las i ponownie ruszyli przez bagna. Ścieżka z gałęzi była węższa od poprzedniej, ugięła się i pływała im pod stopami jak łódka na wysokich falach. Mały prowadził, Barcelona zabezpieczał tyły. Obaj wytężali wzrok i słuch, broń w gotowości, gotowi strzelać do wszystkiego, co się rusza.

Pułkownik był za stary na takie zabawy. Przywykł do życia w komforcie i dostatku, a niedogodności wojny były dla niego czymś obcym. Ślizgał się i potykał na ruchomej ścieżce, od czasu do czasu poruszając się na czworakach. Jego czupryna białych włosów pokryta była błotem. Kołnierzyk zwisał swobodnie nad jednym ramieniem, jeździeckie spodnie rozdarte na całą długość nogi. Pocąc się, będąc nieprzywykłym do takiego wysiłku i dysząc ze strachu, Pułkownik kuśtykał dalej. Marzył o miękkich materacach i jedwabnych prześcieradłach, o wazach wypełnionych delikatnymi zapachami perfumowanej wody; dookoła widział tylko śmierdzące bagna, umorusanych błotem żołnierzy i nienaturalnie czerwone niebo pełne odgłosów śmierci.

W połowie drogi przez bagna, pułkownik stracił równowagę i runął ciężko do wciągającej czarnej mazi, która jak żywa istota czekała chciwie na swe ofiary. Cała grupa się zatrzymała.

- Co się stało? - Spytał Mały, odwracając się.

- Czemu stajemy? - Zdziwił się Barcelona, wyglądając niecierpliwie przed siebie.

Zobaczyli, jak pułkownik walczy w błocie i stali nieruchomo przyglądając się, jak major Blank klęka na brzegu ścieżki wyciągając ręce, które jednak nie dosięgały pułkownika. Żandarm zdjął kurtkę i rzucił tonącemu. Pułkownik złapał za jeden z rękawów. Pociągnęli ale bez skutku.

- Gdybym był na twoim miejscu, to bym się tak nie rzucał. Dzięki temu utoniesz wolniej. On i Barcelona stali obok siebie obserwując całą scenę beznamiętnym wzrokiem.

- Pięć minut? - Zasugerował Mały.

- Około. Może ciut dłużej, jak przestanie się szarpać.

Major Blank odwrócił się do nich.

- Chodźcie tu i pomóżcie mi... To rozkaz.

Mały wyszczerzył zęby. Ani on, ani Barcelona nie ruszył się z miejsca. Znali reputację pułkownika. Wiedzieli o stu trzydziestu siedmiu ofiarach. Stali więc i patrzyli.

Powoli major Blank stanął na nogi. Rozejrzał się za dużą gałęzią, znalazł ją i z wściekłym wyrazem twarzy ruszył w stronę dwóch zwykłych żołnierzy. Mały uniósł broń. Major zignorował ostrzeżenie. Sekundę później padł strzał i Major z rozpostartymi szeroko

ramionami dołączył do swojego pułkownika w bagnie. Żandarm, krzycząc dziko, zaczął uciekać zygzakiem po wąskiej ścieżce. Barcelona wycelował i bez emocji nacisnął spust. Tak skończył ostatni żywy członek sądu polowego.

To - zaobserwował Barcelona z satysfakcją - był dzień dobrze przepracowany. Cholernie dobrze przepracowany. Odczuwam większą przyjemność, jak się pozbywam takich trzech ścierw jak te niż jakichś tam Rosjan.

Mały był zajęty wyrywaniem zębów swoim ofiarom kombinerkami, które zawsze nosił ze sobą.

- Całkiem nieźle, co?

Wrzucił trzy złote zęby do swojego woreczka z łupami.

- To już mam sześć. Nieźle, co? - Wyciągnął jeden z nich i włożył w przerwę między własnymi zębami. - Myślisz, że będzie mi pasować?

Barcelona potrząsnął głową.

- Sam się prosisz o kłopoty, jak to zrobisz. Zapomniałeś, że Porta też ma kolekcję?

- On jest kolegą zbieraczem, a nie rywalem powiedział Mały oburzony.

Barcelona zaśmiał się sarkastycznie.

- Nie byłbym taki pewien! Tak czy inaczej, to twoje ryzyko, a nie moje.

Ruszyli dalej rozglądając się uważnie. Zmierzch nadszedł i odszedł i gdy dotarli wreszcie do bazy, niebo było czarne oprócz jednego różowego kawałka na południowym zachodzie. Zdali swój raport, pomagając sobie wódką i gorącymi parówkami. Stary słuchał z powagą ich opowieści.

- Nie ma wątpliwości - powiedział, kiedy skończyli - jesteśmy otoczeni... Odcięci. Julius i Sven zameldowali o dużych ruchach wojska za nami, wy mówicie o piechocie i czołgach przed nami. - Odwrócił się do Porty. - A co na plaży? Jakież oznaki życia?

- Mnóstwo. Aż się roi od snajperów.

- Hmm.... Stary zaciągnął się głęboko fajką.

Położył sobie kciuk i palec wskazujący na nosie i zaczął pocierać nimi skórę w górę i w dół.

- I jak się teraz, do cholery, mamy wydostać z tego gówna?

- Wydostać? - Krzyknęła jedna z dziewczyn ubrana w jaskrawo zielone majtki i biustonosz, grająca w kości z rumuńskim kapralem. - Po co chcecie się wydostawać? Idą Rosjanie?

Stary ją zignorował. Rozwinął mapę i skinął na Legionistę.

- Co sądzisz?

Legionista spoglądał na mapę przez jakiś czas i po długim zastanawianiu się i marszczeniu czoła wskazał palcem na długą zieloną linię wijącą się przez arkusz.

- Tutaj. Możliwe, że przebijemy się tędy.

- Bagna - skomentował Stary.

- Tu wszędzie są pierdolone bagna.

- Bagna i gęsty las... Przez sześćdziesiąt kilometrów.

- Albo to albo zostajemy tutaj i dajemy się zabić. Nie widzę innego wyjścia.

- Na to wygląda.

- Hej! - Krzyknął nagle Mały znad swojej butelki wódki. - Gdzie jest pianista? Niech coś zagra.

- Właśnie, dawać pianistę! - Przytaknął mu Barcelona, machając w powietrzu na wpół zjedzoną parówką. - Czemu nie gra muzyka?

- Bo pianista jest cholernie martwy, dlatego powiedział Heide w typowo miły dla siebie sposób.

- Martwy? Jak?

- Strzelił sobie w łeb, ot co.

Mały wstał gwałtownie.

- Gdzie jest ciało?

- Siadaj i nie zwracaj sobie głowy - powiedział Porta pchając Małego z powrotem na jego miejsce. - Już tam byłem. Wyciągnął przed siebie jeden świecący złoty ząb. Mały usiłował go zazdrośnie pochwycić, ale w tym momencie Stary podjął decyzję.

- Przygotujcie się natychmiast do wymarszu. Iwan może tu być lada moment. Spróbujemy swojej szansy na zewnątrz, zamiast dać się zarznąć w środku... Heide, rozejrzyj się i zobacz, czy znajdziesz tyle pistoletów, by każda z dziewczyn miała jeden.

- Jasne.

- Dziewczyna w zielonych majtkach odwróciła się i znowu krzyknęła. - Pistolety? Nie mogłabym! Nie wiem, jak się ich używa!

- Szybko się nauczysz - powiedział Stary oschle.

W ciągu piętnastu minut byliśmy poza domem i po drodze na bagna z Małym i Portą z przodu kolumny. Poruszaliśmy się w szybkim tempie i dotarliśmy pod osłonę drzew, zanim dotarły do nas odgłosy ostrzału.

- To Iwan - stwierdził Porta. - Wygląda na to, że wydostaliśmy się w samą porę.

- Nie ma czasu, żeby się teraz tym zachwycać - powiedział Stary. - Chodźmy dalej.

Szliśmy pojedynczą linią pośród drzew. Musieliśmy dość dziwnie wyglądać. Z przodu

był Mały, który sam w sobie był zjawiskiem, za nim dwie dziewczyny ubrane w mieszaninę cywilno-wojskowych ciuchów i trzymające pistolety pod przedziwnym kątem, za nimi Porta, potem czterech Rumunów, których mundury w kolorze khaki można było pomylić z rosyjskimi, za nimi stadko dziewczyn i cała reszta. W pewnym momencie musieliśmy przedostać się przez most pilnowany przez Rosjan. Łatwo sobie z nimi poradziliśmy: myślę, że byli zbyt zaskoczeni naszym widokiem i nie otworzyli od razu ognia, a potem było już za późno, już było po nich. Troje dziewcząt natychmiast przyodziało się w rosyjskie mundury i przeszło w nich przez most.

- Głupie cipy - mruknął Legionista. - Jeśli nas złapią z nimi tak ubranymi, to zanim ktoś mrugnie okiem, rozstrzelają nas jako szpiegów.

- Pewnie i tak by nas rozwalili - powiedziałem posępnie.

Kiedy rosyjskie czołgi wjechały do rumuńskiej wioski, którą tak pospiesznie opuściliśmy, powitał ich widok Olgi wiszącej na maszcie z dużym napisem ZDRAJCA, powieszonym na jej szyi. Przez prawie dwadzieścia minut Rosjanie ostrzeliwali opuszczoną willę, aż wreszcie doszli do wniosku, że chyba jednak nie ma nikogo w domu. Rozpętała się długa dyskusja na temat tożsamości powieszanej kobiety, której konkluzją było, że musiała to być bohaterska partyzantka zabita przez bandę faszystowskich świń. Jej ciało, a raczej to, co z niego zostało po ostrzale willi, zostało najpierw sfotografowane wisząc na maszcie, a potem zdjęte i pochowane z pełnymi wojskowymi honorami. Jej grób można wciąż oglądać. Na nagrobku napisano: „Tu leży Olga Geiss. Zginęła w obronie wolności”.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy wyprawiano jej pogrzeb, Porta i Mały kucali w krzakach obok siebie i załatwiając swoje naturalne potrzeby rozprawiali o życiu, śmierci i tym podobnych.

- Hitler - zauważył Mały przyglądając się fotografii na stronie, którą właśnie wyrwał z gazety.

Porta stęknął. Po chwili on także wyrwał stronę.

- Hm... Ja mam Stalina - skomentował.

Na moment zapadła cisza.

- Niezłej jakości jest ta gazeta. - Porta wstał zapinając spodnie. - Całkiem miękka i gładka. Prawie tak dobra jak prawdziwa srajtaśma.

Złożyli resztę stron chowając je do kieszeni na przyszłość. Razem wrócili spacerem na drogę -

- Tak się zastanawiam... - Powiedział Mały z namysłem - sądzisz, że ktoś nazwałby zdradą wycieranie sobie dupy zdjęciem Adolfa?

Porta nie odpowiedział od razu, ważąc spokojnie wszystkie za i przeciw.

- Prawdopodobnie - stwierdził po dłuższym namyśle.

Mały pokiwał głową.

- Tak myślałem... Szkoda, że to było tylko zdjęcie.